

SZTUKA • LITERATURA • SPOŁECZEŃSTWO

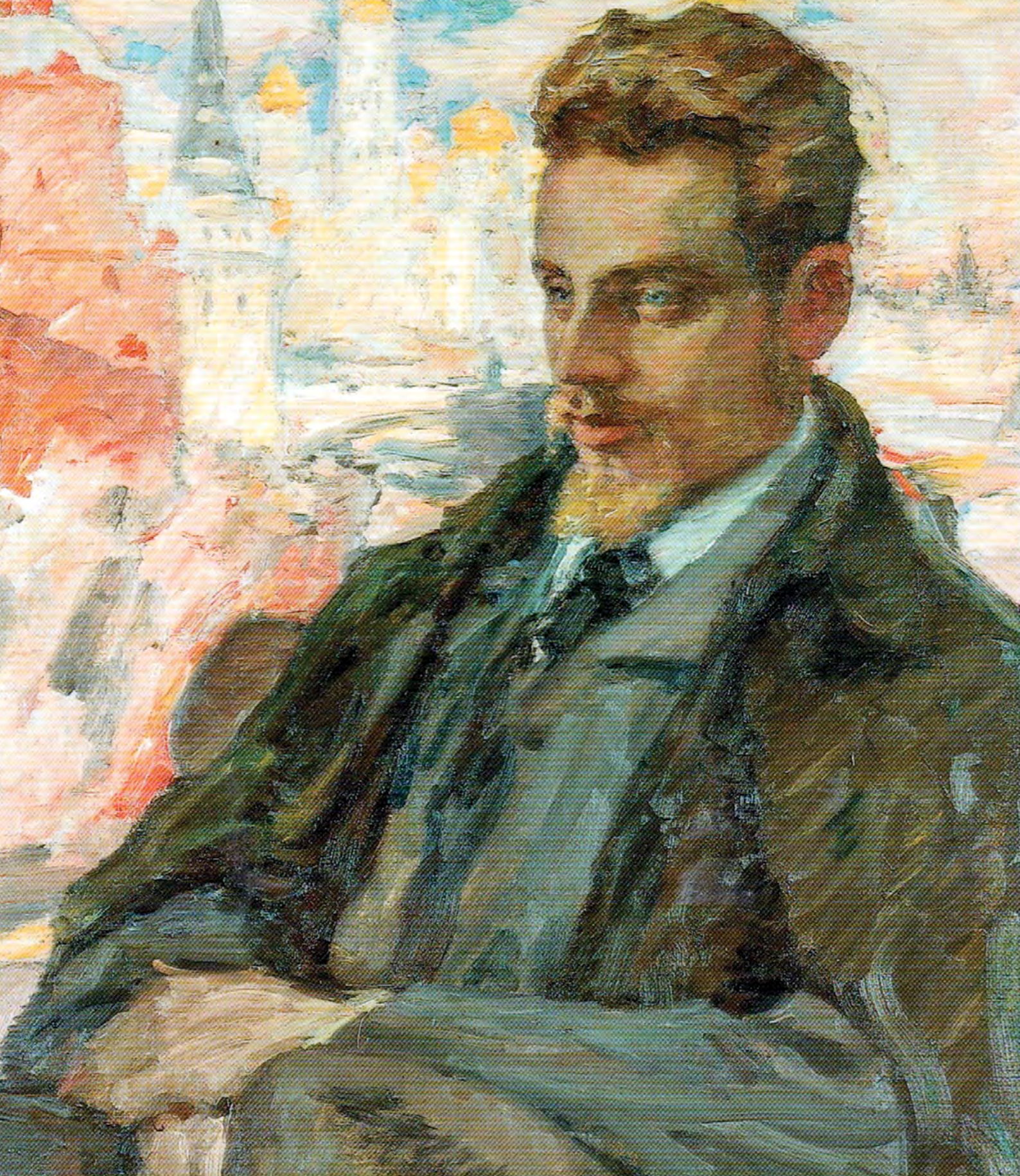
ISSN 2719-9096

NR 4 / 2021

OŚTOJA

BERLIN – WARSZAWA – WILNO

CZASOPISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE



PREMIERY

CHOPIN
WESELE FIGARA
KSIĘŻNICZKA CZARDASZA
KORCZAK
CZARODZIEJSKA BATUTA

ORAZ

55-LECIE TEATRU
FESTIWAL MUZYKA ŚWIATA

www.operalodz.com

Rilke 2021

IRENEUSZ ST. BRUSKI



Ostatnią edycję „Ostoi” za rok 2021 otwiera obraz Rainera Marii Rilkego pędzla Leonida Pasternaka. Dobiegający rok upłynął w Stowarzyszeniu im. Witolda Hulewicza, wydawcy „Ostoi”, w duchu poezji tego reprezentanta liryki symbolicznej, prekursora egzystencjalizmu. Z okazji przypadającej 29 grudnia, 95. rocznicy jego śmierci, ukazał się dwujęzyczny tom poezji Rilkego w tłumaczeniu Witolda Hulewicza.

„Romans” Hulewicza z twórczością urodzonego w Pradze austriackiego poety rozpoczął się po lekturze monografii *Auguste Rodin*, kiedy to skreślił do niego swój pierwszy list z zapytaniem o możliwość przetłumaczenia książki na język polski. Później nastąpiła kolejna korespondencja, kolejne tłumaczenia i wreszcie spotkanie w Château du Muzat, jedyne w ciągu kilkuletniej – głównie korespondencyjnej – przyjaźni obu twórców.

Witold Hulewicz nie był pierwszym Polakiem, który zainteresował się twórczością Rilkego, ani pierwszym tłumaczem jego wierszy, to odegrał szczególną rolę w polskiej recepcji jego dzieł. Zamieszcza wiele tekstów w prasie, propaguje postać i twórczość poety w radiu, a nade wszystko organizuje liczne wieczory poetyckie. W 1924 roku przygotował specjalny program zatytułowany *Poeta miłości, nędzy i śmierci*, który zostaje wystawiony w Warszawie, Wilnie, Poznaniu i Łodzi. Oprócz samego Hulewicza, występują znani ludzie sceny, jak Irena Solska, Karol Adwentowicz, Bolesław Muszyński, Janusz Warnecki. Wydarzenie budzi zainteresowanie, gdyż w tym czasie kandydatura Rilkego zostaje zgłoszona do Literackiej Nagrody Nobla.

Nade wszystko pragnieniem Hulewicza jest oddanie właściwego ducha utworów Rainera M. Rilkego, które nie są łatwe do przetłumaczenia. W ich korespondencji, zachowanej we fragmentach, znajdujemy m.in. odpowiedzi na pytania kierowane do poety, a dotyczące właściwego użycia słów i pojęć w procesie translacyjnym. Tłumacz skłania się ku interpretacji chrześcijańskiej jego dzieł, choć przeczuwa instynktownie, że często może być to kierunek dość mylący.

„Jest kilku takich poetów, których książki nigdy nie porywały i porywać nie mogą – napisze Hulewicz we wstępie do *Księgi obrazów*. – Takich, którzy jedynie otwie-

rajają się na cichy, dobrej woli pełen szept serca, co podej- dzie do nich w zupełnym oderwaniu od wszelkiego gwałtu i pośpiechu. A temu, przed którymi się otworzą, bez wstępu i po prostu odsłaniają bezbrzeżne doliny życia i wierzchołki najwyższych świadomości. To są najwięksi poeci. I jednym z takich jest Rainer Maria Rilke”.

W świat twórczości Rilkego, Witold Hulewicz wprowadza polskiego czytelnika nie poezją a prozą – wspomnianą książką o Rodinie (1923). Dwa lata później ukazują się *Powiatki o Panu Bogu*, przetłumaczone wspólnie z Marią Czabanówną. Polskie tłumaczenie *Maltego*, opublikowane zostanie już po śmierci autora, w 1927 roku. Z kolei ukazują się przekłady wierszy: *Księga obrazów. Wiersze nowe* (1927), *Elegie duinezyjskie* w tłumaczeniu Stefana Napierskiego „przy współpracy Witolda Hulewicza” (1930) i w 1935 – *Księga godzin*, która w całości wejdzie do nowego zbioru z 2021 roku.

Dla Rilkego – maga pióra, wirtuoza słowa, artysty *par excellence*, jak wielu o nim powie – najważniejsza w życiu była poezja oraz refleksja nad podstawowymi problemami metafizycznymi: sensem istnienia ludzkiego, śmiercią, miłością, cierpieniem. Bez tego nie może żyć i temu poświęca wszystko, nawet małżeństwo i rodzinę. Wiedzie życie wedle własnych zasad; ociera się o liczne środowiska ludzi sztuki, poszukuje miłości i weny twórczej, wiąże się w przeróżne związki uczuciowe. Objętość miejsca nie pozwala na przywołanie wszystkich osób, które stanęły na jego drodze, to choć jedno nazwisko niech padnie... pierwsza miłość – Lou Andreas-Salomé, która pozostanie mu szczególnie bliska aż do śmierci.



Rainer Maria Rilke RYS. LEONID PASTERNAK, 1901

Z jednej strony wybiera samotność, wszak w milczeniu i oderwaniu od świata rodzą się zazwyczaj wielkie dzieła, a z drugiej pragnienie kontaktu z innymi ludźmi. Zawiera wiele szczerych i niezwykłych przyjaźni, korzysta z zaproszeń, czego efektem są pobyty w przeróżnych miejscach Niemiec, Francji, Włoch, Szwajcarii i wielu, wielu innych. Rilke dużo podróżuje. Podczas jednej z takich eskapad na Wschód, w 1901 roku, powstają w Moskwie szkice jego portretu L. Pasternaka, które już po śmierci poety posłużą malarzowi za podstawę do olejnego obrazu, przedstawionego na okładce tego numeru „Ostoi”.

Książka *Poezja Rainera Marii Rilkego w tłumaczeniu Witolda Hulewicza*, która w takiej formie ukazała się po raz pierwszy, dzięki wydawcy „Ostoi” dociera do czytelników jako swoisty prezent pod choinkę. Zatem pozostaje życzyć radosnych Świąt Bożego Narodzenia, sięgnięcia po lekturę i szczęścia w nowym, 2022 roku. Patrząc zaś z niepokojem na ziemię położoną na wschód od Bugu – mieć nadzieję, że nie sprawdzą się słowa Prezydenta RP wypowiedziane w 2008 roku w Tbilisi...

Do siego roku!

IRENEUSZ ST. BRUSKI ■

”O miłości

Każda miłość wymaga zbyt wielkich trudów, to ciężar ponad siły, tylko w miłości do Boga odnajdujemy lekkość i wytchnienie. Kochać to najtrudniejsze z zadań człowieka [...], najważniejszy jego egzamin.

Rainer Maria Rilke

- 3** Tetter: Wojna rządzi się swoimi nieodgadnionymi prawami
- 4** Majewski: Nasz wiek
- 5** Piórem Ernesta Brylla
- 6** Masłoń: Laudacja w kategorii „Słowo”
- 7** Joanna Siedlecka laureatką Nagrody Mediów Publicznych
- 8** Sutarski: Rola i zadania poety w XXI wieku
- 9** Piórem Konrada Sutarskiego
- 11** Karaś: Hulewicz i Rilke
- 19** Żywy reporter poczwiergo...
Wywiad z Aleksandrem Rowińskim
- 22** *In memoriam* – Aleksander Rowiński (1930-2021)
- 28** Biernacki: W świecie poetyckim Karola Wojtyły
- 32** Nagroda im. Witolda Hulewicza za rok 2021
- 33** Okuniewski: Magia czytania
- 36** Goljat: Niespokojne duchy polskiej literatury
- 40** Karaś: Tu są Niemcy – cz. 3
- 44** Prandota: Nobel dla pokrzepienia serc
- 49** Sztumski: „Góralka” wróciła na Wawel
- 50** Raina: Hitler. Koniec Legendy – cz. 4
- 56** Urbankowski: Targowica nie zdycha...
- 60** Świegocki: Kapłan klasycznego piękna – cz. 2
- 67** Bruski: Muzykę i obrazem
- 68** Wszystko zaczęło się w Warszawie – cz. 4
- 70** Mendakiewicz: Najważniejsza jest dobra puenta
- 70** Z archiwum polskiego baletu – *Sylfidy*
- 71** Perły Tańca 2021
- 72** Mendakiewicz: Historia Dzieci Syberyjskich
- 74** Dzieci z Syberii
- 75** Burczycka-Woźniak: Midrasz o Izaaku i Seili
- 76** Kociołkowska: Czy w niebie tańczą?
- 78** Truszczyński: Dwakroć wykłady
- 80** Kabaret Małgorzaty Todd
- 81** Królikowska-Avis: Polsko-Brytyjskie Forum Belvedere
- 84** Ku odbudowie Pałacu Saskiego
- 84** Zerowy VAT na książki?
- 84** Konkurs na pracę doktorską

NA OKŁADCE

I strona: Leonid Pasternak, *Rilke w Moskwie*, 1928, Fot. DP / wikimedia.org

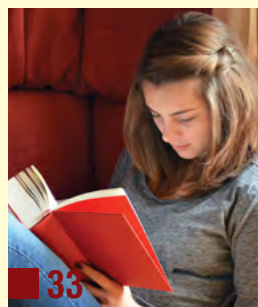
IV strona: Małgorzata Butkiewicz, *Las II*, akryl, płótno, 50 x 70 cm, 2021 ©



19



6



33



28



44



76



56



67



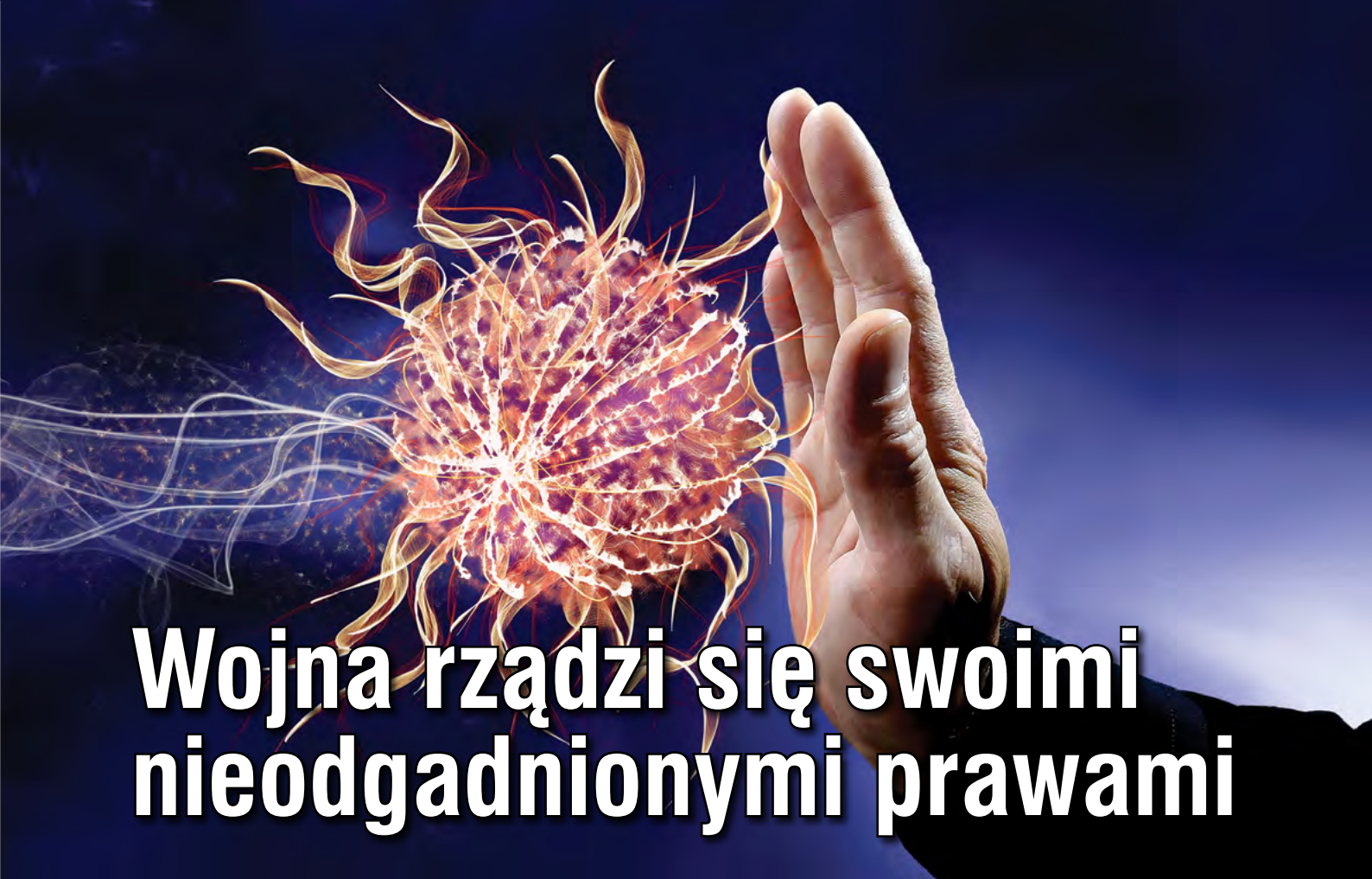
81

SZTUKA • LITERATURA • SPOŁECZEŃSTWO
OSTOJA
BERLIN – WARSZAWA – WILNO

ISSN 2719-9096

CZASOPISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE

- ☐ **REDAKTOR NACZELNY:** Ireneusz St. Bruski, tel. +48 531 507 527
11-041 Olsztyn, ul. Kardynała Hozjusza 12/3, e-mail: ostoja-redakcja@wp.pl
- ☐ **KOLEGIUM REDAKCYJNE:** Jerzy Biernacki, Dobrochna Bugiera, Romuald Karaś,
Radosław Pieniężna-Grabowska, Peter Raina, Stefan Truszczyński
- ☐ **AUTORZY:** Beata Adamczyk, Ernest Bryll, Marzena Burczycka-Woźniak, Małgorzata Chomicz,
Aleksander Czajkowski-Ładysz, Wojciech Goljat, Agnieszka Karaś, Bożena Kociołkowska,
Elżbieta Królikowska-Avis, [Zbigniew Majewski], Mikołaj Melanowicz, Anna Mendakiewicz,
Jerzy L. Okuniewski, Jakub Pańków, Joanna Paszkiewicz-Jägers, Mirosław Prandota,
Lech L. Przychodźki, [Aleksander Rowiński], Zbigniew Sajnog, Edward W. Stańczak,
Kazimierz Świegocki, Jan Tetter, Małgorzata Todd, Bohdan Urbankowski
- ☐ **DRUK:** BookPress
- ☐ **WYDAWCA:** Stowarzyszenie im. Witolda Hulewicza
00-175 Warszawa, al. Jana Pawła II nr 70 lok. 48, tel. +48 22 636 74 76
- ☐ **KONTO:** Bank Pekao S.A. nr 92 1240 5598 1111 0011 0708 8906



FOT. © BRUNO GERMANY

Wojna rządzi się swoimi nieodgadnionymi prawami

■ JAN TETTER



Zanim będzie o wojnie dokonajmy z konieczności dość pobieżnej lustracji, tego, co się dzisiaj dzieje na świecie. Zaczniemy od Polski.

Mamy wojnę hybrydową polsko-białorusko-rosyjską na naszej granicy wschodniej, która może się rozwinąć w poważny konflikt przy jakichś większych zawirowaniach światowych, jako że jest obliczona na zdestabilizowanie Europy Środkowej. Mamy bezczelny, oburzający i w sumie głupi konflikt z Unią Europejską, która usiłuje nas przyuczyć do posłuszeństwa. Walnie w tym pomaga jej opozycja totalna, czyli rodzimy wróg wewnętrzny, czerpiący swe siły z gabinetów naszych „przyjaciół” w Brukseli i Berlinie. Mamy też pandemię, o czym jeszcze będzie poniżej, po równie pobieżnej lustracji światowej.

Rozwój pandemii w skali światowej jest tematem od dwóch lat priorytetowym. Przeszła różne stadia, ostatnio jakby straciła na rozpędzie. Zaczęły pojawiać się na nią skuteczne i akceptowane (sic!) lekarstwa. Z wielu niedopowiedzeń i całego zamętu światowego, ogół opinii publicznej zaczyna skłaniać się do zdania, że być może, było to – i jeszcze jest – ciemne przedsięwzięcie o gigantycznych rozmiarach i dające gigantyczne zyski, które jeszcze nie wiadomo jak będą użyte. Czy nie

do przebudowania świata czasem? A co gorsza, jego marsz przez planetę Ziemię, powodował skutki polityczne, przemodelowania ekonomiczne i zniszczenia materialne porównywalne z wojną. Nie wykluczone, że wkrótce zacznie się ten szatański projekt otwarcie nazywać wojną.

Następnym bólem, ale dotyczącym Rosji i Europy, jest rurociąg gazowy po dnie Bałtyku, Nordstream 2. Dotychczas nieczynny i Nordstream 1, czynny. Te dwie rury czynią Europę wasalem energetycznym Rosji. Prawdopodobnie te wielkie rury stały się w dużym stopniu powodem tego, co mamy obecnie, tego, że miliony ludzi zadaje sobie dzisiaj pytanie: Czy będzie wojna, czy nie będzie? Cóż, czy będziemy wierzyć, czy nie będziemy, sytuacji, jaka została wykreowana, nie zmienimy. Większość ludzi odpowiada sobie na to pytanie o wojnę – tak, będzie. A jednocześnie, w głębi duszy wierzy, że jednak nie będzie, że wszystko, jak to się mówi rozjeździe się po kościach.

Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że ta wojna już się toczy – w naszej psychice, w naszym codziennym postępowaniu i w świadomości ludzi mieszkańców kraju, który ją rozpocznie i w świadomości ludzi kraju, czy krajów, które już są zaatakowane. Do tych krajów należy Ukraina, Polska, Białoruś, Litwa, Łotwa, Estonia. W momencie ataku na Ukrainę wszystkie te kraje już będą może nie na pierwszej linii, ale na wojnie.

Sytuacja najprawdopodobniej będzie się rozwijała lawinowo. Pozornie straci na dynamice dopiero, gdy konflikt, na pięć minut przed nieuniknionym użyciem broni jądrowej, przybierze postać wojny Rosja – USA i... oczekujące spokojnie na wynik Chiny.

Zapewne ten wariant rozpatrują sztaby generalne i rządy zarówno USA, jak i Rosji. Ale myślą o tym także miliony ludzi na całym globie. Myślą o tym wojskowi, od szeregowca po generała. I nie wiem czy wielu jest takich, którzy poszliby do ataku z okrzykiem: *za rodzinu* od Oceanu Spokojnego po Berlin, *za Putina* – *wpierod!* A już na pewno nie „naprzód za naszą cudowną zachodnią wolność i demokrację, za rewolucję liberalno-seksualną – za Bidena!”.

Jeden z polskich byłych polityków zakrzyknął: „Otwierajcie szampana! To koniec Putina!”.

Wielka Rosja w stalinowskich granicach, to zapewne marzenie nie tylko Władimira Władimirowicza, ale i wielu Rosjan, w tym wojskowych. Ale nie wszystkich, nie wszystkich... To być może jest też koszmarem, którego musi obawiać się Putin. Odbudowa imperialnej potęgi Rosji, to marzenie Putina, dałaby mu kreację, jaką cieszą się najwięksi w historii. Ale to utopia. Co wykreowało Rosję na potęgę? Druga wojna światowa i powojenny podział świata.

Ciąg dalszy na s. 4 ►

► Ciąg dalszy ze s. 3

Trzecia wojna światowa skończy się sytuacją, w której nie będzie, ani zwyciężonych, ani ziem do podziału. Więc trzecia wojna światowa nie będzie miała sensu. Ale trzecia wojna światowa może wybuchnąć.

Ależ Władimir Putin nie chce trzeciej wojny światowej! W żadnym wypadku nie chce. Tak, prawdopodobnie nie chce wojny światowej. Ale chce łatwej, zwycięskiej wojenki lokalnej. I tę wojnę już ma, już ją toczy.

Sto tysięcy wojska wyszło w pole. Wyjechały dziesiątki tysięcy czołgów, dziesiątki tysięcy samolotów stoi na lotniskach gotowych do startu. Płyną na pozycje bojowe okręty z wyrzutniami rakiet z głowicami nuklearnymi.

Ale za sterami samolotów, na czele pułków, dowódcy na kapitańskich mostkach okrętów, dowódcy nieprzeliczonych artyleryjskich baterii, oficerowie w tysiącach sztabów – nie są ludźmi idącymi w bój za ich zgruzowane, do cna wypalone miasta, za rozstrzelanych jeńców, za łzy matek, za śmierć zagłodzonych dzieci, za zdradziecki napad na ich kraj... Nikt nie napisał natchnionej pieśni:

Stawaj strona agroomnaja

Stawaj na smiertnyj boj...

Wszyscy wiedzą, że wróg ich nie napadł, a oni mają przestraszyć, rzucić na kolana wroga, który może nawet nie będzie bronił własnego kraju. A jeśli będzie bronił, to trzeba będzie go zmiążdżyć, choć nie będzie to w porządku. Trudno, nie miał szans, powinien się poddać. Nie poddał się, cóż... Sam sobie winien.

Ale to plan, projekt, zamiar. Wojny, nawet takie, których celem jest zastraszenie rzadko przebiegają zgodnie z planem. Jeśli nawet, trzeźwo kalkulując swoje szanse, Ukraińcy poddadzą się bez walki – na co perspektywy są znikome – to i tak korzyści płynące ze zwycięstwa mogą być żadne – a i nikt w Kijowie nie będzie ich witał kwiatami. Natomiast posłuszeństwo będzie wymuszone terrorem, obozami karnymi, więzieniami. I to zwycięstwo może się okazać kosztowne i nieopłacalne. Muszą w Rosji być ludzie, którzy już przeprowadzili taką kalkulację – i z nimi również może być Putinowi nie po drodze.

Powiedzmy, że może obecny konflikt skończy się jakimś skomplikowanym układem, który na jakiś czas oddali niebezpieczeństwo takiej wojny, jaka może wkrótce wybuchnąć. I będzie to stan, kiedy pokój nie będzie możliwy a wojna nie będzie miała zwycięzców.

Ten, zresztą przewidywany stan jest dzisiaj koszmarem, przed którym stoi świat. Pamiętajmy co było w roku 1939.

JAN TETTER ■

Nasz wiek

*nic się nie zmieniło w ludzkiej naturze
w obyczajach naszych
w nas jako gatunek
nadal pozostało aktualne porzekadło dawne*

*– człowiek człowiekowi wilkiem –
teraz
cywilizowanym tylko*

*nic się nie zmieniło... owszem
bardzo wiele –
w modzie w manierach w gustach
kiedyś byliśmy jakby spowolnieni
wychodziliśmy z dagerotypu trochę wystraszeni
– oślepieni błyskiem magnezji*

*dzisiaj pozujemy na luzie w plenerach
w niedbałych gestach i wytartych dżinsach
i udajemy pozornie szczęśliwych
bo i wiek już nowy – nowe tysiąclecie*

*zbyt długo pokój w Europie
zwłaszcza dla młodych po przegranych meczach
...a w technologiach – we wszech naukach
dziwy...
w tym już jakoś istniejemy nadal
pośpiech rządzi nami
pośpiech we wszystkim wszechogarniający
mowę naszą – drogi autostrady – wszystko...
życia naszego styl współczesny*

*zwany pogardliwie „wyścig szczurów”
tak się wolno przystosowujemy
do coraz bardziej ciężących nam oków
– do tej epoki hip-hopowej
do coraz wyżej pośpiesznie wznoszonych murów
cywilizacji – wreszcie do tego wrzasku
od którego padły kiedyś Jerycha mury –
które runą wreszcie z przeogromnym hukiem*

ZBIGNIEW MAJEWSKI

* * *

*U nas żyć nie umierać. Aby nie
chorować
Bo ojczyzna na to niegotowa
Chociaż już przyjazna – trzeba przyznać
Zawsze dla tych, co ważni
Odważna Ojczyzna*

*Ale powolutku, może troszkę w smutku
I mniej ważni – bardzo poważnie
Zaczną udawać jak to gonią radość
Ja już niestety zbyt słabo
Ale reszta biegnie – do skutku*

*Taki kurz, aż zanikają
Ciągle dalej: Żyć, nie umierać!
A tym, co nie nadążają
Śmierć po życiu nie bardzo doskwiera
– Czy się boją? – Raczej się strachają
Sami siebie w tym, co dziś mają*

*Bo „jak się masz” to kłaniaj się życiu
Nie masz nic, to się trzymaj zdrowo
Tu się nie żyje chorobą
Bardzo złości każda chwilka słabości
Nie oglądaj się za samym sobą*

ERNEST BRYLL

FOT. © MARK20852



Joanna Siedlecka
laureatka w kategorii
SŁOWO

FOT. YOUTUBE

L aureatka trzeciej edycji Nagrody Mediów Publicznych w kategorii „Słowo” – Joanna Siedlecka stwierdziła niegdyś, że „tak jak Wańkowicz, najbardziej ceni najlepsze dowody żywotności pisarskiej, czyli krytyczne recenzje”. Tych nie brakowało jej niemal od samego początku pracy dziennikarskiej, ale już na pewno od 1987 roku odkąd pisząc o Witoldzie Gombrowiczu książkę *Jaśnie panicz* znalazła swój temat życia, specjalizację, a stało się nią portretowanie pisarzy, tworzenie ich prawdziwych wizerunków a nie podkoloryzowanych monideł. Biografistyka ma bowiem dwa wymiary: pierwszy, jakże rozpowszechniony, to niekończące się pielgrzymowanie i składanie wieńców, drugi to – znów cytuję laureatkę – „mozolne, nieefektywne, samotne dogrzebywanie się do prawdy”. Siedlecka nie budowała swoim bohaterom pomników, bo te jak twierdzi, i słusznie, lubią tylko gołębie.

Interesowało ją to, co nieraz pokrywała zмова milczenia, o czym mówiło się ściszym szeptem, albo i nie mówiło się wcale. Nie przyjmowała do wiadomości istnienia „białych plam”, bo nic jej tak nie mobilizowało – wyznawała – „jak tabliczka z napisem zabronione”.

Czasem też coś jej zagrzytało w trakcie lektury, jak to się stało w wypadku *Malowanego ptaka* Jerzego Kosińskiego. Gdy inni powtarzali, jak za panią matką, brechty o prześladowaniu biednego żydowskiego chłopczyka przez nieokrzesanych i zboczonych chamów z polskiej wsi, Joanna

Siedlecka wsiadła w samochód czy autobus i pojechała do Dąbrowy Rzeszyckiej, w okolicy Sandomierza, by przyjrzeć się temu „chamstwu”, porozmawiać z nim, udzielić mu głosu.

Zdążyła, żyli jeszcze ludzie pamiętający i „malowanego chłopca” i jego ojca, i księdza, który rzekomo dręczył przyszłego pisarza, a w rzeczywistości znalazł rodzinie Kosińskich schronienie, ratując ją od zgłady. Tak narodził się *Czarny ptasior*, jedna z najbardziej shejtowanych książek jakie pamiętam. Tyle, że w 1993 roku nikt jeszcze nie używał terminu „hejt”, wystarczyło przaśne obmówienie, sflekowanie, nagonka. I to właśnie spotkało wtedy laureatkę trzeciej edycji Nagrody Mediów Publicznych – Panią Joannę Siedlecką.

Wielokrotnie oburzali się na nią niewyłącznie Krewni i Znajomi Królika, choć oni, naturalnie, przede wszystkim, ale i zwykli miłośnicy literatury, często jak dziś mówimy – fani poszczególnych pisarzy. Zadawali pozornie retoryczne pytania: po co grzebać w przeszłości, naruszać hierarchię wartości – czyją, kiedy ustaloną, na ogół nie precyzowano – poddawać w wątpliwość to, co autorzy opowiadali tak długo, że może i sami w to uwierzyli. Że, na przykład, toczyli z bezpieką rozmowy filozoficzne, a że brali

od swoich interlokutorów pieniądze, no cóż, jaka praca taka płaca. Joanna Siedlecka powiada, całkiem spokojnie zresztą: „Oni tworzyli mity, całe mitologie, niekiedy nawet fascynujące. A ja jestem od tego, żeby to wszystko weryfikować”. Dziś, po wielu takich weryfikacjach, ci, którzy serio zajmują się literaturą, powinni być autorce książki *Kryptonimu „Liryka”*. *Bezpieka wobec literatów* wdzięczni. Odrobiła za nich pracę domową, najtrudniejszą z trudnych.

Oswoiłiśmy nareszcie wspanią twórczość Józefa Mackiewicza, którego 120. rocznicę urodzin obchodzić będziemy w przyszłym roku szczególnie uroczystie, Sejm ustanowił bowiem rok 2022 Rokiem Józefa Mackiewicza. Jego sławne zdanie o tym, że „jedynie prawda jest ciekawa” przywoływane jest teraz przez wielu ludzi z prawa i z lewa, także i tych, którzy kłamali i kłamią zawsze i wszędzie.

Autorka wcześniej wymienionych tytułów, a przecież i *Mahatmy Witkaca*, i *Pana od poezji* – o Zbigniewie Herbertcie, i *Wypominków*, w których oddała sprawiedliwość m.in. wielkiemu Stanisławowi Rembekowi, i *Obławy. Losów pisarzy represjonowanych*, i *Biografii odtajnionych*, pisarstwem swoim udowadnia, że twórca

Drogi donikąd miał stu-procentową rację. A ona ze słów jego wyciągnęła najdalej idące wnioski, płacąc za to wysoką cenę, bo zawsze odwaga kosztuje najwięcej.

KRZYSZTOF MASŁOŃ ■
Przewodniczący Kapituły
w kategorii „Słowo”



Joanna Siedlecka laureatką Nagrody Mediów Publicznych

Nagrodę Mediów Publicznych 2021 w kategorii „Słowo”, które wręczono w Warszawie 30 listopada, otrzymała reporterka, dziennikarka i eseistka Joanna Siedlecka. Publicystkę doceniono za konsekwentną i bezkompromisową wierność w swej pracy pisarskiej dewizie Józefa Mackiewicza głoszącej, że „tylko prawda jest ciekawa”.

Laureatka odbierając Nagrodę, podkreśliła, że nie pisze dla nagród, ale „jeśli się trafiają to jest szczęśliwa, ponieważ twórcy są spragnieni nagród jak dzieci. [...] Nagroda wzmacnia, umacnia, nie tylko finansowo, ale duchowo. My, pisarze czujemy wtedy, że nie jesteśmy sami, że to jednak ktoś zauważył i to wzmacnia nas, a mówiąc kolokwialnie daje nam pozytywnego kopa”.

Jej zdaniem, przyznając nagrodę jej książkom, kapituła „nagrodziła polską literaturę; pisarzy, o których pisała – Gombrowicza, Herberta, Dygata, Tyrmanda, właśnie tych, którzy nie dali się komunie, mimo tego, że byli nieprawdopodobnie niszczeni, prześladowani, niszczone im życie osobiste, zdrowie, cenzurowano”, ale – jak przypomniała – „oni się nie poddawali, bo wiedzieli, że gotują nam strawę”.

Przewodniczący Kapituły w kategorii „Słowo” Krzysztof Masłoń podkreślił w laudacji, że Siedlecka „tak jak Wańkowicz, najbardziej ceni najlepsze dowody żywotności pisarskiej, czyli krytyczne recenzje”, a tych – jak podkreślił – nie brakowało jej niemal od samego początku pracy dziennikarskiej, ale już na pewno od 1987 roku, odkąd pisząc o Witoldzie Gombrowiczu znalazła swój temat życia, specjalizację, a stało się nią portretowanie pisarzy, tworzenie ich prawdziwych wizerunków, a nie podkołoryzowanych monideł”.

Masłoń zwrócił uwagę, że słowa Józefa Mackiewicza, iż „jedynie prawda jest ciekawa” przywoływane są teraz przez wielu ludzi z prawa i z lewa, także i tych, którzy kłamią – a Laureatka z jego słów wyciągnęła najdalej idące wnioski, płacąc za to wysoką cenę, bo zawsze odwaga kosztuje najwięcej.

Joanna Siedlecka jest autorką zbiorów reportaży *Stypa*, *Poprawiny*, *Parszywa sytuacja* i *Jaworowe dzieci* oraz biografii polskich pisarzy: Witolda Gombrowicza *Jaśnie panicz*, Witkacego *Mahatma Witkac* i Zbigniewa Herberta *Pan od poezji*,



FOT. © SŁAWEK / CC BY-SA 2.0

a także książki *Czarny ptasior*, demistyfikującej okupacyjny fragment życiorysu Jerzego Kosińskiego, na którym zbudował on swoją światową popularność. W 2016 roku pisarka została uhonorowana Nagrodą Literacką im. Józefa Mackiewicza.

Ponadto Nagrody Mediów Publicznych za rok 2021 otrzymali: w kategorii Muzyka – pionier polskiego rocka progresywnego i elektronicznego **Józef Skrzek** za wybitne osiągnięcia w dziedzinie muzyki rozrywkowej, w jej najbardziej ambitnym wydaniu oraz za umiejętne łączenie sacrum z profanum; w kategorii Obraz – dziennikarka i reżyserka filmów dokumentalnych, autorka programu telewizyjnego *Sprawa dla reportera* **Elżbieta Jaworowicz** za inspirowanie działań umożliwiających ludziom skuteczną walkę o swoje prawa i racje oraz za budowanie więzi z widzami; w kategorii Idea – dziennikarz, publicysta, historyk i autor książek dotyczących współczesnej historii Polski **Piotr Semka** za bezkompromisowe dziennikarstwo, bezbłędne diagnozy społeczne i wierność wyznawanym wartościom.

W dziedzinie Obrazu Nagrodę Mediów Publicznych przyznała Telewizja Polska, natomiast Polska Agencja Prasowa w kategorii Słowo. Rozgłośnie regionalne po raz pierwszy wręczyły swoją nagrodę nazwaną „Idea”. Zwycięzcy poszczególnych kategorii otrzymali statuetkę oraz 100 tys. złotych.

Zarząd Polskiego Radia wręczył również swoje Nagrody Specjalne. Otrzymały je: **Elżbieta Berus-Tomaszewska** – historyk, znawca historii II wojny światowej, dyrektor Archiwum Polskiego Radia za popularyzację wiedzy o historii polskich zrywów zbrojnych XX wieku i doprowadzenie do wpisania kolekcji 93. metalowych płyt gramofonowych Polskiego Radia z września 1939 roku na Listę Krajową programu UNESCO „Pamięć świata” oraz **Małgorzata Małaszko-Stasiewicz** – muzykolog, autorka opraw muzycznych spektakli Teatru Polskiego Radia, od 2011 roku dyrektor Programu 2 Polskiego Radia za wieloletnią promocję ambitnej kultury na antenie radiowej Dwójki, a także za organizację lub współorganizację wielu prestiżowych wydarzeń muzycznych rangi światowej.

ISB, IK ■

Rola i zadania poety w XXI wieku

■ KONRAD SUTARSKI



Mogłoby wydawać się, że wiek XIX w poezji, romantyzm, był okresem wyjątkowym w historii literatury. To wtedy stworzone zostało pojęcie misji, której poeta jest nosicielem i którą – on swoją twórczością oraz osobowością – objawia.

Motorem działania stał się duch broniący idei wolności człowieka i umiłowania go, ówczesnej – wtedy jeszcze naturalnej, bo zgodnej z naturalnymi prawami ludzkiego gatunku – liberalnej idei społecznej solidarności oraz niepodległości ujarzmionych narodów, a nawet ogólnoludzkiej solidarności, jakkolwiek zawężonej wtedy jeszcze raczej tylko do kontynentu europejskiego. Dla poety była to potrzeba podjęcia – choćby i w pojedynkę – walki o prawa, o dobro zbiorowości. Poeta stał się niejako duchowym przywódcą narodu, a nawet ludzkości, wskazującym kierunek zbiorowych działań i za takiego przywódcę, zaczęły go społeczności, narody uważać. Powstał kult poety-wieszcza (Byron, Puszkina, Mickiewicza, Petőfi), natchnionego proroka, który mocą swej siły twórczej oraz wiedzy czy też szczególnej zdolności wnioskowania w „sprawy tajemne” jako jedyny jest w stanie ową przywódczą rolę udźwignąć.

Ostatnie dziesięciolecie owego stulecia oraz początek XX wieku odwróciły się od tak spontanicznego i uczuciowego rozumienia znaczenia i roli jednostki, która swoją umysłowością może wpływać na przebiegi ruchów społecznych, na kształtowanie losów narodów, ludzkości. Wydawało się, iż wyobrażenia o posłannictwie poety poszły do lamusa, stały się już tylko elementem historycznych badań literackich.

A jednak tak się nie stało.

Świadczy o tym wiek XX. Pod koniec I wojny światowej, w 1917 roku, zaistniał i wkrótce ujawnił swoją brutalną siłę komunistyczny system totalitarny w Rosji przekształconej w Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich oraz wkrótce potem drugi system totalitarny – nazizm – w Niemczech (od 1933 roku, a we Włoszech, w łagodniejszej postaci faszyzmu już od 1922 roku), gdzie władzę uzyskali socjalistyczni nacjonaliści. W wyniku rozpętania przez te dwa systemy II wojny światowej prawie cała Europa znalazła się w ich władaniu.

Nazistowskie Niemcy podbiły większość państw Europy środkowej i zachodniej, pozostając w nich aż do swej militarnej oraz politycznej klęski zaistniałej w 1945 roku. ZSRR sprzymierzony przed wybuchem II wojny światowej z Niemcami (w 1939, szczególnie na podstawie paktu Ribbentrop – Mołotow), a od 1941 roku ich największy wróg, rozszerzył panowanie komunizmu w końcowej fazie II wojny na prawie wszystkie kraje Europy środkowo-wschodniej, trzymając je w morderczym uścisku aż do swego upadku, co nastąpiło dopiero w latach 1989–1991.

Terror i nielichenie się z ludzkim życiem, panujące zarówno w krajach, w których reżimy: komunistyczny i nazistowski narodziły się oraz zdobyły władzę, jak i w krajach przez nie podbitych wywoływał protesty a niejednokrotnie także opór fizyczny pewnych części społeczeństw własnych oraz przede wszystkim całych narodów oraz przede wszystkim całych narodów podbitych – że przytoczę jako przykłady olbrzymie antyniemieckie walki partyzanckie w Polsce i w Jugosławii podczas II wojny światowej, a następnie ciągłe antyradzieckie wrzenie w Polsce (od 1956 do odzyskania w 1989 roku pełni niepodległości), czy wielkie antykomunistyczne powstanie w 1956 roku na Węgrzech. Ów nieludzki stan wywoływał we wszystkich tych czasach protestacyjne reakcje ludzi pióra (Achmatowa, Mandelstam, Illyés, Csoóri, Miłosz, Herbert, Havel).

Wkońcu XX wieku, po upadku nie tylko nazizmu, ale i komunizmu mogło wydawać się, że opór, walka poety, pisarza o lepszą przyszłość narodów skończyła się również w środkowowschodniej części Europy, że społeczna misja poety i tu straciła sens – podobnie jak nastąpiło to wcześniej w zachodniej części kontynentu – bo gnębiel przestał istnieć i zaczyna się dla całej Europy (a może i dla świata?) era szczęśliwej, przepełnionej humanitaryzmem demokracji.

Tymczasem jest wręcz przeciwnie. Pojawił się i potęguje działania trzeci system totalitarny – globalizm, sterowany przez międzynarodową elitę gospodarczo-finansową, usiłującą zawładnąć dotychczasową Europą, podporządkować ją sobie, jak i resztę świata, uzależnić od siebie ekonomicznie, spłycić jej dotychczasową kulturę kosztem nowej, masowej, widowiskowej, ale duchowo obcej, zrelatywizować jej zasady etyczne, a w końcu zmieszać z ludami o zupełnie innej wierze i kulturze.

Dołączył do tego ataku, wykorzystywany przez globalizm, też wdzierający się do Europy – także ukradkiem, pozornie bez użycia broni, ale masowo – wojujący islam. Globalistycznemu naporowi na rękę jest również coraz silniejsze przeludnienie i głód ludów Afryki oraz Azji, jakkolwiek gromadzony w krajach najbardziej rozwiniętych tak olbrzymi międzynarodowy kapitał powinien brać udział w likwidacji nieszczęść o światowych rozmiarach, a nie powiększać je tylko.

Coraz bardziej narastające zagrożenia, wiążące się z niebezpieczeństwem unicestwienia tradycyjnej europejskiej cywilizacji o greckorzymskich i chrześcijańskich podstawach powodują, że przeciwstawianie się im jest dla narodów wyrosłych na europejskiej kulturze najważniejszym zadaniem doby obecnej. Zadanie to, misja czasu teraźniejszego dotyczy – w przeciwieństwie do romantycznego poglądu XIX wieku – nie tylko poetów, pisarzy, ludzi pióra, ale całej intelektualnej czołówki europejskich narodów, ponieważ poszerzyła się ta warstwa wszystkich społeczeństw. Niezależnie od tego ludzie pióra, poeci, powinni brać udział w tych zmaganiach, być w pierwszej linii obrońców cywilizacyjnych i etycznych wartości naszego kontynentu, gdyż właśnie oni, docierając w trakcie aktów twórczych niczym nie krepowaną wyobraźnią do samych głębin istnienia i posługując się językiem literackim, językiem poezji, jako mową szczególną, pełną przesyłanej wirtualnie światu skondensowanej ekspresji i duchowego dynamitu, są w stanie najskuteczniej poruszać serca i umysły, wzywać do działania.

Zpowyższym apelem zwracam się do wszystkich ludzi pióra, Polaków, zarówno do członków Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, członków Związku Literatów Polskich, jak i do pisarzy nigdzie niezrzeszonych. Niech nie rozdziela nas czterdziestoletnia już przeszłość stanu wojennego, a łączy przyszłość, wspólna obrona tradycyjnej, chrześcijańskiej Europy. Nie bądźmy jak orkiestra grająca na Titaniku, podczas gdy tonie nasz okręt o nazwie zmienionej z Titanica na Europa, zalewany przez obce nam wiary, obcą kulturę i dewiacje Zachodu, a tym samym zagrożony jest suwerenny byt i Europy, i naszego kraju. To wspólna misja naszego czasu, ważniejsza, aniżeli misja poetów w XIX wieku, ponieważ chodzi o zachowanie tożsamości europejskiego kontynentu. ▶

Co przyniesiesz wieku

*Co przyniesiesz wieku
ty dwudziesty pierwszy
jakie niespodzianki gotujesz nam jeszcze
ziemia już teraz cała drży w posadach
wulkanami wybucha wysyła tajfuny
a na wszech kontynentach
lasy płoną ogniami sprzeciwu
i oceany rzucają się wodami na lądy
wściekle atakując i miasta i ludzi
zaś wirusy chińskiej zarazy niby chmury komarów
kłębią się wokół w powietrzu
szczerząc zęby słońce przestaniając
pohukują kłusząc śmierć niosąc*

*Co przyniesiesz nam jeszcze
wieku ty dwudziesty pierwszy
nowe wojny półksiężyca
z płonącym wraz z katedrą krzyżem
popłoch niesiesz ludy do ucieczki zmuszasz
suszę i głód rozsiewasz po Azjach Afrykach
by tłumnie tu wędrowali
uczepieni strzępiastych krańców Europy
popychani z tyłu gromadzili na Bałkanach
aż ziemia ugina się pod tym ciężarem
i dzwony w kościołach już biją na trwogę*

*I co przyniesiesz jeszcze
wieku ty dwudziesty pierwszy
jak cię zapamięta historia i ludzkość
co ostatek się z przerażenia z zamętu
czy znów jakiś Neron z lutnią
bawiący się pożarem Rzymu
bądź Napoleon co świat chciał wziąć w posiadanie
a zgłiszcza po sobie zostawił*

Dokąd gnasz Europo

*Dokąd gnasz Europo w tym potwornym zamęcie
jaki to byk porwał cię i uwodzi
najpiękniejszą kobietę świata
która spłodziłaś Dantego i Schillera
stworzyłaś Akropolis Louvre i wyspę Capri
któraś krzyż dźwigała aż do naszych czasów
by go obcy teraz zrzucali z pomników*

*To nie Zeus cię porwał
nie Zeus cię niesie w dal nieskończoną
a oni z półksiężycem
i wiarą wrogą wszystkim innym wiarom
to oni już dwukroć próbowali cię porwać
gdzie jesteś Karolu Młocie gdzieś Janie Sobieski
aby ustrzec cię by cię znów obronić*

*To ty sama ich zapraszasz
sama ich uwodzisz
ich statki do swych brzegów ciągniesz
chlebem solą ich częstujesz
by cię potem zbiorowo gwałcili
aby ich kultura twą kulturą była
byś i ty w burce chodziła*

*Już nie jesteś taka piękna
i taka ponętna
już na tobie ślady soclib prostytucji
a za lat ileś zgłiszcza po tobie
i swąd spalenizny zostanie
nad nimi zaś krążyć będzie orzeł
gniazda nie znajdując*

KONRAD SUTARSKI

► Ci pisarze, którzy myślą podobnie, chcieliby działać podobnie i chcieliby przyłączyć się do niniejszego apelu, proszę by dali mi znać pod następującym adresem: 1014 Budapest, Üri u. 31. II. 1., e-mail: konrad.s@t-online.hu, tel. +36 70 5066626. Odpowiem na ten znak, abyśmy wiedzieli, kto stoi po naszej stronie. Poza ogólną chęcią przyłączenia się do apelu w obronie tradycyjnej,

chrześcijańskiej Europy, prosiłbym także o przysłanie mi literackiego dzieła o tej tematyce (wiersza, bądź krótkiej prozy, eseju). Pragnąłbym zebrać te utwory w krajową względnie nawet międzynarodową „Antologię w obronie Europy”.

Inne formy działania oraz możliwości organizacyjne wybierzemy wspólnie później. Będą one zależały od ilości zgłoszeń.

Z podobnym apelem wystąpiłem także do pisarzy węgierskich z całej Niecki Karpackiej. Węgry to piętnastomilionowy naród z który my, Polacy, pozostajemy w tysiącletniej już przyjaźni i który podobnie jak my jest atakowany przez federalizacyjny globalizm Zachodu.

KONRAD SUTARSKI ■



Lyrik von Rainer Maria Rilke übersetzt von Witold Hulewicz mit einem Vorwort von Romuald Karas

Ziel dieses Projektes, ausgeführt im Rahmen des Vertrages mit dem polnischen Institut Książki (=Literaturinstitut), ist die Herausgabe der Gedichte von Rainer Maria Rilke in der polnischen Übersetzung von Witold Hulewicz. Die zweisprachige Edition bringt den Reichtum des literarischen Werkes von Rainer Maria Rilke, einem österreichischen Dichter, Vertreter des Symbolismus, Vorläufer des Existenzialismus, näher. Sie vertieft aber auch das Wissen über Leben und Werk von Witold Hulewicz – einem polnischen Dichter, Schriftsteller, herausragenden Übersetzer und Mittler zwischen deutschsprachiger und polnischer Literatur. Die Gedichte wurden unter anderem folgenden Sammlungen entnommen: *Das Stundenbuch* (Gedichte aus den Jahren 1899-1905, übersetzt 1935), *Das Buch der Bilder* (Gedichte aus den Jahren 1902-1906, übersetzt 1927). Die zweisprachige Edition wird 2021 zum 95. Todestag von Rainer Maria Rilke (29. Dezember 1926, Valmont bei Montreux) und zum 80. Todestag von Witold Hulewicz (12. Juni 1941, Palmiry bei Warschau) erscheinen.

Poezja Rainera Marii Rilkego w tłumaczeniu Witolda Hulewicza z przedmową Romualda Karasia

Celem projektu, realizowanego w ramach umowy z Instytutem Książki, jest wydanie poezji Rainera Marii Rilkego w polskim tłumaczeniu Witolda Hulewicza. Dwujęzyczna edycja będzie przybliżeniem bogactwa poetyckiego austriackiego poety, reprezentanta liryki symbolicznej, prekursora egzystencjalizmu, jak również poszerzeniem wiedzy o życiu i twórczości Witolda Hulewicza – polskiego poety, pisarza, wybitnego tłumacza literatury niemieckojęzycznej. Wiersze zostaną zaczerpnięte między innymi ze zbiorów: *Das Stundenbuch* (wiersze z lat 1899-1905, tłum. 1935) i *Das Buch der Bilder* (wiersze z lat 1902-1906, tłum. 1927). Dwujęzyczny zbiór poezji ukaże się w 2021 roku, z okazji 95. rocznicy śmierci Rilkego (+29 XII 1926, Valmont koło Montreux) i 80. rocznicy śmierci Hulewicza (+12 VI 1941, Palmiry).

Übersetzung von Texten des Verlags / Tłumaczenie tekstów od wydawcy: Agnieszka Karaś
Verlags- und Redaktionsarbeit / Opracowanie redakcyjne i wydawnicze: Ireneusz St. Bruski
Grafik-Design / Opracowanie graficzne: Dobrochna Bugiera
Korrektur / Korekta: Radosława Pieniężna-Grabowska

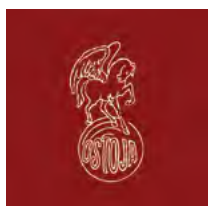
Dwujęzyczną edycję dofinansowano ze środków
Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Die zweisprachige Edition wurde mitfinanziert
vom Ministerium für Kultur, Nationales Erbe
und Sport der Republik Polen, aus dem Fonds
für Kulturförderung



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu

Wydawca / Verlag



Wydawnictwo
Stowarzyszenia
im. Witolda Hulewicza

Patronat medialny / Medienpatronage



Stowarzyszenie
Imienia
Witolda
Hulewicza

SDP
Stowarzyszenie
Dziennikarzy Polskich
DOBIEGAŁ WARSZAWSKI

się myśli
NIEZALEŻNY FUNDUSZ KULTURY
POL CAN ART.
FUNDACJA KRS 000063759

SZUKA • LITERATURA • SPOŁECZEŃSTWO
OSTOJA
CZASOPISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE

KULTURA i BIZNES

W 2021 roku, w którym przypadają dwie rocznice związane z wybitnymi postaciami europejskiej kultury – poetą Rainerem Marią Rilke (+ 29 XII 1926) i jego przyjacielem, tłumaczem poezji, Witoldem Hulewiczem (+12 VI 1941) – Stowarzyszenie im. Witolda Hulewicza, wydawca „Ostoi”, wydało książkę pt. *Poezja Rainera Marii Rilkego w tłumaczeniu Witolda Hulewicza* (Warszawa 2021, ss. 396). Dwujęzyczna publikacja ukazała się dzięki finansowemu wsparciu ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury. Niniejszym publikujemy tekst przedmowy autorstwa red. Romualda Karasia, który otwiera to rocznicowe wydanie.



FOT. ARCHIWUM RODZINY HULEWICZÓW

Hulewicz i Rilke

■ ROMUALD KARAS



Legenda, jaką tu przytaczam, towarzyszyła Witoldowi Hulewiczowi od dzieciństwa. Oto jej zapis odnotowany przez reportera.

Działo się to na Kresach. Rycerz ze swym giermkim po przegranej bitwie dostali się do niewoli. Skutych razem wtrącono do lochu. Nikt z wrogów nie zauważył, że ów sługa miał przy sobie ukryte ostre narzędzie. Nocą bez wahania odciął sobie gołęń i uwolnił swego pana. Ten szczęśliwym trafem dotarł w swoje strony i zorganizował odsiecz. Pokonał nieprzyjaciół i uwolnił giermka. Za wierność i poświęcenie nadał mu herb wiążący się z jego czynem. Na pierwszym planie figurował wizerunek złotej goleni. Herb zwał się Złotogoleńczyk.

Dzieje rodu

Ród Hulewiczów pochodził z Wołynia. Rozprzestrzenił się na Podole, sięgnął po Wileńszczyznę, a nawet w głąb ziem Rusi.

Jedna jego gałąź dała początek linii wielkopolskiej. Stało się to dzięki rotmistrzowi Józefowi Hulewiczowi, który był stronnikiem Stanisława Leszczyńskiego w walce o tron Polski. Po klęsce króla i ucieczce z nim do Francji bawił tam krótko, gdyż postanowił wracać w rodzinne strony. W drodze powrotnej zatrzymał się w Wielkopolsce, poznał tam pannę i ożenił się. Zgodnie z porzekadłem: serce nie sługa. Czym ją ujął? Może aparycją. Miał, jak większość Hulewiczów, wygląd człowieka Wschodu. Wysoki, o bardzo śniadej cerze i orientalnych rysach. Skąd to się wzięło? Jego przodek, uczestnik wiktorii wiedeńskiej króla Jana III Sobieskiego, pojął za żonę brankę turecką. Jej geny dały znać także w wyglądzie Witolda Hulewicza. Czesław Miłosz, poeta, zatrudniony w Rozgłośni Wileńskiej Polskiego Radia, której kierownikiem programowym był Hulewicz, podkreślał we wspomnieniach, że do złudzenia przypominał Araba. Autor *Rodzinnej Europy*, laureat literackiej Nagrody Nobla, miał okazję poznać go ongiś jako pracodawcę i twórcę. Sporo mu

zawdzięczał w swoim starcie życiowym po studiach prawniczych na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie.

Rodzicami Witolda Hulewicza byli Helena z Kaczkowskich i Leon Hulewicz, właściciele Kościanek koło historycznej Wrześni i pięciuset hektarowego gospodarstwa. Ona była zawiedziona w swych planach pianistką (sforsowała dłoń), uczennicą, której nauczyciel słuchał w młodości koncertów Chopina w Paryżu. Prowadziła nielegalnie szkoły dla dzieci wiejskich, ucząc je polskiego w zaborze pruskim. On wzorowo gospodarzył, bronił twardo polskości i ziemi wobec polityki germanizacji i wywłaszczeń w Wielkopolsce. Henryk Sienkiewicz, kiedy mu go przedstawiano, miał wykrzyknąć: „Wiem, wiem, daj nam Boże więcej takich Polaków!”. A w księdze pamiątkowej, gdy znalazł się w Kościankach, uwiecznił swój pobyt aforyzmem: „Gdy człowiek przeminie, niech pamięć zostanie”. Gościli w pałacyku Hulewiczów Józef Ignacy Kraszewski i Władysław Stanisław Reymont.

Ciąg dalszy na s. 12 ►

► Ciąg dalszy ze s. 11

Pobyt swój także zaznaczył, w młodości uznany przez Niemców za genialnego, młody Przybyszewski, potem przez rodaków, nie bez powodu zresztą, zwany demonem Młodej Polski. Tutaj pisarz, zasiadając do fortepianu grał Chopina tak przejmująco, że poruszał do głębi słuchaczy niezwykłą interpretacją jego utworów.

Czterech synów państwa Hulewiczów: Jerzy, Bohdan, Wacław i Witold (mieli również trzy córki) spiskowało w gimnazjach niemieckich jak jeden mąż. Należeli to tajnego Towarzystwa im. Tomasza Zana. Stąd ciągle zmieniali swe szkoły, aby ratować się przed wyrzuceniem. To była *Odyseja* edukacji Witolda Hulewicza. Matka śniła, że zostanie wirtuozem o sławie Paderewskiego. Jerzy, najstarszy z braci, później grafik i malarz, dramaturg zagrożony aresztowaniem, znalazł schronienie w liberalnej Galicji, by tam także brać udział w ruchu niepodległościowym.

Jedno pewne: ta ziemiańska rodzina Hulewiczów została ukształtowana przez literaturę i sztukę. Helena i Leon nie wyobrażali sobie, że mogą opuścić wcześniej zapowiedziany koncert Paderewskiego w Berlinie, czy licząc się wystawę malarstwa. Jakże ważny dla obojga był kontakt z pisarzami polskimi.

Mit i prawda w życiu Rilkego

Porównajmy teraz ród Hulewiczów z rodziną Rainera Marii Rilkego. Rilke był twórcą uwielbianym przez Witolda Hulewicza. Urodził się 4 grudnia 1875 roku w Pradze. Na chrzcie otrzymał imiona: René, Karol Wilhelm, Józef Maria. Imię Rainer przybrał w wieku dorosłym, eliminując René.

Dlaczego Rilke pozbył się francuskiego imienia René? Jego matka straciła córeczkę, jeszcze przy piersi. Z tęsknoty za tym dzieckiem ubierała synka w sukieneczki. Dała mu francuskie imię René, gdyż jest ono zarówno męskie, jak i żeńskie. Do zmiany tego imienia namówiła Rilkego jego miłość Lou Andreas-Salomé.

Mieczysław Jastrun, poeta i tłumacz od przed wojny autora *Księgi godzin*, pisze w posłowniu zbiorowego wydania *Poezji Rainera Marii Rilkego* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974): „Ojciec – Józef Rilke, najpierw oficer (udział w kampanii włoskiej), później skromny urzędnik w praskim Towarzystwie Kolejowym, bardzo mieszczański w swoich ideałach życiowych, matka, Zofia (lub Phia) z domu Entz, pochodziła z bogatej kupieckiej rodziny. Małżeństwo to nie było zbyt dobrze dobrane; pani Zofia Rilke była w przeciwieństwie do swego męża marzycielką



(co prawda marzenia jej krążyły wokół pałaców arystokratycznych i książęcych rodów), romantyczną damą, która uważała się za skrzywdzoną przez los, o czym syn musiał słyszeć od dzieciństwa, jeśli nawet w najdojrzalszej jego poezji raz po raz pojawiają się portrety kobiet niezadowolonych z losu, marzących o niezwykłych przygodach (*Portret damy z lat osiemdziesiątych*) albo odepchniętych przez życie (*Los kobiety*)”.

Ojciec poety, z ducha wojskowy, marzył o herbie i rycerskim pochodzeniu. Syn w taki mit uwierzył. W starszylachecki mundur ubierał ojca i siebie. Motyw księcia i rycerza powtarza się w jego twórczości. Nie śnił zapewne, że szczyt popularności osiągnie jego poemat prozą z 1906 roku *Die Weise von Liebe und Tod des Cornets Christoph Rilke* (*Pieśń o miłości i śmierci chorążego Krzysztofa Rilke*) – druk w nakładzie łącznym jednego miliona egzemplarzy. Tłumaczenie polskie ukazało się w 1919 roku.

Kościanki i okolice

Wróćmy do rodzinnych stron Witolda Hulewicza. Co się działo nad Wartą i Obrą?

W latach 1871-1878 rozpoczął się Kulturkampf w Rzeszy. Była to walka rządu pruskiego (Bismarcka) z katolicko-separatystyczną opozycją. Na terenach polskich Kulturkampf łączył politykę antykościelną z działalnością germanizacyjną i antypolską. Po kanclerzu Bismarcku kontynuował taką działalność cesarz Wilhelm II. Germańska nienawiść Niemców do Słowian sprawiła, że Sienkiewicz w *Quo vadis?* dla przeciwwagi obdarzył słowiańskich bohaterów swej powieści Lidię i Ursusa

szlachetnymi cechami charakteru. We wczesnym opowiadaniu *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela* ukazał ucisk zaborczej szkoły.

Rodzina Hulewiczów znalazła się w centrum nasilenia polityki pruskiej wobec ludności polskiej w Wielkopolsce. Poczynając od 1901 roku był to cały ciąg posunięć przypominający dawne „rugi pruskie”. W pobliżu Kościanek rozgrywała się walka dzieci Wrześni o naukę religii w języku polskim. Spotkała je chłosta. Do podręczników szkolnych i encyklopedii trafia, już w wolnej Polsce, Michał Drzymała (1857-1937), chłop wielkopolski, który prowadził długoletnią walkę z władzami pruskimi o budowę domu na ziemi kupionej w 1904 roku od osadnika niemieckiego we wsi Podgradowice. Gdy na mocy ustawy zabroniono mu jako Polakowi stawiania domu, zamieszkał z żoną w wozie cyrkowym.

Czyn ten nabrał rozgłosu nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Wóz cyrkowy zyskał wówczas nazwę wozu Drzymały. Władze siłą usunęły wóz Drzymały z parceli, traktując ustawienie wozu mieszkalnego jako obejście ustawy. Uparty Drzymała zamieszkał wtedy w ziemiance. Aresztowano go kilkakrotnie za to, że wstawiał piecyki żelazne, aby żona mogła przyrządzać posiłki i ogrzewać pomieszczenie. Powoływano się wówczas na naruszenie przez niego przepisów ochrony przeciwpożarowej.

Ojciec i jego synowie

Leon Hulewicz, pan na Kościankach, czując, że zagrożony jest jego majątek, zdecydował się w przypadku rugów z ziemi, na krok ostateczny. Pisał do każdego z czterech synów kontynuujących naukę w szkołach średnich i na studiach: „Czytaliście z pewnością o uchwaleniu przez sejm pruski ustawy o wywłaszczeniu. Jest rzeczą oczywistą, że w pierwszej kolejności będą wywłaszczać obywateli Wielkopolski i Pomorza, którzy się narazili niemiecko-pruskiej władzy, stając w obronie polskości i powołując się na przyrodzone prawo do przyznawania się do swojej narodowości i posiadania własnej ojczyzny. [...] Oświadczam Wam, że skoro przyjdzie na mnie kolej, nie myślę się ugiąć przed gwałtem i zamierzam bronić dostępu do mego domu z bronią w rękę. Was, kochani synowie, nie chcę krępować w Waszej decyzji. Każdy musi sam postanowić, co czynić i jak się w takim wypadku zachować, a radzić się powinien własnego sumienia. Zapytuję Was teraz, czy – gdy taka chwila nadejdzie – chcecie być przy mnie?”.

Wszyscy czterej synowie, jak jeden mąż, odpowiedzieli, że staną przy ojcu. Postąpią wedle jego woli.

Akcja rugów objęła na szczęście tylko trzy gospodarstwa w Wielkopolsce i jedno na Pomorzu. Stało się tak dlatego, gdyż wyłoniła się o wiele ważniejsza, wręcz odwieczna sprawa: przygotowanie Rzeszy do wojny, opracowanie jej planów, zgromadzenie niezbędnego potencjału. Odżyła idea *Drang nach Osten*, parcia na Wschód.

Leon Hulewicz zmarł w 1910 roku. Witold miał wtedy lat piętnaście (urodził się 26 listopada 1895 r.). Marzył o wolnej Polsce. Czytał o jej wielkości. Żył pod zaborem pruskim. Czuł, że na tej ziemi biło przed wiekami serce rodzącej się Polski. Tu kształtowało się państwo polskie. Nazwa Wielkopolska określała jego rangę. Gotów był służyć tej Polsce, którą trzeba wskrziesić. Służyć aż do zwycięstwa. Takie snuł plany. Tymczasem w 1915 roku przyszło mu założyć mundur pruski.

Wielka Wojna i pacyfizm

Wybuch Wielkiej Wojny, śniony przez naszego wieszczę Adama Mickiewicza, sprawia, że żołnierze narodowości polskiej z trzech zaborów znaleźli się po dwu stronach frontu. Brat walczy z bratem, ojciec z synem, bo i takie przypadki notują kroniki.

Trzech braci Hulewiczów: Bohdan, Wacław i Witold zostało wcielonych do wojska niemieckiego. Tylko Jerzy uniknął poboru, gdyż figurował na liście obywateli austriackich, przenosząc się wcześniej z Kościanek do Krakowa w Galicji. Dzięki takiemu obrotowi sprawy mógł objąć po śmierci ojca na podstawie testamentu zarząd majątku ziemskiego. Wacławowi, który jako jedyny z braci „rósł nie w źdźbło, lecz w ziarno zboża”, jak mawiano w rodzinie i był zapamiętałym rolnikiem, przyszło tułać się na frontach wschodnich Wielkiej Wojny.

Bohdan i Witold trafili na front zachodni. Stali się uczestnikami bitwy nad rzeką Sommą, jedną z najcięższych i najdłuższych bitew Wielkiej Wojny. Witold służył w łączności. Był sygnalistą. To nader niebezpieczna funkcja. Znaki wojsku dawano z wysokich punktów, namierzanych przez wrażeń artylerię i strzelców wyborowych. Naprawa uszkodzonych linii telefonicznych też odbywała się zwykle pod ogniem nieprzyjaciela.

W okopach Witold czyta wiersze żołnierzy niemieckich. Ukazują się w „Die Aktion”, redagowanym i wydawanym przez pacyfistę i zarazem rewolucjonistę Franza Pfemferta w Berlinie. Tygodnik jest przemycany na front.

Wielka Wojna wyzwoliła w Witoldzie Hulewiczu potrzebę wypowiedzi poetyckiej. Jego utwory odbiegają daleko od



strof powszechnie znanych. Burzą je brutalne realia. Należy pisać prawdę o tym, co dzieje się na froncie, co przeżywają żołnierze. Oto z autopsji ukazywany obraz lazaretu: „W mroku sali tkwią białe plamy opatrunków. Nad nimi drga / febrą gorączka, przeszywana twardym krzykiem ofiary”.

Witold poznaje na froncie twórczość poetów ekspresjonistów. Część utworów spolszcza i tłumaczy. Sygnuje kryptonimem Olwid.

Z wybuchem Wielkiej Wojny Rilke stara się uniknąć wcielenia do wojska. Zmienia miejsca pobytu. Kluczy. Z Niemiec przenosi się do Austrii, lecz tam wpada. Dostaje przydział do 1. Regimentu Strzelców Landwehry. Poznaje, co to służba polowa z bronią w rękę. Tak o tym wspomina, gdy już pozbył się munduru: „Wojna wykopała we mnie straszliwą przepaść, najzupełniej wytrąciła mnie z szyn, nie mogłem nic pisać ani myśleć. To były straszne lata”.

Do upokarzających doświadczeń w czasie służby w wojsku podczas Wielkiej Wojny wróci Rilke w trakcie rozmowy z Witoldem Hulewiczem. Poeta przebywać będzie wtedy w Szwajcarii.

Przybyszewski w Kościankach

Jerzy Hulewicz nie tylko gospodarzy w Kościankach. Snuje także marzenia o ożywieniu Wielkopolski nowym nurtem kultury. Zna rewolucyjne prądy w sztuce Zachodu, poezję odmienioną przez nurt ekspresjonizmu. Wyzwoloną z więzów tradycji mentalność społeczeństwa. Jak to wszystko przenieść na miejscowy grunt? Świta mu myśl redagowania dwutygodnika „Zdrój” i wydawnictwa książkowego „Osto-

ja”. Nawiązuje kontakty ze Stanisławem Przybyszewskim, wegetującym w Monachium. Trwa między nimi korespondencja.

Przybyszewski dowiaduje się o zauroczeniu braci Jerzego i Witolda twórczością Rilkego. Chce obrzydzić im poetę. W liście z datą 18 października 1917 roku tak pisze do Jerzego Hulewicza, redaktora naczelnego „Zdroju”: „Delikatny i uroczy ach! ach! feminizm Rilkego nie nadaje się do pisma, którego zadaniem jest głosić «Boga», wyznawanego przez Słowackiego lub Norwida. Ten cały René Maria Rilke, pół-Czech, pół-Niemiec, pół-baba i jedna tysięczna część chłopca to dobre dla bepcioowych estetów”.

Hulewicz ściąga do Kościanek pisarza z kolejną żoną Jadwigą Kasprończową i jej córkę. Tu jest dostatek, choć toczy się wojna. Piękno pałacyku i okolicy. Przybyszewski jeszcze raz zmienia swoją skórę. Postanawia działać. Tchnąć ducha w tę zapyziałą Wielkopolskę. Tak sądzi. Zdaje sobie jednak sprawę, że potraktowany zostanie niczym persona non grata. Znają go jako demona Młodej Polski. Wybuch Wielkiej Wojny słał z pozycji pangermańskich. To go przekreśla w oczach Wielkopolan. Winien działać anonimowo, także przez innych, wszczepić im nowego ducha, uruchomić drzemające w nich siły.

Jaki jest stosunek Przybyszewskiego do twórczości Rilkego? Czy ją zna i czy ceni? Niebawem da temu negatywny wyraz w kontaktach z Jerzym Hulewiczem.

Moim sąsiadem przez drogę na Działkach Literackich w Karolinie koło Sierocka nad Narwią był profesor Stanisław Hel-sztyński, specjalista od Przybyszewskiego, jego biograf i wydawca korespondencji. Jako młody człowiek odwiedził Kościanki, kiedy akurat bawili tam przez miesiąc Przybyszewski ze swoją żoną, którą odbił Kasprończowi. Był świadkiem dyskusji „demon” z Jerzym Hulewiczem na temat materiałów, jakie napłynęły do redakcji. Przybyszewski określił je mianem prowincjonalnych staroci, a siedzibę „Zdroju” jako antykwarnię. I oburzył się, że na dodatek chcą jeszcze wcisnąć na łamy Rilkego, którego twórczość uznawał za anachroniczną, pełną różnych – jak mówił z pogardą – książąt, rycerzy i giermków. On, rzecznik nowych prądów, uważał Rilkego za człowieka nie z tej epoki. Nie on jeden.

W okresie mojej współpracy z redakcją „Życia Literackiego” w Krakowie czekałem z niecierpliwością na *Lektury nadobowiązkowe* Wisławy Szymborskiej. W eseju opublikowanym 28 czerwca 1981 roku, poświęconym *Listom*, jakie pisali do

Ciąg dalszy na s. 14 ►

► Ciąg dalszy ze s. 13

siebie Rainer Maria Rilke i Lou Andreas-Salomé, przyszła noblistka stwierdza: „Nie poety nie obchodziło, czy jest wystarczająco «dzisiejszy» i nowoczesny. Ten problem zaczynał spędzać sen z powiek wielu już artystom, ale nie Rilkemu. Robił swoje, nie zastanawiając się wcale, czy odpowiada to potrzebom chwili. Rzeczywistość polityczna po prostu dla niego nie istniała”. Poetka oglądała w Wiedniu pięknie wydaną antologię poetów austriackich XX wieku. Ze zdziwieniem zauważyła, że pominięto Rilkego. W odpowiedzi usłyszała, że w odczuciu wydawców należy on do XIX wieku. „Mój Boże, pomyślałam, cóż to za dziecinne mędrkowanie. Wiek XX wcale się jeszcze nie skończył, a już powzięto o nim jakieś wyobrażenie globalne, a uproszczone, już się wie, co jest w nim istotne, a co nie, już się przesądza, jacy poeci do niego pasują albo nie pasują. Tym sposobem największy poeta Austrii i jeden z największych Europy, którego najważniejsze wiersze powstały właśnie w pierwszym naszym dwudziestolecu, dlatego tylko, że przesadywał w omszałych zamkach i zajmował się aniołami, został wykopany do wieku XIX. A co będzie, jeśli się także nie zmieści w wymyślonym przez kogoś obrazku pt. Wiek XIX? Czy nie lepiej trzymać się po prostu kalendarza i szanować daty?”.

Kim ma być Olwid?

Stanisław Przybyszewski pisze niezwykle list. Adresatem jest przebywający na froncie Witold Hulewicz: „Upatruję w Panu właśnie tego człowieka, który może już za niedługo – oby Bóg dał! – podejmie wraz z bratem Jerzym, tę krwawą pracę naokoło kultywacji Poznańskiego. [...] Niech się tylko Pan do mnie zwraca z całą ufnością i z tym przeświadczeniem, że każdy szczerzy list Pański serdeczną radość mi sprawia – a niezmiernie interesuje mnie rozwój duszy Pańskiej”.

W innym liście, o charakterze wręcz proroctwa, Przybyszewski tak Witoldowi wieszczy przyszłość: „Najwspanialszym zadaniem – to już dla Pana – budować wieżę. Napatrzył się Pan we Flandrii na te niesłychane cuda gotyku: tylko najśmielszych i na najcięższe męczeństwo skazanych było stać na budowanie wieży”.

Witold Hulewicz weźmie do serca słowa Przybyszewskiego. Po swojemu będzie budować wieżę. Z konsekwencją Wielkopolanina.

„Ostoja”

„*Ons Huys – Nasz Dom* wryto złotymi zgłoskami na froncie wspaniałego gmachu, jaki wystawili dla siebie robotnicy



Jerzy Hulewicz portretuje Stanisława Przybyszewskiego, Kościanki 1916

FOT. Z ARCHIWUM RODZINY HULEWICZÓW

flamandzcy i z dumą go pokazują w Gandawie cudzoziemcowi – czytamy w programie «Ostoi», spółki wydawniczej, jaką powołał Jerzy Hulewicz z podszeptu Przybyszewskiego. – Oby nadszedł ten czas, kiedy poznańczyk będzie mógł wskazać na «Ostoję» jak na nasz symboliczny *Ons Hays*”. Przybyszewski w liście do Jerzego Hulewicza marzy o gmachu „w którym pomieści się drukarnia własna «Ostoi» i księgarnia, i sala odczytowa i koncertowa, biblioteka, sala zgromadzeń obywatelskich i salon wystawowy obrazów i rzeźb, a może i mała scenka teatralna”.

„Zdrój”

„Jesienią 1917 Kościanki gorączkowo przygotowują się do wydania pierwszego numeru «Zdroju». Kibice i kurierzy pisma, głównie artystyczna młodzież przygrywają dla nastroju na pianinie” – przedstawia Agnieszka Karaś atmosferę narodzin dwutygodnika w książce biograficznej o Witoldzie Hulewicu *Miał zbudować wieżę* (2003). I cytuje anonimowe fragmenty słowa wstępu do dwutygodnika ilustrowanego, który ma być poświęcony życiu artystycznemu i kulturze umysłowej: „Da-

liśmy naszemu piśmu nazwę symboliczną «Zdrój». Ma ono być istotnie Zdrojem, jaki otworzyli nam, potomnym, Mickiewicz, Słowacki, Norwid, czarodziejską różdżką genialnej intuicji i proroczego jasnowidzenia, a Zdrojem tym to właśnie Sztuka, jako łącznik świata widomego z niewidomym; Sztuka: samo objawienie człowieka w całej jego nieobjętej sferze bytowania – życie człowieka w całej jego ogromnej pełni...”.

Mimo linii pisma nader ostrożnej, „Zdrój” staje się obiektem nagonki, głównie „Kurieria Poznańskiego”. Jest zagrożeniem dla drobnomieszczańskich poglądów. Kłóci się też z pozytywistycznym stanowiskiem społeczeństwa Wielkopolski. Około półtora tysiąca prenumeratorów w całej Polsce (sześćset w Poznaniu) nie stwarza podstaw do samowystarczalności finansowej tytułu. Poznański „Przewodnik Katolicki” ma nakład dwustutysięczny. Łożenie z dochodów Kościanek może szybko się skończyć. Tymczasem Witold *vel* Olwid wiąże ze „Zdrojem” swoją literacką przyszłość. Debiutuje w piśmie esejem o książce Bernharda Kellermanna *Der Krieg im Westen (Wojna na Zachodzie)*. Ogłasza pacyfistyczne wiersze poetów frontowych w spolszczeniu.

„Zdrój”, pod wodzą Jerzego Hulewicza, stara się przeszczepić na grunt polski ekspresjonizm, dominujący w sztuce niemieckiej. Powstaje ugrupowanie artystów „Bunt”. Wystawa ich prac w Poznaniu okazuje się sukcesem finansowym – sprzedano większość obrazów. Przybyszewski stara się powiązać ekspresjonizm z dziełami Juliusza Słowackiego, uczynić kierunek bardziej polskim. Nowy prąd dominuje w pracach graficznych publikowanych obficie na łamach „Zdroju”. Niezwykle: „Zdrój” dostrzega geniusz Picassa, pisze o nim i zamieszcza reprodukcje jego prac.

Militaryzm, maska siły

Wielka Wojna ukazuje Rilkemu nie tylko sprawcą rolę Rzeszy Niemieckiej w tej rzezi narodów. Obnaża także w 1918 roku



oblicze społeczeństwa, jego militaryzację. Rilke sprawy te porusza w liście skierowanym do monachijskiego lekarza doktora Ericha Katzensteina: „Ze swej strony mogę w obecnej chwili zapewnić tylko o jednym, że spośród powodów, które w latach mej młodości gnały mnie za granicę, powodem nie najmniej istotnym było to, że w tym militarystycznie przymuszonym narodzie; narodzie, który swe niedojrzałe oblicze skrywał za wykrzywioną maską siły, jaką mu założono, nie mogłem rozwijać swej przyszłości w sposób swobodny i światowy. We wspaniałych latach nauki spędzonych w pełni swobody krajach (do których w boskim znaczeniu zaliczam także Rosję), z z troskaniem przyglądałem się pełnej urazy postawie Niemiec”.

Inny list Rilkego, pisany do przyjaciółki Wunderly-Volkart. Niezwykły, szokujący w swej treści, pełen także furii: „Cóż za obrzydliwość, ten niemiecki rząd, z jego podżeganiem, podjudzaniem, jego «zacną», a jednak nieprawdziwą złością. Do tego sztandary opuszczone do połowy masztu, które nie są niczym innym, jak tylko (wcześniej jeszcze) ściągniętymi do połowy masztu, galowymi spodniami Wilhelma II. [...] Ach, Chère, jakże ja nienawidzę tego narodu [...] coś to za wybryk natury! Nikt nie będzie mógł utrzymywać, że piszę w jego języku! – To nie jest naród, to nie naród! To masa, użyteczna do każdego wybryku pyszałków; obojętna wobec każdej idei, lecz dumna z tego, że tyle idei «przepędziła». Niczego nie potrafi spożytkować, lecz wszystko tylko wyzyskuje [...]. Żaden to naród, żadne państwo; to związek niskich instynktów”.

Oba listy cytuję z książki Fritza J. Raddatza pt. *Rainer Maria Rilke. Byt niezmierzony. Biografia*, w przekładzie Dariusza Guzika (Wydawnictwo Aletheia,

Warszawa 2019). Pozycja ta wnosi wiele nowych faktów, ukazujących w innym niż dotychczas świetle życie i twórczość autora *Księgi obrazów*.

Jedynie zwycięskie

Z przyjazdem Ignacego Paderewskiego 26-27 grudnia 1918 roku do Poznania wiąże się wybuch Powstania Wielkopolskiego. Jednym z jego organizatorów jest Bohdan Hulewicz; należy też do jego dowódców wojskowych. Wywiad z ramienia Piłsudskiego organizuje Jerzy Hulewicz. Za łączność odpowiada Witold; przydatne okazują się jego doświadczenia sygnalisty z pięciu lat służby w mundurze pruskim. Wacław uczestniczy w staczanych bitwach. Próbuje rozszerzyć działania powstańcze na obszar Pomorza.

Siła militarna Niemiec, mimo przegranej Wielkiej Wojny, pozostawała ciągle duża. Niezależnie od niej nacjonaliści niemieccy kierowali na wschód ochotnicze oddziały Grenzschutzu (ochrona pogranicza) i Heimatschutzu (ochrona ojczyzny). Liczono się z możliwością oderwania się Wielkopolski od Niemiec i usamodzielnienia. Górę brało poczucie niemieckości w radach ludowych. Powstańcy toczyli krwawe walki. Ukształtowały się trzy główne fronty powstania: północny, zachodni i południowy.

16 stycznia 1919 roku głównodowodzącym armii wielkopolskiej został generał Józef Dowbór-Muśnicki. Ochotnicze oddziały powstańcze przekształcono w regularną armię. Powołano kilka roczników pod broń. Władza polityczna Powstania Wielkopolskiego należała do Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej. Rada podjęła ożywioną działalność dyplomatyczną przez Komitet Narodowy Polski w Paryżu. Walczono już na dwa fronty, walcząc nie tylko zbrojnie. Równocześnie akcję

dyplomatyczną podjął rząd polski, na którego czele stanął Ignacy Paderewski. Działania te zwieńczone zostały pokojem w Trewirze. Mimo oporu rządu niemieckiego i militarystów delegacja niemiecka musiała przyjąć warunki mocarstw sprzymierzonych. Ogłoszono przerwanie walk na frontach powstańczych, ale sprawa przyłączenia Wielkopolski do ziem wskrzeszonej Rzeczypospolitej nie została przesądzona. Obszar wyzwolonych terenów znajdował się jednak pod władzą Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej (NRL), choć formalnie leżał w granicach państwa pruskiego. Rosła za to w siłę armia powstańcza, osiągając liczbę siedemdziesięciu tysięcy żołnierzy. W każdej chwili gotowa była odeprzeć ataki niemieckie na Wielkopolskę. Z tymi argumentami siły Powstania Wielkopolskiego, jak też faktem zamieszkiwania ziem wielkopolskich w większości przez ludność polską musiała liczyć się konferencja pokojowa z 16 lutego 1919 roku. W zasadzie akceptowała ona tereny wywalczone przez powstańców za przynależne Polsce.

Rilke i Rodin

Z jednej strony Olwida był kusiciel Przybyszewski, ale z drugiej pojawił się ktoś zgoła inny: Rainer Maria Rilke (1875-1926). W księgarni polowej natknął się Witold na jego studium *Auguste Rodin* (1903). Książka poruszyła go odmiennym widzeniem twórczości. Artystę rzeźbiarza porównuje Rilke do rosnącego stale lasu, do lasu rąk jak drzew. Już w 1919 roku pyta Hulewicz w liście do Rilkego, czy mógłby przetłumaczyć jego książkę *Auguste Rodin*. Olwid planuje wydanie cyklu „wielkich żywotów”, takich jak Michał Anioł, Beethoven, Tolstoj, Słowacki, Mickiewicz. Znamy odpowiedź Rilkego: „Moja – nieco nadwątlona znajomość języka rosyjskiego – musiała starczyć na rozeznanie się w Pańskiej przedmowie. A zatem nie dziękuję Panu w ciemno, pisząc, że cieszy mnie i zaszczyca fakt, że zechciał Pan zacząć ów cykl biograficzny od mojej pracy”.

„Dziękując Hulewiczowi za przetłumaczenie i «piękne wydanie» *Rodina*, Rilke już się cieszy z planów tłumacza: «To, że wspominał Pan również o *Maltem* (*Aufzeichnungen des Malte Laurids Brigge*) – pisze do Olwida – cieszy mnie szczególnie». Odkąd ukazał się *Malte*, Rilke nie wydał właściwie nic nowego. Teraz dopiero wydawnictwo «Insel» drukuje dwa jego nowe zbiory poetyckie – zauważa Agnieszka Karaś w swej książce o Witoldzie Hulewiczu *Miał zbudować wieżę*.



Rainer M. Rilke z Augustem Rodinem, Meudon 1905 FOT. ALBERT HARLINGUE/ROGER VIOLETTE

Ciąg dalszy na s. 16 ►

► Ciąg dalszy ze s. 15

Jak przewidział Przybyszewski, działalność „Ostoi” i „Zdroju” nie potrwa długo. Przeszczepianie ekspresjonizmu z Niemiec na grunt polski, a w dodatku Wielkopolski ma krótkie nogi. Pisarz wycofuje się z redakcji pisma, opuszcza Kościanki. Tylko wciąż żywym wspomnieniem pozostaje jego niepowtarzalna gra utworów Chopina. Czy to była dezercja? Nie. Akurat realne rozeznanie sytuacji. W dodatku przez pisarza, który w okresie swej młodości spędzonej w Niemczech kładł podwaliny pod nowy kierunek w sztuce zwany ekspresjonizmem. Pisał i wydawał wtedy swe utwory po niemiecku. Po polsku wychodziły w kiepskich jego przekładach.

Czy była to przegrana z kretelem? Nie. Jan Józef Lipski w haśle *Ekspresjonizm w Słowniku literatury polskiej XX wieku* (Wyd. Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków 1993) dostrzega istotny wkład w literaturę polską: „Nazwa «ekspresjonizm» wiąże się u nas głównie z poznańskim czasopiśmem «Zdrój», wydawanym w latach 1917-1922 przez braci Jerzego i Witolda Hulewiczów. Wokół «Zdroju» skupiła się grupa pisarzy po raz pierwszy w Polsce tak się określająca. I w «Zdroju» właśnie kompetentni jego badacze (E. Kuźma, J. Ratajczak) widzą początek, a zarazem czystą realizację polskiego ekspresjonizmu. W pewnym okresie pisma dominował Przybyszewski [...]. «Zdrój» miał jednak wówczas charakter eklektyczny i kontynuował wszystkie właściwe tendencje występujące w polskim modernizmie”.

A oto inny aspekt dorobku pisma braci Hulewiczów – Jerzego i Witolda: „W «Zdroju» publikowali także przyszli skamandryci. Współpraca ich miała charakter chwilowy, niemniej jednak nie może być uważana za zupełny przypadek”.

Jak wiązać koniec z końcem?

Witold studiuje filozofię i muzykologię na Uniwersytecie Poznańskim, służy wtedy w wojsku polskim. Równocześnie uczy się zawodu w znanej księgarni „Fischer i Majewski”. Zamierza zostać księgarzem, a równocześnie wydawcą. Łączyć te dwie profesje z trzecią, czyli pisarstwem. Nawiązana korespondencja z Rilkiem sprawia, że pisarz zdaje sobie sprawę, jak bardzo oddanego promotora swej twórczości może mieć w Polsce.

Jakże różne są ich postawy w życiu. Autor *Maltego* zamknął się w sobie, odizolował od bieżących spraw. Opuścił żonę i córkę. Jest samotnikiem. Postawił wszystko na jedną kartę – twórczość. Znajduje przygodnych patronów i partnerki. To pozwala mu na jako taką egzystencję. Cierpi stale na brak pieniędzy. Przemieszkuję w róż-



nych samotniach, głównie opuszczonych zamkach. Tam tworzy, odizolowany od bliskich i świata.

Witold marzy o własnej oficynie, w której mógłby wydawać utwory Rilkego. Chwyta każdą okazję do zarobku. Ale Wielkopolskę dotyka kryzys. Do tej pory żywiła Berlin, ale z chwilą odrodzenia Polski nagle to się urwało. Granice państw mimo Traktatu Wersalskiego wciąż są nieustalone. Nowo powstała Republika Weimarska traktuje Wielkopolskę jako część Niemiec. Daje znać polityką, że trzyma tę prowincję w garści.

Hulewicz szuka pracy w Warszawie. Poznaje Annę Karpińską. Zakochuje się w wzajemnością. Biorą ślub. Jaka piękna para! On w polskim mundurze porucznika, ona w bieli. Przeprowadzka do Poznania. Mieszkają razem z matką Witolda. Po roku do trójga dołącza czwarta lokatorka wynajmowanego mieszkania – rodzi się Agnieszka, nazywana Jagienką. Anna w Poznaniu źle się czuje. Nie rozumie natury Wielkopolan. Co za ponury ludzkie. Nie postrzega, że się uśmiechają, kiedy pracują. Dla niej, to niemożliwe. Ale po co mają strześcić języki i czas trwonić. Pożyteczniej zająć się pracą.

Małżonka Witolda nie potrafi gotować. Kiepsko radzi sobie z opieką nad dzieckiem. Nie pojmuje, że może brakować pieniędzy do pierwszego. Ona jest córką dyrektora Banku Towarzystw Spółdzielczych. Teść Hulewicza powtarza: „To wstyd nie mieć pieniędzy. Każdy przyzwoity człowiek winien umieć je gromadzić”.

Olwid debiutuje tomem wierszy *Płomień w garści* (1921). To reminiscencje z przeżyć Wielkiej Wojny i powitanie Odrodzonej Polski. Niewiele zmienia się po tym w atmosferze rodzinnej.

Po siedmiu latach noszenia munduru wojskowego (pięć w armii pruskiej, dwa w polskiej) Witold wraca do cywila w stopniu kapitana rezerwy.

Zimą 1919 roku znowu wybucha wojna. Tym razem między Rosją Radziecką

i Polską. W sierpniu 1920 roku wojskom polskim udaje się zmusić bolszewików do odwrotu. Po raz pierwszy w życiu Witoldowi wydaje się, że nie musi już walczyć o Polskę: Witold jest Polakiem, mówi po polsku, mieszka w państwie polskim. Piszze następujący wiersz:

Manifest Nowego Dnia

Dokonuje się we mnie cud.

Staje się we mnie cisza wielka.

Oddaję wam wszystko powiedziane.

Wszystkie papierki przeszłości.

*Chrystus we mnie obudziwszy się,
zagroził wiatrowi.*

I rzekł we mnie: milcz.

Staje się we mnie cisza wielka.

Nabożeństwo poczęte.

Zamilkłem, by przemówić...

Gorzka przegrana

Po powrocie z wojska redakcję „Zdroju” przejmują z rąk Jerzego Hulewicza, najstarszego z czterech braci, najmłodszy Witold. Nadaje pismu zdecydowane oblicze organu reprezentującego ekspresjonizm. Nie zdobywa tym jednak ani środowiska literackiego w Polsce, ani też rynku czytelniczego. Na losach „Zdroju” zaważyły również wcześniejsze komentarze Jerzego Hulewicza odnoszące się do *Ewangelii św. Jana*, propagowanie religii Wschodu, teorii teozoficznych i okultystycznych. To była obraza tradycyjnego katolicyzmu Wielkopolski.

Zenon Kosidowski, przyjaciel Witolda, jeden z czołowych współtwórców „Zdroju”, tak przedstawiał idee i działania nowego ruchu, który stał się już kartą historii kultury polskiej: „Ekspresjoniści nie tylko chcieli odrodzić sztukę i nadać jej właściwy sens, ale uważali, że są powołani do tego, aby spełniać na ziemi dziejowe posłannictwo. Poczytywali siebie za apostołów, przynoszących zmaterializowanemu światu miłość Chrystusową i światło ducha”.

Rok 1922. Ostatnich numerów „Zdroju” nie chciała drukować żadna z polskich drukarni w Poznaniu. Podjęły się tego zadania drukarnie niemieckie.

Stanisław Helsztyński, Wielkopolanin, w biografii *Przybyszewski* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1958) tak widział ów „brask epoki”: „Mgławicowe teoretyzowanie ekspresjonistów poznańskich, «Zdrojowców», bez względu na to, czy wywodzili się z towiańszczyzny Mickiewicza i przedśmiertnych genezyjskich wizji Słowackiego, czy z berlińskiej «Die Aktion» i «Der Sturm» zostały osądzone surowo, trzeźwo i odrzucone”.

Wysadzeni z siodła

Zwykło się uważać, że „Zdrój” i „Ostoja” pochłonęły majątek Hulewiczów w Kościankach. To tylko część prawdy. Na pewno

go nadszarpnęły. Jerzy Hulewicz nie miał ręki tak gospodarnej, jak jego ojciec Leon. Płacił nazbyt wysokie honoraria autorom drukującym w piśmie i wydawnictwie. To pewne. Wdał się w hodowlę koni wyścigowych, ale te nie zwyciężały na zawodach. Majątek, który dawnymi laty przynosił stałe dochody stał się deficytowy. Nie tylko z powodu gorszego zarządzania, ale także z racji polityki celnej, jaką zaprowadziły Niemcy. Był to odwet za zwycięskie Powstanie Wielkopolskie. Utratę spichlerza, który karmił Berlin. Postanowiono zdusić wielkotowarowe gospodarstwo, produkujące na eksport. Do takich należał majątek Kościanki. Cła zaporowe podcięły opłacalność. Zaciągniętych kredytów na nawozy, środki ochrony roślin, zakup narzędzi nie było z czego spłacać bankom. Widmo bankructwa stanęło nie tylko przed Kościankami. Ratowano się sprzedażą dóbr. Ostały się tylko majątki z dużym kapitałem, gdyż mogły przetrwać kryzys. Przyszło sprzedać Kościanki. Postarano się, aby trafiły w polskie ręce.

Podział uzyskanych pieniędzy między siedmiorga rodzeństwa Hulewiczów i matkę sprawił, że cała rodzina od razu zbiedniała. Była wysadzona z przysłowiowego siodła. Trafiła na bruk miejski. Inflacja zżerała spadkowe pieniądze. Witold z żoną zamieszkuje w Warszawie. Wybiera peryferie stolicy, aby wynajem mieszkania był tańszy. Natomiast w centrum Warszawy przy ulicy Wspólnej 59 zakłada z Kazimierzem Paszkowskim księgarnię wydawniczą. Wydają książki z zakresu filozofii, sztuki i literatury pięknej. Hulewicz tłumaczy aforyzmy Goethego. Rynek książki jest trudny z uwagi na zubożenie społeczeństwa przez wojnę. Inflacja pożera zyski. Mimo to firma utrzymuje się na powierzchni. Olwid organizuje wieczory poetyckie poświęcone Rilkemu z udziałem wybitnych aktorów. Gwiazdą wśród nich jest Irena Solska. Jeżdżą z występami do wielu miast. Zaprasza ich Wilno. Miasto zachwyca Witolda, nawiązuje kontakt z władzami, myśli o osiedleniu się w grodzie nad Wilią. Praca zawodowa odciąga go od domu. Nie rozumie tego żona. Małżeństwo kruszy się.

Hulewicz nawiązuje kontakty z redakcją „Wiadomości Literackich”. Otrzymuje zamówienie na wywiad z Paulem Valérym, jedzie do Paryża. Spotyka się tam w kawiarni La Rotonde z polskimi artystami. Roman Kramsztyk, wybitny malarz polski żydowskiego pochodzenia, rysuje portret Witolda; widać twarz zgnębionego człowieka. Hulewicz staje jednak na nogi, atmosfera twórczego Paryża przywraca mu siły. Postanawia odwiedzić Rilkę w Szwajcarii.



Samotnik bez ojczyzny

Na stacji Sierre wśród kilku szwajcarskich górali i ostatnich letników czeka średniego wzrostu, wąty pan, to Rainer Maria Rilke. Hulewicz wita poetę słowami: „Ja przecież znam pana od dawna”. Trzy lata trwała ich korespondencja. Podczas śniadania w restauracji Witold opowiada Rilkemu o Paulu Valérym. Wędrują do Château de Muzot. Mijają świeżo zrąbany pień topoli. Poecie żal ściętego drzewa, nie przyjmuje wyjaśnienia chłopca, że korzenie wysysały soki z pola. Rozmowa w trakcie dwudniowego pobytu schodzi na temat Wielkiej Wojny. Rilke mówi, że wykopała w nim „straszliwą przepaść, najzupełniej wyrzuciła go z szyn”. Stał się samotnikiem. Kocha psy, ale nie ma żadnego, bo utraciłby spokój. W zamku poruszają kluczowy temat. Oto fragment reportażu Hulewicza:

– Więc dobrze tu panu i nie tęskni pan nigdy za ojczyzną?

– Za jaką? Ja ojczyzny nie miałem. Nigdy.

– Tak – zastanawiam się. Było kilku poetów niemieckich, którzy raz opuścili swój kraj, już do niego nie wrócili.

Rilke podnosi zdziwione oczy.

– Przecież ja nie jestem Niemcem!

– No tak, Austriakiem – poprawiam się.

Rilke także temu zaprzecza. Tekst wydrukowany w „Wiadomościach Literackich” (nr 46, Niedziela 16 listopada 1924, *Dwa dni u autora „Księgi obrazów”*), wzbogacony zdjęciami, wywołał międzynarodowy skandal. Poeta jak tylko mógł, łagodził wymowę wywiadu. Szkodził im obu. Ale nie zachwiał ich przyjaźni. Nie dało się jednak ukryć prawdy tych słów. W korespondencji prywatnej z lat wojny Rilke jeszcze ostrzej formułował swoje poglądy na temat państwa, narodu, ojczyzny.

Niespodzianka

Po powrocie ze Szwajcarii czekała na Witolda niespodzianka. Jego żona wyszła za mąż. Bez rozwodu. Jak to możliwe? Wystarczyło pojechać do Wilna, zmienić

wyznanie z rzymskokatolickiego na kalwińskie i wziąć ślub. Rozgorzała walka o dziecko. Hulewicz wytoczył byłej małżonce proces sądowy. Sąd Jagienkę przyznał ojcu.

Nastąpiła też zmiana w życiu zawodowym Witolda. Zostaje urzędnikiem państwowym przy Delegacie Rządu w Wilnie. Zajmuje się ochroną zabytków. Niebawem jednak odkrywa coś, co staje się pasją jego życia – radio. Współorganizuje Rozgłośnię Wileńską Pol-

skiego Radia, zostaje kierownikiem programowym. Stawia na rozwój informacji, reportażu dźwiękowego i słuchowiska, rozumie potęgę mediów. W ślad za tym przedsiębiorcy żydowscy zakładają w Wilnie fabrykę radioodbiorników, która z czasem zatrudnia tysiąc dwieście osób. W Celi Konrada w klasztorze Bazylianów, gdzie za caratu był więziony Mickiewicz z filomatami, organizuje Środy Literackie, nadaje im rangę ogólnopolską, a nawet międzynarodową. Z matką pianistką objeżdża Kresy, popularyzując muzykę Beethovena. Akcję tę nazywa „Beethovenizacją Kresów Wschodnich”. Píše biografię kompozytora w poetyce ekspresjonizmu oraz w wersji popularnej (*Przybłęda Boży. Beethoven – Czyn i człowiek*). Wprowadza transmisję Mszy z Ostrej Bramy na całą Polskę. Zakłada Związek Zawodowy Literatów Polskich w Wilnie. Wspiera twórców, zatrudnia przyszłe sławy literatury polskiej: Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i Czesława Miłosza. Żubry litewskie, jak zwano tamtejszych ziemian, są zaniepokojone rozmachem działalności Obcego. Do ataku rusza Stanisław Cat-Mackiewicz, redaktor naczelny „Słowa”, które było organem Żubrów. Ukazują się o Hulewiczu złośliwe notatki, felietony, komentarze. Feliks Dangel rysownik satyrk zamieszcza serię karykatur zohydżających Hulewicza. Na przykład przedstawia go jako Wielkiego Mistrza Zakonu Krzyżackiego na tle płonących osad słowiańskich.

Dochodzi do pojedynku Cata-Mackiewicza z Witoldem Hulewiczem. Walczą na szable, obydwaj odnoszą rany. Władze Rozgłośni postanawiają przerwać kampanię oszczerstw, awansują Hulewicza na stanowisko kierownika literackiego Polskiego Radia w Warszawie. Jego zastępcą zostaje Jan Parandowski. Hulewicz tworzy Teatr Polskiego Radia, zwany Teatrem Wyobraźni, bardzo ceniony przez autorów i słuchaczy.

Ciąg dalszy na s. 18 ►

► Ciąg dalszy ze s. 17

Wrzesień 1939

Hulewicz jest u boku Stefana Starzyńskiego, prezydenta Warszawy. Wygłasza odezwy do żołnierzy Wehrmachtu, że dokonują zbrodni na ludności cywilnej. Córka Agnieszka uważa, że Niemcy starali się zapamiętać głos jej ojca, aby go dopaść w stosownej chwili. Już 10 października ukazuje się w sześciotysięcznym nakładzie tygodnik konspiracyjny „Polska Żyje!”. Wychodzi ze zdumiewającą regularnością. Pismo skupia znakomite pióra. Gestapo szuka usilnie redaktora i wydawcy, którym jest Witold.

Agnieszka Hulewicz-Feillowa wspomina: „We wrześniu 1940 roku Ojciec jest aresztowany i osadzony na Pawiaku. Kilka dni później aresztują żonę Ojca, poszukując mnie, mieszkającą pod innym adresem. Na razie udaje mi się ukryć, zatrzymując mnie później – w grudniu tegoż roku, w masowym aresztowaniu w kawiarni Stanisława Piaseckiego «Arkadia» przy ul. Moniuszki. [Również Agnieszka Hulewicz-Feillowa trafia do więzienia na Pawiaku].

Ojciec jest wielokrotnie wożony na Szucho na badania. Traktują go na przemian: raz wykorzystując jako tłumacza, z pewnymi względami i przywilejami, kiedy to udaje mi się pięciokrotnie spotkać Go (raz nawet zamienić kilka słów!), to znów jest męczony, katowany, przetrzymywany w *dunkelzelle* (w ciemnicy) i więziony w separacie.

Pomimo tych przeżyć, utrzymuje nadal kontakt ze swą komórką organizacyjną przez polskich strażników więziennych i nadal wysyła artykuły do pisma «Polska Żyje!». Na tydzień przed Jego śmiercią Gestapo rezygnuje z wydobycia czegokolwiek z uparcie milczącego więźnia. Odczytują Mu wyrok śmierci. W kieszonkowym kalendarzyku (który mam do dzisiaj) zaznacza krzyżyk przy dacie 12 czerwca 1941 roku. W bibliotece więziennej skazanych spowiada szary, niepozorny więzień: jest to ksiądz Maksymilian Kolbe. Rozdaje Komunikanty, przemycane przez strażnika za pazuchą”.

Ostatnia droga

Stanisław Helsztyński przytacza następującą scenę: „W końcu kwietnia 1941 roku gestapowiec wprowadza do celi innego więźnia, Polaka. Kupa skatowanego mięsa leży w kącie na barłogu, odwrócona zmasakrowaną twarzą, tyłem do drzwi:

– Kennst du ihn?

Aresztant pochyla się nad ofiarą.

– Jezus Maria! To Hulewicz!”.

Maciej Kwiatkowski, historyk Polskiego Radia, pisze: „O czwartej rano w czwart-

kowy ranek Bożego Ciała 1941 roku na podwórzu ponurego gmachu przy ulicy Dzielnej 24/26 zajeżdżały ciemnozielone samochody ze złowróżbnym «Pol» na tablicach rejestracyjnych. Sprawnie i wyjątkowo bez wrzasku załadowano 14 kobiet i 15. mężczyzn. Samochody przemknęły przez uśpione w świąteczny ranek miasto. W palmirskim lesie żandarmi ustawili nad krawędzią świeżo wykopanych dołów dwadzieścia dziewięć sylwetek z czarnymi przepaskami na oczach i skrępowanymi rękami. Płaszcz ptaki trzasnęła salwa i powtarzana echemniosła się po okolicy”.

Stanisław Helsztyński konkluduje: „Witold Hulewicz, jadąc z gromadą towarzyszy i towarzyszek w aucie ciężarowym do lasu palmirskiego, bez wątpienia odczuwał tragiczną ironię, która przypadła w udziale jego młodemu życiu. On, który cztery najlepsze lata spędził przymusowo na froncie niemieckim na zachodzie, walcząc za Rzeszę przeciw koalicji, który większą część swego pracowitego życia spędził na przyswajaniu dzieł niemieckich społeczeństwu polskiemu, on przyjaciel Rilkego, biograf Beethovena, tłumacz Goethego, Henryka Kleista, Tomasza Manna, Maksa Broda, jechał na miejsce stracenia w leśnym pustkowiu, w zwartym, nienawistnym kole Niemców, którzy strzelali do ofiar nad brzegiem przygotowanego wspólnego dołu.

Przyobiecał mu niegdyś Przybyszewski wielkość, zbudowanie wieży górnej i szczytnej – przed śmiercią przeżywał tę wielkość, nie szczyty górne i wysokie,

ale wielkość rozpacz i tragedii” (St. Helsztyński, *Przybyszewski*, Kraków 1958).

Jan Parandowski, przyjaciel Witolda, jego zastępca w dziale literackim Polskiego Radia, wieńczy opowieść o ostatniej drodze autora *Przybłądy Bożego*: „Po dziesięciu miesiącach heroicznego męczeństwa został rozstrzelany w Palmirach o świcie 12 czerwca 1941 roku. Tak zginął tłumacz i przyjaciel Rilkego, jednego z największych mistrzów mowy niemieckiej, autor pięknej, pełnej uwielbienia książki o jednym z największych kompozytorów niemieckich – Beethovenie”.

Pro memoriam

Pół wieku temu zacząłem badać życie Witolda Hulewicza. Jego los był godny upamiętnienia. Zainicjowałem powstanie książki i filmu biograficznego o Hulewiczu w wersji polskiej i niemieckiej. Wznowiłem tomik wierszy o Wilnie *Miasto pod chmurami* oraz szkice *Gniazdo żelaznego wilka*. Ponad ćwierć wieku temu za zgodą Agnieszki Hulewicz-Feillowej i jej męża Romana ustanowiliśmy Nagrodę im. Witolda Hulewicza. Co roku nagradzamy kilkunastu twórców w dziedzinach, jakimi zajmował się Patron. Lista laureatów liczy już ponad trzysta nazwisk. Powołaliśmy Stowarzyszenie im. Witolda Hulewicza. Byłem jego prezesem. Obecnie tę funkcję pełni ksiądz dr Ireneusz St. Bruski. Jego staraniem powstało czasopismo „Ostoja. Sztuka • Literatura • Społeczeństwo”. Niniejszy tom inauguruje wydawanie książek przez nasze Stowarzyszenie.

ROMUALD KARASZ ■



Grupa literatów wileńskich; siedzą od lewej: Witold Hulewicz, Wanda Dobaczewska, Helena Romer-Ochenkowska, Maria Reutt, E. Kobylińska; stoją od lewej: Walerian Charkiewicz, Kazimierz Leczycki, Jadwiga Wokulska, Tadeusz Łopalewski, Wiktor Piotrowicz, Jerzy Wyszomirski, Wilno, koniec lat 20. XX wieku FOT. © JAN BUEHAK / NAC



Żywot reportera pocziwego

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

**Aleksander Rowiński
w rozmowie z Antonim
Szorcem w październiku
2021 roku w Wildze.**

Antoni Szorc: Na „dzień dobry” powiem: tak prowokujący tytuł dzieła – *Żywot reportera pocziwego* – powinien jednak uzasadnić.

Aleksander Rowiński: Spróbuję. Ucieknę się tu aliści do słynnego tybetańskiego lamy, jogina Drukpy Kunleya, którego też zapytano jakie są światowe przyjemności, odrzekł: „Dziewica znajduje przyjemność we wzroście pożądania. Młody tygrys znajduje przyjemność w spełnianiu aktu. Stary człowiek znajduje przyjemność w żywej pamięci”. Mnie pytasz, przyjacielu, więc powiem: moją przyjemnością było ogromne, częste bezkrytyczne, zaspokajanie ciekawości świata i jego zagadkowych mieszkańców, oraz próbowanie słowem przenosić rozgrywaną między nimi, sztukę wyboru między dobrem a złem. W tych staraniach, przekonałem się, że w sztuce reportażu różne dziwne, trudne do zrozumienia przeżycia bywają niebezpieczne. Miałem tu wskazówkę światłego rabina, który w odpowiedzi na pytanie, czy Żyd może skakać na spadochronie w szabas, odrzekł: skakać może, tylko nie wolno mu otwierać spadochronu.

Jak zatem reporterską zawodową pocziwość przeniosłeś na swoją reporterkę?

Zacząłem od rozmyślań i konstatacji, że człowiek nie przychodzi na świat jako pocziwy dar natury.

Poważnie?

Jakże by inaczej. Pocziwość pochodzi z domu, rzec można z mlekiem matki. A później życie bierze ją w obroty, zaczynając od szkoły. Na przykład, gdy dochodziłem do matury, w pocziwym Liceum Sienkiewicza w Częstochowie, zacny kolega poradził mi: zapisz się koniecznie do ZMP (Związek Młodzieży Polskiej), inaczej nie dostaniesz się na studia. Więc się zapisałem.

A na jakie studia startowałeś?

Marzyła mi się łódzka filmówka i zawód operatora filmowego. Egzamin tam trwał cały tydzień, był bardzo dobrze pomyślany. Po egzaminie zaprosił mnie dziekan wydziału, słynny i znakomity reżyser, Stanisław Wohl. W gładkim przemówieniu oznajmił: „Owszem, zdawałeś bardzo dobrze, ale nasza uczelnia odsiewa elementy klasowo niepewne, skażone”. Gdzieś tam w mojej ankiecie zaplątała się informacja, że z pochodzenia jestem synem ziemianina i matki pochodzącej z tak zwanej przez ustrojową tępotę „prywatnej inicjatywy”.

Kilka lat później, w Katowicach, zaprzyjaźniłem się ze słynną kreatorką mody Barbarą Hoff. Jej pewnego razu opowiedziałem tę historię ze szkoły filmowej, ubawiła się. „Identyczną rozmowę – wspominała – miałam z dziekanem Wohlem. Podziękuj mu, jak ja mu dziękuję

w myślach, bowiem dzięki niemu bardzo polubiłam to, czym się obecnie zajmuję”. A kim się stała? Przez wiele lat była niepowtarzalną kreatorką mody dla niebanalnie ubierających się Polek i Polaków.

A co pojawiło się zamiast pomysłu na profesję operatora filmowego?

Jak bywa, pomysł niespełniony, trzeba poszukiwać zamiennego.

I tu pojawiła się reporterka?

O nie, nie tak szybko, powoli. Chęć studiowania mi nie zbrzydła. Jakiś zacny człowiek, już nie pamiętam kto to był, znając moje perypetie, poradził: na wyższe uczelnie ogłaszany jest drugi termin dla zdających na wyższe studia. Dla kończących służbę wojskową, dla chorych – uzdrowionych, dla przypadków losowych. Pomyślałem wtedy – spróbuję dziennikarstwa, zobaczę, zawsze dziennikarz może zamiast pióra wziąć do ręki kamerę.

Nie byłeś ani chory, ani zwolniony ze służby wojskowej.

Tak, napisałem pierwszy raz w życiu o sobie wzruszający elaborat. Moje nazwisko pojawiło się na liście obok dopuszczonych do egzaminów na Uniwersytecie Warszawskim. Tu muszę oddać hołd nauczycielowi historii, panu Chłapowi. Prowadził lekcje niebanalnie, atrakcyjnie, do tego stopnia, że w pewnym okresie polecił nam nauczyć się na pamięć Manifestu Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Ciąg dalszy na s. 20 ►

► Ciąg dalszy ze s. 19

Kolejnym zadaniem było nauczenie się na pamięć ustawy o reformie rolnej. Oczywiście wybaczałam profesorowi te dziwactwa, a ja w dwójnasób. Gdy bowiem stanąłem przed stołem, za którym usadowiło się siedmioro autorytetów uniwersyteckich, obdarzono mnie na powitanie następującym pytaniem: „Co wiesz o *Manifeście Lipcowym*?”.

Zrobiło mi się gorąco od myśli, jak podać treści *Manifestu Lipcowego*, aby szanowne grono nie zorientowało się, że ten dekret znam na pamięć. Kluczyłem z powodzeniem. Wyraźnie widziałem zadowolenie na twarzach komisji. Nie poznano zagadki mojej imponującej wiedzy. Kolejne, drugie pytanie, brzmiało: „A co wiesz o reformie rolnej?”. Tu zapewne popisałem się wzorowym aktorstwem, bo moje wywody zostały w połowie przerwane z podziękowaniem.

W końcu spodobało ci się dziennikarstwo?

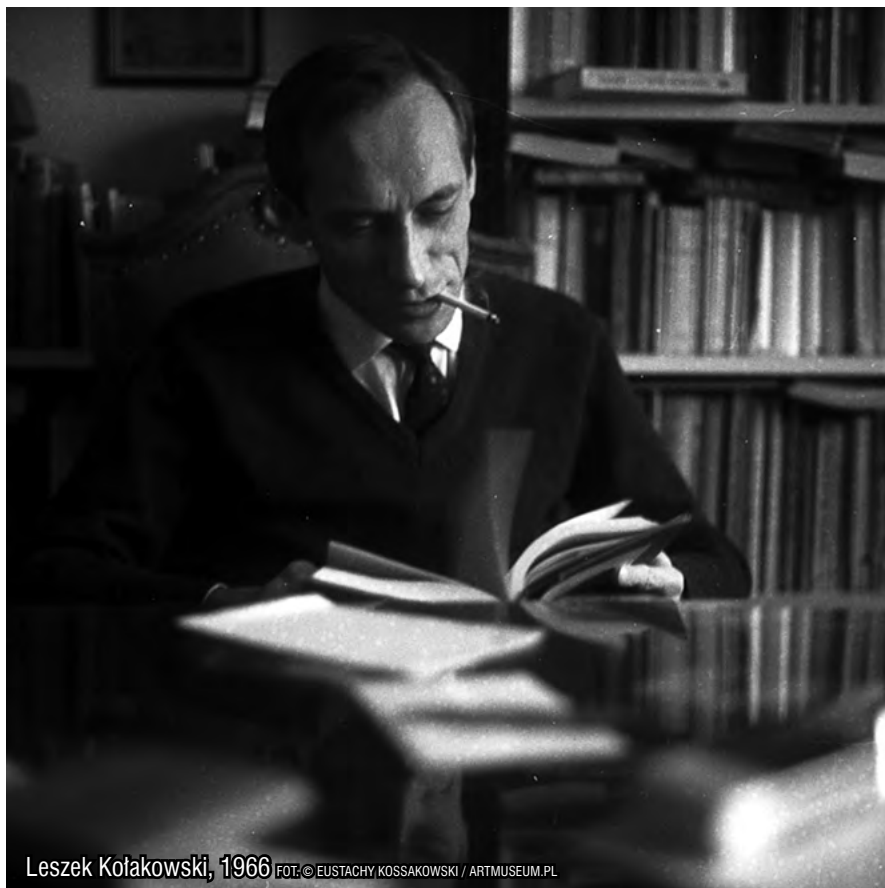
Nie tyle podczas nauki na wykładach i ćwiczeniach, co wielogodzinne przebywanie w bibliotece Uniwersytetu, w nastrojowym historycznym obiekcie. Miał on w katalogach przy niektórych pozycjach specjalne oznakowanie – te dzieła wypożyczano wyłącznie profesorom, upoważnionym naukowcom i studentom dziennikarstwa. Zagłębiałem się w te właśnie zakazane lektury.

Coraz ciekawiej brzmi początek imponującej opowieści, a jak dalej?

Byłbym stracił miejsce na Uniwersytecie, gdyby nie fantastyczny zbieg okoliczności, z Andrzejem Żmudą w tle.

Przekonamy się, czytelnicy to sprawdzą. Wal śmiało, przyjacielu.

Jednak dla epickiego porządku opowieści muszę nawiązać do Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii Bolszewików. Studia, zwane naonczas ćwiczeniami, na wydziale dziennikarskim prowadził Leszek Kołakowski, filozof. Jak go odbierałem? Bardzo



Leszek Kołakowski, 1966 FOT. © EUSTACHY KOSSAKOWSKI / ARTMUSEUM.PL

różnił się od innych pedagogów tym, że spokojnym zrównoważonym sposobem interpretacji spraw nie upolityczniał – co inni wykładowcy czynili na wyścigi. Omawiając tematy, wyraźnie obiektywizował, informacje podawał nieskażone komentarzami z partyjnych pogadanek i kolorem proletariackich sztandarów.

Pewnego razu na zajęciach asystent Leszek Kołakowski poprosił, abyśmy wpisali sobie do notatników numery stron i niektóre z nich akapity, dotyczące innej książki. Wstałem wówczas i zapytałem, czy można nie tylko wskazane stronicie, ale przeczytać jak leci całą książkę. Tę drugą, o zmienionym tytule. Szmerek przeniósł się nad salą. Leszek Kołakowski jak gdyby się

postawionym pytaniem zafrasował, chwilę pomyślał a potem, *ex cathedra*, usprawiedliwiając wyjaśnił – że Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia Bolszewików właśnie zmieniła nazwę na Komunistyczną Partię Związku Radzieckiego. Dyktując nam fragmenty z tej nowej edycji książki, oznajmił, że to ona właśnie będzie należała do obowiązkowych lektur i każdy ma być w nią obowiązkowo wyposażony. Tu profesor dodał: „Zmiana to dzieło Zjazdu Partii i obecnie obowiązek odstąpienia od dotychczasowych czytanek”.

Udając niepojętnego, zapytałem która z tych książek jest lepsza? Do tak durnego pytania zachęciło mnie użyte słowo „czytanek”, wypowiedziane z biblijnym akcentem przez wykładowcę. Puścił je mimo uszu. Natomiast moje niestosowne zachowanie podjął przewodniczący koła ZMP, ostrzegawczo mówiąc: „Taka zgrywa następnym razem nie ujdzie ci na sucho”.

Teraz będzie o wykładowcy. Doświadczenia naukowe i życiowe wyprowadziły filozofa z PRL-u w świat. Sytuowany był jako profesor na wielu uniwersytetach, kończąc na Oxfordzie. Wiele odznaczeń, jakie otrzymał, uświetnił Mu Order Orła Białego. Moje wspomnienie, to nie tylko aluzyjnie prowadzone „ćwiczenia” na wydziale dziennikarskim, ale i wizyty w redakcji „Po prostu”, gdzie szukałem pracy. Tygodnik pomyślany był jako pismo dla młodych i – co mogło być dla mnie zachętą – organizatorzy nie wymagali „skierowania do pracy”.



FOT. © EUSTACHY KOSSAKOWSKI / ARTMUSEUM.PL

Szczególnie zachęcany byłem przez Jerzego Ambroziewicza, abym u nich się schronił. Tam też, w prowizorycznej siedzibie wynajętej na bardzo wysokim piętrze Pałacu Kultury i Nauki im. Stalina, zakosztowałem – jako etatowy cenzor – czym jest tępienie wolności prasy, a właściwie – jak brzmiało to żargonowo – zdejmowanie artykułów ze stron gotowych do druku.

Właśnie krążył między dziennikarzami (młodzież dziennikarska) skonfiskowany przez cenzurę „zdjęty” artykuł Leszka Kołakowskiego *Czym jest socjalizm?*. Filozof bezlitośnie przewidywał w nim rozkwit tak zwanych „wypaczeń”. W kilka tygodni później odbył się egzamin z nauk marksizmu-leninizmu u profesora i zarazem dziekana naszego wydziału. Wiedziałem, że moja rola będzie trudna, gdyż ślubowałem sobie nie zapoznawać się z tą obowiązującą lekturą. Poszedłem na egzamin. Spośród oczekujących pod drzwiami przyszła na mnie kolej. Profesor przystąpił do swojej powinności, żeby nie przedłużać tego wątku, krótko rzeknę: język naszego porozumiewania się pełen był niedomówień. Coś tam bąkałem z zasłyszanych na wykładach zajęć. Nawet – szczerze powiem – nie bardzo potrafiłem się bronić, a profesorowi trudno przychodził kontakt ze studentem. Dobry człowiek. Daremnie starał się wybawić mnie z opresji. Wreszcie poprosił o indeks, wypełnił odpowiednie rubryki i wręczając mi indeks na powrót, powiedział: „Wpisałem ci do indeksu stopień, niech tylko on nie wbije cię w dumę”.

Otoczony za drzwiami koleżeństwem czekającym na swoją kolej, słyszałem dookoła: „Jak było? Co dostałeś, co? Krótko cię trzymał, zdałeś?”. Odpowiedziałem słowami profesora: „Jestem dumny z otrzymanej oceny”. Mój indeks podawano sobie z rąk do rąk, prawdę mówiąc – ze zgorzeniem a nawet pogardliwie. Była tam wpisana trójka z minusem. Po kilku dniach odbywało się zwykle okresowe zebranie studenckie. Członkowie ZMP pochłaniający powszechnie lansowane zasady współzawodnictwa wśród kolegów, górników, traktorzystów i trójek



Aleksander Rowiński, lata 60. XX wieku FOT. ARCHIWUM RODZINNE

murarskich, postanowili napiętnować przykładnie moje nieuctwo.

I co dalej?

I tu w pełnej krasie wystąpił Andrzej Żmuda. Zobowiązał się do zajęcia się osobiście moją edukacją i wyprowadzenia mnie na szlak poprawności politycznej.

Z tą poprawnością nie za bardzo mu się udało (moje późniejsze kontakty z „Po prostu” i zakaz publikacji), ale mnie udało się ukończyć studia.

A dalej to opowieść na inny czas.

Dziękuję Ci. Zatem do kolejnej rozmowy...

Rozmawiał ANTONI SZORC ■



□ Kolejna rozmowa... już nie dojdzie do skutku. Podobnie z biografią *Żywot reportera pocziwego*, nad którą Aleksander Rowiński pracował, a która staje się punktem wyjścia powyższego wywiadu. Ostatniego w życiu tego wybitnego reportera, pisarza i publicysty, współautora naszego czasopisma. Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o Jego śmierci. Niech odpoczywa w pokoju!

Redaktor naczelny „Ostoi” ■

Aleksander Rowiński 1931-2021



FOT. WARSZAWA 2000 / ARCHIWUM RODZINNE

Odszedł człowiek niezwykle przyjazny ludziom. Był jednym z ostatnich przedstawicieli epoki, w której reportaż, obok wyczerpującej faktografii, miał walory typowe dla literatury pięknej.

Jego śmierć była najbardziej przykrą niespodzianką dla tych wszystkich, którzy go otaczali, zabiegali o jego przyjaźń i czuli się przy nim bezpieczni, a którym przypadł zaszczyt częstego przebywania w jego towarzystwie.

Układał plany na literacką przyszłość wydawnictwa, którym zarządzał, pisał wspomnienia, a jednocześnie przymierzał się do upowszechniania nowych edycji „Ekspresu reporterów”, które kiedyś wymyślił i które po latach wznowił. Plonem wcześniejszych jego pomysłów były też seryjnie wydawane „Białe Plamy”, rozprawiane w ogromnych nakładach. Aby to wszystko zrealizować, dokonał wcale niełatwego trudu zgromadzenia wokół siebie szerokiego grona entuzjastów będących wielokrotnymi laureatami ogólnopolskich konkursów reporterskich.

Wiele wskazywało na to, że Aleksandrowi uda się zrealizować nowe marzenia i nowe plany. Miał żyć „przynajmniej do setki” – tak zapowiadał w żartach, co akurat było odbierane z najwyższą powagą. Niestety, nie dotrzymał słowa...

Jeżeli w tym krótkim wspomnieniu można powołać się na reguły patronujące twórczości science fiction, to daję głowę, że Aleksander dzisiaj sam się dziwi, że nagle i bez uprzedzenia podjął decyzję przeprowadzki do tego lepszego ze światów, skąd już nie ma powrotu.

Pozostawił po sobie pamięć i żal, a nawet złość, że tak nagle opuścił przyjaciół, którzy razem z nim tworzyli literacką rodzinę, szczytnie firmowaną jego nazwiskiem.

MIROSLAW PRANDOTA ■

Olek

Urokliwy kościółek nadwiślański w Wildze. Wstąpiłem, aby pożegnać mego Przyjaciela. Był nim Aleksander Rowiński. Naprzeciw wielkiego ołtarza stał katafalk z jasną trumną. Klepsydra z dwiema datami: 1931-2021. Dziewięćdziesiąt lat życia.

Odmówiłem pacierz za spokój Jego duszy. Pamięć moja przywiodła nasze pierwsze spotkanie. Jakże dawno to było...

Owładnięty misją poznania regionów Polski wybrałem się na Śląsk. Ten Górny. Kojarzył mi się zawsze z Warsztatem Wielkiej Pracy. Budził mój podziw górniczym trudem, opiewanym przez Gustawa Morcinka, hutnictwem sławionym już w poemacie opisowym Walentego Różdzieńskiego *Officina ferraria abo huta i warstat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego* (1612), perle literatury staropolskiej, pochwalę trudu rąk.

Byłem samozwańczym reporterem bez legitymacji dziennikarskiej. Tylko zaświadczenia z trzech redakcji, z którymi współpracowałem, pozwalały mi w pewnym stopniu zbierać materiały prasowe. Studiowałem na Wydziale Prawa Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej (UMCS) w Lublinie, kierunku wybranym dziwnym zbiegiem przypadków. Nie zamierzałem zostać sędzią, adwokatem, a tym bardziej prokuratorem. Śniłem o reportażu, ale mi nie wychodził, choć sporo już publikowałem. Szukałem wsparcia. Do swego

przyjaciela Ola Rowińskiego w Katowicach *vel* Stalinogrodzie skierował mnie Jerzy Ambroziewicz z „Po prostu” w Warszawie. Pisma studentów i młodej inteligencji. Jego nazwisko już się liczyło w środowisku. Nastal czas politycznej odwilży i odnowy. Należało korzystać z dobrej aury, póki nie nastaną przymrozki. Chciałem się temu poświęcić w Lublinie, mieście nie nazbyt życzliwym wszelkim przemianom. Jechałem do Aleksandra Wielkiego, jak go ochrzcił z racji wzrostu Ambroziewicz, sam nie mniejszy od swego przyjaciela, który miał mnie oświecić w ważnych sprawach.

Już w dwa dni po tym, jak głosił oficjalny komunikat, kiedy „przestało bić serce współbojownika i genialnego kontynuatora dzieła Lenina, mądrego Wodza i Nauczyciela Stalina”, czyli siódmego marca 1953 roku, nazwę Katowice zmieniono na Stalinogród. Już trzeci rok z rzędu obowiązywała ta samozwańcza decyzja.

Zastanawiałem się, czy zawitam do Stalinogrodu czy też Katowic? Przez megafony zapowiadano, że pociąg zatrzymał się na stacji Stalinogród. Zaszedłem do redakcji „Dziennika Zachodniego”. Wskazano mi pokój, w którym zastanę kierownika działu informacji i kontaktów z czytelnikami Aleksandra Rowińskiego. Po zapukaniu wszedłem do pomieszczenia przypominającego magazyn. Na półkach i podłodze leżały sterty gazet, jakichś roczników. W wolnym kącie widniała duża torba, z której wystawała rakietą do tenisa. Obok niej miejsce zajął futerał na skrzypce czy też ze skrzypcami. Powiązana sznurówkami zdawała się czekać na obucie para trampek.



FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Za biurkiem siedział tyczkowaty młodziak pogrążony w lekturze książki w czarnej oprawie. Domyślałem się, co to za pozycja przykuwająca jego uwagę. Taszczyłem ją w torbie, co jakiś czas zgłębiając uprzednio wersety podczas podróży. Obaj mieliśmy to samo wydanie *Biblii* w tłumaczeniu księdza Jakuba Wujka. W początkach kampanii walki z Kościołem i religią w Polsce wypuściło na rynek tę pozycję Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1950. Przedstawiłem się, a on podając mi rękę, rzekł: „Witam cię w naszych Katowicach!”. Po chwili dorzucił: „Mów mi Olek”. Nie ośmielił mnie tym przejściem na „ty”. Przeciwnie, poczułem się skrepowany. Dla rozluźnienia napięcia sięgnąłem do torby i wyjąłem *Biblię* księdza Wujka. Spytał: „Czy się już nawróciłeś?”. Odpowiedziałem: „Jestem w trakcie. Czytam, aby wyrzec się w pisaniu żeromszczyzny, gdyż mi ciąży”. Olek zwierzył się, że chłonie polszczyznę księdza Wujka dla jej klarowności i piękna. Czytając kolejny raz *Trylogię* Sienkiewicza widzi, jak wiele z niej korzystał nasz niezrównany stylista.

Odzywały się telefony. Dzwonili czytelnicy. Przeważnie w sprawach interwencyjnych. Przeważnie już mu znanych. Odpowiadał konkretami.

Podsunąłem Mu do oceny moje teksty reportażowe w formie wycinków prasowych. Korygował tytuły na lepsze, i to o wiele. To była Jego sztuka. Służył niejednemu z nas w tej kwestii. Uchodził za tytułarza, co się w redakcjach liczyło. Czytał początek i koniec moich tekstów. Kręcił głową z dezaprobatą. Spytał, jak długo zamierzam się zatrzymać w Katowicach. Odpowiedziałem, że trzy dni. Przed odjazdem do Lublina obiecał mi, że przygotuje ocenę moich reportaży. Tak też się stało. Skąd posiadał tę umiejętność? W „Dzienniku Zachodnim” dostał się w ręce paru przedwojennych dziennikarzy. Przeszedł pod ich kierunkiem dobrą szkołę. Radził, abym w redakcji gazety zaczął pracę od reporterki w dziale miejskim lub terenowym. Byłem, widziałem, opisuję to jest podstawa reportażu, któremu chciałem się poświęcić. Tak postąpiłem, choć z powodów ode mnie niezależnych z pewnym opóźnieniem.

Spytał, czego chcę szukać na Śląsku? Odpowiedziałem: „Warsztatu Wielkiej Pracy”. Zamyślił się nad odpowiedzią. W końcu zaczął od usprawiedliwienia, że „nie umie opowiadać anegdot, dowcipów i kawałów. Rzecz dotyczy poważnej sprawy: stosunków gospodarczych Związków Radziecki – Polska Ludowa. My, Polacy ofiarowujemy przyjaciółom ze Wschodu węgiel z kopalń Śląska, a oni w zamian za to biorą od nas szynkę oraz inne produkty spożywcze. W ten sposób mamy zrówno-



Pogrzeb Aleksandra Rowińskiego w kościele Wniebowzięcia NMP w Wildzie, 27 listopada 2021 FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

ważony nasz budżet w ramach przyjaźni polsko-radzieckiej”.

Z przerażeniem mówił o wywiezieniu po tak zwanym wyzwoleniu Polski przez Armię Czerwoną wielu górników ze Śląska do kopalń w Związku Radzieckim. Potraktowano ich jako Niemców. Pracują w charakterze niewolników. Co począć, aby ich uwolnić?

Kilkakrotnie połączył się telefonicznie z kimś ważnym. Załatwił mi zjazd do kopalni i zapoznanie się z hutą żelaza. Utorował mi kontakty ze znanymi postaciami

literatury śląskiej. Miałem otwarte drzwi do pracowni niedzielnych malarzy.

Na obiad poszliśmy do restauracji dworcowej. Podawano tam typowe potrawy śląskie, a na deser wyborny kompot z gruszek. Rozmawialiśmy o potrzebie powołania pism regionalnych. Miały być zwiastunami odnowy, przemian polityczno-społecznych i kulturalnych.

Później Olek został sekretarzem redakcji „Przemian”, tygodnika walczącego o nowe oblicze Śląska. Z kolei ja przygnałem jako reporter do powstałego na fali przemian

Października 56 pisma „Pod Wiatr”. Ukazał się tylko jego jeden numer. Drugi został skonfiskowany w całości przez cenzurę. „Przemiany” miały żywot znacznie dłuższy. Olek jako odpowiedzialny za linię polityczną pisma został ukarany zakazem pisania i publikowania w prasie. Ja miałem uniemożliwione przyjęcie do pracy w redakcjach. Obaj znaleźliśmy się pod przysłowio- wym wozem. Z czasem władza okazała się dla nas łaskawsza, nasze błędy i wykroczenia puszczano w niepamięć. Przenieśliśmy się do Warszawy. Ale łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Różnie nam się wiodło. I tak było do ostatnich dni mego Przyjaciela.

Nad Jego trumną posłużyłem się w przemówieniu cytatem z *Biblii* księdza Wujka: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo”. W ręku miałem egzemplarz, który towarzyszył mi podczas pierwszego spotkania z Aleksandrem Rowińskim.

ROMUALD KARAŚ ■



FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Wspomnienie o Aleksandrze Rowińskim

Z Panem Aleksandrem spotkałem się około 2005 roku. Wcześniej poznałem przelotnie jego córkę, Mariannę, która podobnie jak ja, pracowała w różnych specjalnościach w produkcji filmowej. Nie skojarzyłem początkowo obu osób. Pan Aleksander, który obdarzył mnie z czasem zaufaniem i przyjaźnią, ale bez bruderszaftu, pojawił się niespodziewanie w moim życiu któregoś dnia w Agencji Producentów Filmowych, gdzie byłem prezesem.

Wysoki, z bokobrodami, przypominał mi Cesarza Franciszka Józefa. Zaproponował mi współpracę przy dokończeniu filmu dokumentalnego, który zaczął realizować, finansując go z własnych środków, o pojawieniu się dwa wieki temu emisariuszy z Peru, którzy trafili nad Dunajec wraz ze swoim opiekunem, węgierskim szlachcicem. Znałem oczywiście kanwę scenariusza, tj. książkę *Pod klątwą kapłanów* i gdy bywałem w Niedzicy to zawsze miałem w pamięci tekst tej niezwyklej opowieści opartej na faktach. Wcześniej żywo się interesowałem kulturą prekolumbijską, gdyż byłem w 1979 roku w Peru, w Boliwii i w Argentynie, gdzie mieszkał mój dziadek, a potem już pod wpływem tej lektury, odwiedzałem Amerykę Południową szukając rozwiązania zagadki węzłowego pisma kipu.

Dzięki ofercie pana Aleksandra, scenarzysty i reżysera, którą przyjąłem z entuzjazmem, przeżyłem więc jedną z najciekawszych przygód związanych z filmem, poszukiwaniem skarbu i rozszyfrowaniem kipu. Załatwiłem niewielką dotację i szybko dokręciliśmy brakujące materiały. Tak powstał godzinny film pt. *Inkowie w Polsce*, który miał wiele emisji w TV Planete. Rezultatem były pochlebne artykuły w „Nieznany świat” i innych publikacjach.

Inspirowany powieścią, za zgodą Pana Aleksandra, napisałem dekadę później scenariusz filmu fabularnego *Złoto nad Dunajcem* dla młodzieży, ale mimo poparcia TV Polsat, nie otrzymał on wsparcia pozwalającego na ekranizację. Co ciekawe, po skończeniu *Inków w Polsce* moje kontakty z Aleksandrem Rowińskim bynajmniej nie zamarły, lecz ożywiły się w dwójnasób. Uczestniczyłem w jego kontynuacji badań tematu skarbu, jeździłem z nim do



FOT. ARCHIWUM RODZINNE

profesora Topy, matematyka Akademii Górniczo-Hutniczej, na rozmowy o kipu; wizytowaliśmy Niedzicę i Tropsztyn, gdzie moja krewna była przewodniczką. Odwiedziliśmy ludowego twórcę z Grybowa, powiązanego z historią inkaskiego skarbu, który namówił nas na grzebanie w fundamentach wieży nad jeziorem Tropie.

Pan Aleksander zaprosił mnie także do organizacji imprezy „Pamięć nieustająca” dla młodzieży szkolnej, dzięki czemu doznałem zaszczytu udziału (wraz z kamerą) w wyjeździe do Włoch, z laureatami jednej z edycji konkursu i z delegacją państwową podróżującą śladem Armii gen. Andersa.

Wspominam Aleksandra Rowińskiego jako człowieka wyjątkowo inteligentnego, dowcipnego, na wskroś uczciwego, imponującego mi wszechstronnością zainteresowań, miłośnika słodczy i do-

brych anegdot. Zawsze gościnny w domu w Tarnowie, gdzie wraz z Joanną witał mnie serdecznie, gdy przyjeżdżałem z żoną wymienić się kolejnymi tropami naszych równoległych prac poszukiwawczych – bo ciągle pojawiały się nowe wątki.

Byliśmy umówieni na kolejny wyjazd do profesora Topy po powrocie pana Aleksandra z sanatorium w Inowrocławiu...

Trudno mi uwierzyć, że nagle odszedł, a ja dopiero co nawiązałem rzeczywisty kontakt z potomkiem tego z Beneszów, który znalazł inkaskie kipu w Niedzicy w 1946 roku.

Drogi Panie Aleksandrze – dziękuję Ci za wszystko co nas łączyło – a były to tylko dobre fluidy i nigdy nie zapomnę naszych spotkań i rozmów...

Byłeś i jesteś człowiekiem niezwykłym...

MICHAŁ JANUSZ ZABŁOCKI ■

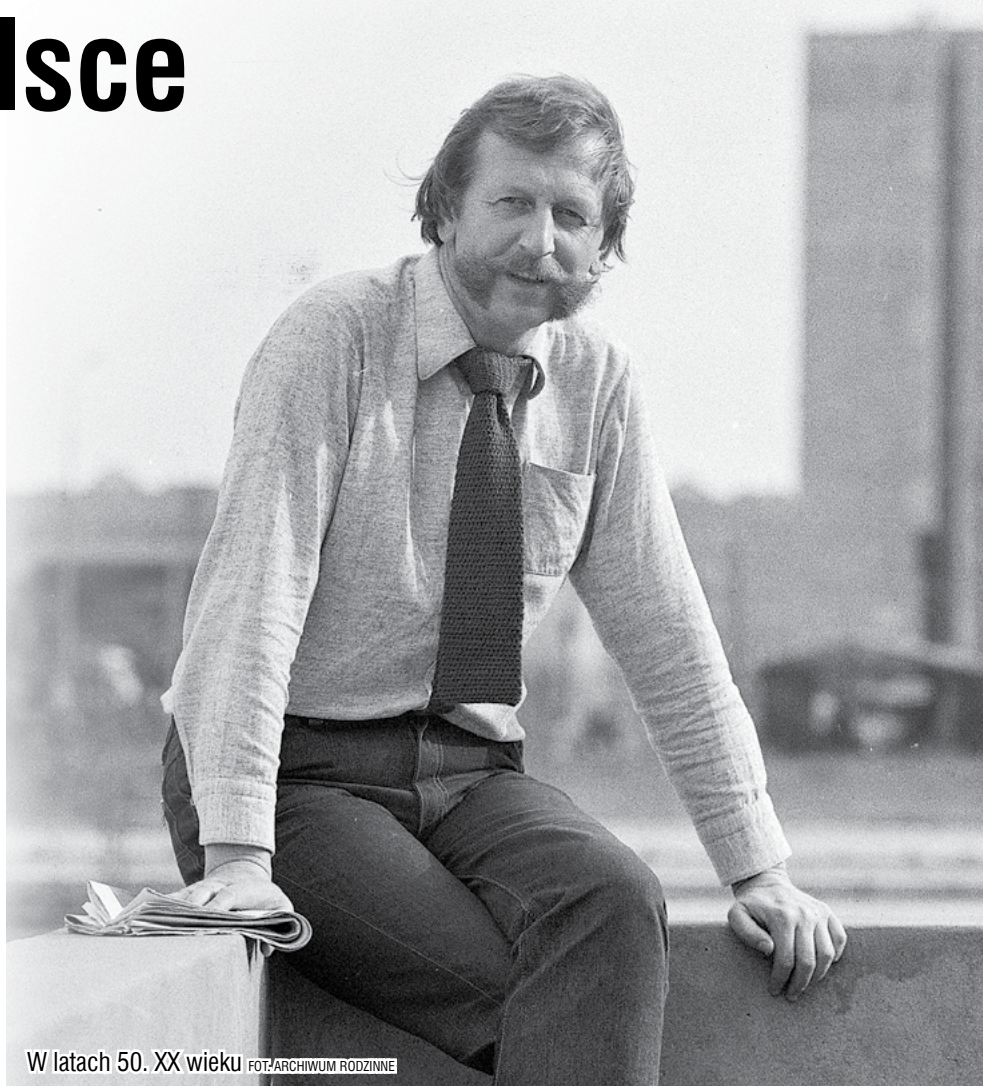


Służył Polsce

Aleksander Władysław Rowiński – mistrz reportażu, pisarz, publicysta i wydawca, zmarł w wieku dziewięćdziesięciu lat. Odszedł od nas w inowrocławskim sanatorium, 20 listopada 2021 roku. Bardzo smutne, bo przecież pojechał dla poratowania zdrowia...

Przyszedł na świat w rodzinie Antoniego Rowińskiego i Marianny z Szorców, 9 marca 1931 roku w Częstochowie. W rodzinnym mieście uczęszczał do szkoły podstawowej, a następnie do IV Liceum Ogólnokształcącego im. Henryka Sienkiewicza, które ukończył maturą w roku 1950. Marzy mu się Łódzka filmówka, nie zostaje jednak przyjęty, gdyż – jak usłyszał od dziekana Wohla – jest „elementem klasowo niepewnym”. Postanawia skierować kroki do Warszawy, gdzie na Uniwersytecie Warszawskim wybierze dziennikarstwo. Tak rozpocznie drogę żurnalisty.

Już w akademickich czasach „dorabia” pisanie odpowiedzi na listy przysyłane do „Sztandaru Młodych”. Po studiach wyjeżdża do Katowic, gdzie jako dziennikarz rozpoczyna pracę w redakcji „Dziennika Zachodniego”, z czasem zostaje sekretarzem redakcji tygodnika społeczno-kulturalnego „Przemiany” i śląskim reporterem warszawskiego „Po prostu”. Po likwidacji „Przemian” w 1957 roku, Aleksander Rowiński powraca do Warszawy, gdzie zwiąże się z „Prawem i Życiem” i przez wiele lat będzie zamieszczał reportaże na kanwie rozpraw sądowych. Na jego dziennikarskiej drodze pojawią się także „Perspektywy”, „Życie Literackie”, „Kultura”.



W latach 50. XX wieku FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Nie wybiera łatwiejszej drogi i nie wstępuje – jak czyni to wielu – w szeregi PZPR-u, z drugiej zaś strony po latach znajdziemy jego nazwisko na Liście Widsteina; zarówno ten fakt, jak i analiza materiałów zgromadzonych w IPN-ie, mogą być punktem wyjścia do oddzielnych i bardziej pogłębionych badań. Aleksander Rowiński początkowo tworzy reportaże w duecie z Jerzym Ambroziewiczem; owocem wspólnej pracy są książki: *Posłuchajże wierny ludu*, *Co nam zostanie z tych lat*, *Błędy i wybaczenia* oraz *Czarnoksiężnicy*. Później każdy z nich pójdzie własną drogą. Spod pióra Rowińskiego wyjdą m.in. *Wstąpcie do klasztoru*, *Ich szczęście, ich pech*, *Anioły Warszawy*, *Rozkoszny Pantoffeland*. W 1976 roku two-

**EKSPRES
REPORTERÓW**

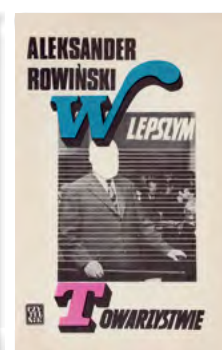


Stefan
Młodek
Hubert
Generalistyczny
Adwokat

rzy „Ekspres reporterów”, który staje się jednym z najpoczytniejszych tytułów w Polsce. W najlepszych latach osiąga nakład powyżej 130 tys. egzemplarzy.

To na łamach tego bestsellerowego pisma, wydawanego przez Krajową Agencję Wydawniczą, kształtowała się polska szkoła reportażu, której A. Rowiński jest współtwórcą.

Ciąg dalszy na s. 26 ►



► Ciąg dalszy ze s. 25

Stefan Truszczyński powie o nim: „pisał, gdy mądrym tekstem można było wiele przemycić. Czekano i kupowano książki reporterów, które drukowane były w wielotysięcznych nakładach. Ta ważna część historii polskiego dziennikarstwa zawsze będzie dobrą szkołą”.

„Ekspres reporterów” zostaje zawieszony przez władze PRL-u w 1985 roku po wydaniu specjalnego tomu pt. *Osiemnaście długich dni*, w którym redakcja „nieodpowiednio” – według rządzących – zrelacjonowała przebieg strajku w Stoczni Gdańskiej. Po 33. latach, w 2018 roku, dzięki zaangażowaniu A. Rowińskiego „Ekspres” powraca. Ukazują się dwa numery; pierwszy obok Rowińskiego współtworzą swoimi tekstami M. Prandota, A. Mularczyk, R. Karaś i S. Truszczyński. Pomimo wielkiego zaangażowania, kolportaż „Ekspresu” idzie z trudem. To już nie te czasy, kiedy kolejne wydania rozchodziły się jak ciepłe bułeczki...

Na biurku redaktora Aleksandra pozostały materiały do numeru trzeciego. Czy obecnie, po jego śmierci, ukazać się kolejne edycje? Czy to dzieło będzie kontynuowane?

W roku 1982 Aleksander Rowiński (wraz z J. Ambroziewiczem, R. Karasiem, J. Roszko, D. Sidorskim) zakłada „Przegląd Tygodniowy”; jest jego redaktorem naczelnym. Niedługo to jednak potrwa. W związku z tekstami, jakie pojawiają się na łamach, już w roku następnym władza odwołuje naczelnego, inni członkowie kolegium redakcyjnego solidarnie odchodzą i tak czasopismo przejdzie w ręce inaczej myślących... a Rowiński będzie pisał m.in. do miesięcznika „Kontrasty”, którego redaktorem naczelną w latach 1982–1985 jest Kira Gałczyńska, a później Dionizy Sidorski. Kolejną odsłonę twórczości A. Rowińskiego możemy dotknąć sięgając po „Kaleidoscope” – pokładowe pismo Polskich Linii Lotniczych LOT, którego przez dekadę będzie redaktorem naczelnym. W ostatnim roku swego życia zwiąże się z czasopismem społeczno-kulturalnym „Ostoja. Sztuka • Literatura • Społeczeństwo”, wydawanym przez Stowarzyszenie im. Witolda Hulewicza. Lecz nie tylko prasa i słowo drukowane są w zasięgu jego zainteresowań; w kolejnych latach współtworzy wiele formatów dla Telewizji Polskiej TVP2 (1984–1987). Jest autorem scenariuszy: filmu sensacyjnego *Krótkie życie* w reż. Zbigniewa Kuźmińskiego



Kaplica Votum Aleksa w Wildze, 2021 FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

(Polska, Czechosłowacja, 1976) i filmu dokumentalnego *Inkowie w Polsce* w swojej reżyserii (Polska, 2005), a także konsultantem filmu fabularzowanego *Kłątwa skarbu Inków* w reż. Krzysztofa Langa (Polska, Niemcy, 2001).

Wracając do 2. połowy lat osiemdziesiątych... w roku 1987 postanawia wcielić się w rolę edytora. Zakłada w Warszawie wydawnictwo – Oficynę Literatów „RÓJ”,



FOT. ARCHIWUM RODZINNE

nawiązując do tradycji przedwojennego wydawnictwa Melchiora Wańkowicza i Mariana Kistera, działającego w latach 1924–1940. Wydaje książki o różnorodnej tematyce, reprezentujące różne gatunki literackie – od powieści, poprzez opowiadania, biografie aż po dokumenty

i albumy. W ostatnich latach, szczególną edycją – jak podkreśla Joanna T. Pogórska z Zarządu „ROJ-u” – jest książka-album *Pamięć nieustająca*, która stanowi bezprecedensowy zapis ostatnich 100. lat polskiej historii skupionych, jak w soczewce, na jednym szczególnym miejscu stolicy – Placu Marszałka Piłsudskiego. W 2011 roku Oficyna rozszerza działalność o produkcję filmową (Oficyna Literatów „RÓJ – FILM” Sp. z o.o.).

Aleksander Rowiński ma rękę do dobrych tematów i potrafi je z wyjątkowym pięknem przedstawić. Tak wychodzą kolejne bestsellery: *Pod białą-czerwoną banderą* (1966), *Anioły Warszawy* (1969), *Świat się kończy* (1972), W lepszym towarzystwie (1975) – o głośnej sprawie Mariana Kargula, słynnego hochsztaplera lat powojennych, *Szpakami karmieni* (1978, razem ze Stefanem Kozićkim), *Tamci żołnierze* (1979), *Cofnij wskazówkę zegara* (1980), *Otruć czy pokochać* (1985, wyd. pod pseudonimem Alex Rovin). W obecnym wieku popularność przyniosły mu książki reportażowe: *Dreszczowce zamku Dunajec* (2007), *Opowieści pana Franciszka i o panu Franciszku z przyśpiewkami* (2005), *Przekłete lzy słońca* (2000, 2019), *Pod kłątwą kapłanów* – o historii ucieczki przed konkwistą ostatnich Inków z Ameryki Południowej do Niedzicy. Jest pierwszym badaczem historii Inków w Polsce, a jego rola w odkryciu tego niezwykłego tematu jest stale podkreślana na niedzickim zamku nad Dunajcem. Kolejny, wspaniały przez niego podjęty, temat znajdujemy w powieści historycznej *Pan Zagłoba* (1999), poświęconej

najbarwniejszej postaci *Trylogii* Henryka Sienkiewicza, w której uzupełnił pominięte przez Sienkiewicza (ze względu na carską cenzurę) burzliwe młode lata życia najsłynniejszego Sarmaty; wielu podkreśla, że książka ta stała się w pewnym sensie czwartą jej częścią.

Reporter Rowiński jest pierwszym – i jak dotąd jedynym – biografem żydowskiego bohatera czasów II wojny światowej, Szmula Zygielbojma (1895–1943). Pracy nad książką *Zygielbojma śmierć i życie* poświęca wiele lat swojego życia, a obaj bracia Szmula – Fajwel i Ruven – obdarzają go zaufaniem i przyjaźnią. Książka ma dwa wydania (2000, 2004), zostaje też przełożona na język niemiecki (*Zygielbojms Reise, Eine Spurensuche*, Fibre 2004).

Dziennikarz-reporter i pisarz w jednej osobie należy do stowarzyszeń twórczych, m.in. Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (od 1961 r.), Związku Literatów Polskich (od 1975, w latach 1990–1990 – członek Prezydium Zarządu Głównego), Stowarzyszenia im. Witolda Hulewicza (członek współzałożyciel; 2014–2019 – skarbnik Zarządu) i ZAiKS-u. W jego biografii znajdziemy również wątek związany z przynależnością, w latach 1955–1962, do Klubu Krzywego Koła.

Aleksander Rowiński jest laureatem Nagrody Bruna i bardzo wielu nagród w konkursach literackich, m.in. nagrodą im. Pruszyńskiego czy doroczną nagrodą

tygodnika „Życie Literackie”. Za całokształt twórczości reporterskiej zostanie uhonorowany Wielką Nagrodą im. Witolda Hulewicza. Nie miał za to szczęścia do odznaczeń państwowych; otrzymał medal resortowy: Zasłużony dla Straży Granicznej, a w ostatnim roku Medal Jana Pawła II.

Ostatnie dwadzieścia lat życia spędza w Tarnowie koło Wilgi, gdzie angażuje się w edukację i ochronę pamięci o dziedzictwie historycznym i kulturowym, ze szczególnym uwzględnieniem regionu Mazowsza. Wspólnie z Joanną T. Pogórką powołuje Fundację Ostoja nad Wisłą, która w 2014 roku sfinansuje pomnik (głaz) poświęcony pamięci założycieli Osiedla Klimatyczno-Wypoczynkowego w Wildze – Stanisława Kostki Potockiego h. Nałęcz i jego małżonki Marii Ludwiki z Broel-Platerów oraz architektów Andrzeja Boniego i Tadeusza Nowakowskiego – jaki zostanie odsłonięty podczas VIII Zjazdu Rodowego Nałęczów.

Współtworzy Stowarzyszenie im. Witolda Hulewicza oraz jest w składzie Jury Nagrody imienia tego wybitnego Wielkopolanina – poety, tłumacza, edytora, współtwórcy polskiego radia w Wilnie.



Ponadto jest pomysłodawcą i współorganizatorem ogólnopolskiego konkursu „Pamięć nieustająca”, propagującego świadomość historyczną dzieci i młodzieży. Wraz z Joanną Pogórką na nadwiślańskiej skarpie w Tarnowie realizuje pomysł budowy kaplicy, nazywając ją: *Votum Aleksa* pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej. Niewielka, licząca 85 m kw., i skromna w swojej wymowie bryła, którą projektują Marta i Lech Rowińscy, staje się architektonicznym wydarzeniem na skalę europejską (pisał o niej na łamach „Ostoi”, nr 2/2021, s. 68–71).

Przedstawiając w wielkim skrócie życie i twórczość Aleksandra Rowińskiego, nie sposób nie wspomnieć jego udziału w przeróżnych działaniach społecznych. Jest zaangażowany m.in. w budowę domu Spółdzielni Literatów w śródmieściu Warszawy przy alei Jana Pawła II, pomaga przy powstaniu bloku na Tamce. Wiele jego inicjatyw i działań mogło być zrealizowanych nie tylko dzięki dalekowzrocznym wizjom, ale konsekwencji w działaniu i pozytywnemu uporowi.

Podczas pogrzebu, który odbył się w Wildze 27 listopada 2021 roku, podkreślano, że był piękną postacią przyciągającą ludzi, rozumiał sens zawodu dziennikarskiego i podjęte obowiązki wobec ludzi, których wysłuchiwał chętnie w czasie nieustannych wędrówek po Polsce. Dobrze jej służył.

Requiescat in Pace!

IRENEUSZ ST. BRUSKI ■

Widok na Wisłę sprzed Kaplicy w Wildze, 2021 FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI



W świecie poetyckim Karola Wojtyły

■ JERZY BIERNACKI

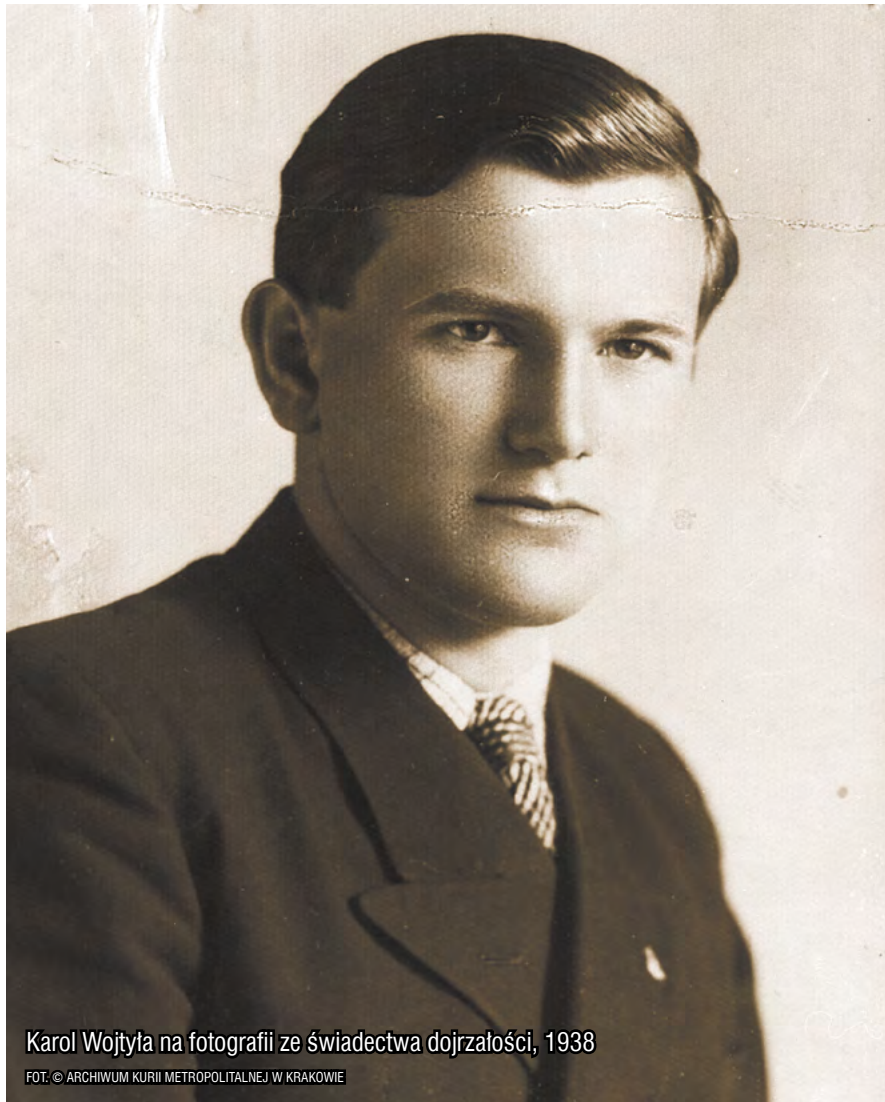


Piszę te słowa w Dzień Papieski, w jego 21. edycję. Fundacja Dzieła Nowego Tysiąclecia znów prowadzi zbiórkę pieniędzy, aby obdarować około dwoma tysiącami stypendiów najzdolniejszą młodzież z niezamożnych rodzin. Byli i obecni stypendyści stanowią swoistą wielką rodzinę, spotykają się ze sobą, wymieniają poglądy i doświadczenia, są sobie potrzebni.

Dzieło z genialnej idei Papieża Polaka zrodzone, rozwija się w każdym tego słowa znaczeniu wyśmienicie. Wydaje mi się, że przy tej okazji warto pochylić się nad twórczością poetycką Karola Wojtyły – Jana Pawła Wielkiego, zwłaszcza że ona do łatwych nie należy, a więc jest to pewne wyzwanie: spróbować ją zrozumieć i dostrzec jej piękno i znaczenie, tym bardziej że obecnie trochę jest zapomniana.

Kiedy czyta się wiersze Karola Wojtyły napisane w 1938 i 1939 roku, niepodobna nie wyrazić podziwu dla poziomu Gimnazjum im. Wadowity w Wadowicach, którego był wówczas świeżym abiturientem. Jeśli nawet przyjąć, że mamy do czynienia z młodym geniuszem słowa i myśli, obdarowanym zarazem Łaską wiary bez szczeliny dla jakichkolwiek wątpliwości – jak sam nam mówił kilkakrotnie – to i tak tego podziwu nie zmniejsza. Niezależnie bowiem od tego, że tematyka *Renesansowego psalterza* – bo o utworach z tego zbioru mówimy – z podtytułem *Księga słowiańska*, jak również wizje tam zawarte i zwłaszcza różne poetyckie rozwiązania w nich zastosowane – są, poza samoistną wartością każdego z tych wierszy, świadectwem znakomitego wykształcenia humanistycznego i literackiego, jakie młody poeta w szkole wadowickiej otrzymał.

O czym tu mowa? Naturalnie, o godnej podziwu umiejętności nawiązania w tych „poezjach słowem i światłem pisanych” do najwartościowszych polskich tradycji literackich, czyli do Trzech Wieszców romantycznych, do twórczości Cypriana Kamila Norwida (którego nie da się zamknąć w żadnym określonym nurcie literackim i filozoficznym), a także do takich naszych wielkich jak Stanisław Wyspiański czy Jan Kasprowicz. Wyjaśniam, nawiasem, że mianem „poezji słowem i światłem pisanych”



Karol Wojtyła na fotografii ze świadectwa dojrzałości, 1938

FOT. © ARCHIWUM KURII METROPOLITALNEJ W KRAKOWIE

określił je sprawca osobnego, albumowego wydania zbioru, z wysmakowanymi zdjęciami Adama Bujaka, czyli krakowskie Wydawnictwo „Biały Kruk” (zapewne są one autorstwa Marka Skwarnickiego, głównego konsultanta Jana Pawła II w sprawie wydań Jego utworów poetyckich, autora przedmowy do albumu).

Trzeba powiedzieć, że owych nawiązań wielorakich (bezpośrednich, tematycznych, językowych itd.) młodzieńki poeta dokonywał wyraźnie nie dlatego, że bezwiednie był pod wpływem przeszłych osiągnięć wielkiej polskiej poezji, lecz dlatego, że świadomie pragnął to uczynić, by nasycić swe utwory słowiańską polskością (czy polską słowiańskością), gdyż w ich istotnej treści o całkiem inne sprawy mu chodziło. Owszem, czytamy na przykład:

*Na psalmy wychodzisz wieczorem.
Czemu jest w ziemi boleść?*

*I w grudzie każdej się kryje karmazy-
nowy stop?*

*Zapytaj się matki w odwieczertz,
karmazynowym znojem*

*Gdy niwę rozchelstaną radłem rozrzuca
chłop –*

*A dowiesz się w odpowiedzi: że wrosła
nam w ciała i dusze*

*I ból jej z naszych jest bólów: w jedno
stopiony kruszec.*

I jest tutaj intencja podniesienia do wymiaru wielkiej siły i ważnego znaczenia tego wszystkiego, czym jest owa ziemia słowiańska, do której poeta tylekroć się odwołuje:

*Tedy ci powiem ziemio, rodzima dzie-
dzino [...]*

– Tę się nauczył, matko, odmiennej nauki,
Stąd-em wysnuł tajemnicę słowiańską.
Tę odkrył
Tę prawdę, którą twoje wyszumiały buki,
Tu melodię łaskawą Pan mej duszy dotknął.

I jam się też rozszumiał – buk między bukami,
Tako mi święte stało pasterskie śpiewanie,
Żem zamarzył – syn Piastów – izraelski Dawid,

By mi na czoło Pańskie zeszło pomazanie...
Ale właśnie – cel, głęboko pojęty cel tych wizji i obrazów, w których podmiot liryczny jest zarazem Piastowiczem, karmazynowym człkiem, a więc spadkobiercą – nazwijmy to wprost – etosu szlacheckiego, a zarazem młodzieńcem stającym przed wyborem drogi – otóż cel ów jest transcendentny, pozaziemski, sakralny. Ciągłe przemawiając do ziemi, podmiot liryczny – czy może raczej liryczno-heroiczny, mówi:

Wśród twoich ścieżyn kwietnych biegalem jak pasterze,
Ziemio moja rodzinna – i łączyłem z Bogiem

Drożyny twe pagórne i plenilem chwasty
I umiatałem szlaki jasne Idącemu.

Z ciebie jest wiosna tęsknot, wiosenne przecucie

I chęć, żeby w objęcia wysokiego Niebu
Rzucić ciało swe młode – od małości uciec...

W poemacie zatytułowanym *Poezja* (*Uczta czarnośleska*), znajdującym się w zestawie wierszy zatytułowanych *Symphonie* – *Scalenia*, ów „pieśniarny władca [...] królewski karmazyn (Taki jestem, Piast lniarny...)”, ale także „(I z was jestem, z was jestem) ja – Grek i Słowianin” – włodarzy i uczestniczy w owej uczcie, w której najważniejszym zawołaniem jest:

Kochajmy się! – i bratnia się rozrasta Miłość...

Ale w tej samej pieśni w innym miejscu, tuż po inwokacji do... Dionizosa (który



Przedstawienie *Śluby panieńskie* – Karol Wojtyła w roli Gustawa, Ginka Beer jako Klara, Halina Królikiewicz-Kwiatkowska jako Aniela, Wadowice 1936 FOT. PUBLIC DOMAIN

„misteriów wrota nam uchylił”) następują słowa:

Zgadzać ludzkie serca jest dane poetom,
Zakuwać słowa w Boży, w Chrystusowy łańcuch –

O Święty! Swój i bliźni ból w poezji przetop
I daj się bracie modlić na cudnym różańcu.

Nie sposób tutaj zanalizować ani treści, ani formy całego *Psalterza renesansowego*, pełnego rozmaitych poetyckich rozwiązań, skojarzeń, świadomych chwytów, naśladowań (szczególnie w języku, często nieco archaizowanym), różnych lirycznych i obrazowych piękności, ziemi, muzyki i słowa (muzyce i słowu poświęcone są odrębne poematy), dzieł ludzkich (*Ballada wawelskich arka*) i przede wszystkim wszelakich dzieł Boskich. Ale całe to spoetyzowane bogactwo poddane jest jednej zasadniczej myśli, jednemu panowaniu, jednemu podporządkowaniu – poddane jest Niebu. Autor dał tego jasną wykładnię w drugim przypisie do *Sonetów* i *Ucztę czarnośleską* (jeśli nie liczyć dwu wierszy, o których jeszcze wspomnę, *Psalterz* otwiera 17 *Sonetów* – *Zarysów*, których fragmenty na początku cytowałem):

Do ludzi, w których bogactwo takie czuję – mówię,

Droga gotycka wzwyż, renesansowa wszcz. Drogi się przecinają

Z przecięcia kształt, Zbawienie, Krzyż.

Mówię to, żem chrześcijanin – i żem Polak.

Że wykładnia ta jest w Norwidowskim stylu, nawiązująca do teologicznego wiersza Krzyż i dziecko, nikogo chyba przekonywać nie trzeba (ze słynnym: „[krzyż] stał się nam bramą”). A więc czym jest *Psalterz renesansowy*? W ostateczności poetyckim hołdem złożonym Bogu i jego zbawczym działaniom, objawionym w *Dobrej Nowinie*, w *Ewangelii*. W kończącym zbiór *Harfiarzu* czytamy: *Bliska już chwila. – Idziesz, Boże, O słońce Ty złociste, Ślesz Twe promienie het w przestworze, Twe głosy wiekuiste* [...]

Pokruszysz pęta, w skrzydłach lot Na nieśmiertelne trwanie. Niechaj na dzwonach bije młot Twe wielkie Zmartwychwstanie!

Zgodnie z obietnicą powracam jeszcze do dwóch wierszy poprzedzających *Sonet* – *Zarysy*, czyli *de facto* otwierających zbiór. Pierwszy, to utwór całkowicie niejako osobny, chyba w gruncie rzeczy nie należący do *Psalterza* (+ *Emilii Matce mojej*), zaczynający się od słów: „Nad Twoją białą mogiłą”. Przykład czystej liryki dziewiętnastoletniego poety, chociaż i tu dochodzi do głosu wymiar metafizyczny (jakże naturalny nad mogiłą), gdy czytamy:

Nad Twoją białą mogiłą
Cisza jasna promienieje,
Jakby w górę coś wznosiło,
Jakby krzepiło nadzieję.

Nie chodzi jedynie o obecność tego wymiaru, chodzi o nacisk, z jakim poeta to podkreśla.

Drugi wiersz, *Pieśń poranna*, to utwór w pewnej mierze programowy, co łatwo (po tym, co napisałem i zacytowałem wyżej) odkryją moi czytelnicy, gdy przytoczę fragmenty. Zaczyna się tak:

Panie, jam Dawid, syn Izai,
Piastowy jestem syn.
Ty mi na sercu znak wypalisz
Zasłucham się w Twój rym.

I dalej mówi:
*Błagalną wiodę pieśń
byś się zmiłować chciał nad Piastem,
Byś żniwo zwolił zwieść.*
Następnie prosi o wspomnienie, gdy zjawi się Goliath.



FOT. ARCHIWUM MUZEUM SPORTU

Ciąg dalszy na s. 30 ►

Nad swoją białą mogiłą
biała kwitła życia kwiata –
o, ileś lat to już było
bez Ciebie – ducha skrydlatego –

Nad swoją białą mogiłą,
od lat tylko już zamknięta,
spokój krąży z dziełami ręką,
z słońcem, jak śmierć – niepojęta.

Nad swoją białą mogiłą
cisza jasną promieniuje,
jakby w głąb wód wznowiła,
jakby kłębiła nadzieję

Nad swoją białą mogiłą
kłębiłam ze swoim smutkiem –
o, jak to dawną już było –
jak się dziś zdaje młotkiem.

Nad swoją białą mogiłą
o Matko – zgasił się świat –
nie wstał niepokój białej
– Daj wieczne odpoczywanie –



KAROL WOJTYŁA

JAN PAWEŁ II

DZIEŁA LITERACKIE I TEATRALNE

Juvenilia (1938–1946)

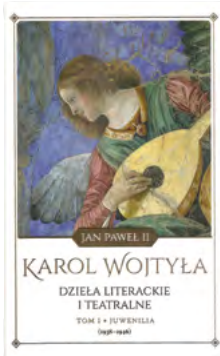
POD REDAKCJĄ
Jacka Popiela
ZESPÓŁ REDAKCYJNY
Marta Burghardt, Stanisław Dziedzic,
Anna Karoń-Ostrowska, Jan M...
Zdjęcie...

FOT. © EKSPEDYT.ORG

► Ciąg dalszy ze s. 29

Psalterz renesansowy to zbiór poematów, do których druku Karol Wojtyła, a potem Jan Paweł II, długo nie dopuszczał, uważając je za niegodne publikacji juvenilia. Dopiero w latach 90. dał się przekonać Markowi Skwarnickiemu, który zwrócił uwagę na fakt, jak bardzo zmieniła się sytuacja i jak dystans czasu oraz zaszytych przemian pozwala inaczej je odczytywać.

Nie wiem, czy z tego, co napisałem i z przytoczonych fragmentów wynika dość jasno, że projekt poetycki młodego Wojtyły ukryty pod tym tytułem jest niezwykle oryginalny, nieporównywalny w zasadzie z żadnym innym utworem literackim, co najwyżej może w swej powadze i nastroju nasuwać myśl o Hymnach Kasprowicza, filozoficznych wierszach Adama Asnyka w tomie *Nad głębiami* czy *Wyzwolenia* Wyspiańskiego. Ale o żadnych porównaniach nie ma mowy! Stanowi to samoistną wartość zbioru, którego literacka realizacja nie zawsze dorównuje – by tak rzec – intencjom poetyckim autora. Chodzi o to, że zastosowane nawiązania literackie, archaizacja języka itp. obniżają w pewnym stopniu – wedle dzisiejszej wrażliwości – wartość poetycką znajdujących się tu utworów i całego, jakże nowoczesnego i nowatorskiego, projektu. Przy czym trudno jedno od drugiego odebrać, bo w samej istocie i sednie utworów zawarta jest polska i słowiańska tradycja, obrazy i skojarzenia, a nie tylko w języku czy w sposobie „poezjowania”. Zatem mamy do czynienia z integralnym dziełem młodego, lecz całkowicie dojrzałego i oryginalnego twórcy, będącego u początków swej drogi,



która zaprowadzi go do postaci mistycznej, w wymiarze zaś poniekąd praktycznym (choć opartym na głębokiej duchowości) – do kapłaństwa i w końcu na tron Piotrowy.

W świetle dociekań Marka Skwarnickiego, autora przedmów do wielu wydań twórczości poetyckiej (i dramatycznej, której tu w ogóle nie uwzględniono) Karola Wojtyły, istnienie tajemny związek między jego utworami młodościowymi zawartymi w *Renesansowym Psalterzu* a *Tryptykiem rzymskim* Jana Pawła II z 2002 roku, ostatnim jego utworem literackim. Omówienie problematyki *Tryptyku* wykracza poza ramy tego tekstu, gdyż poematowi temu trzeba by poświęcić osobny esej. Warto jedynie powiedzieć za Skwarnickim, iż w *Tryptyku*, podobnie jak w *Renesansowym Psalterzu*, chodzi oczywiście o człowieka idącego ku sacrum, ku Niebu, ku Passze („bo dla mnie życie – to Chrystus, a umrzeć – to zysk” – św. Paweł w *Liście do Filipian*), z tym, że rzymski poemat Jana Pawła II jest już całkowicie uniwersalny, dotyczy człowieczeństwa i jego przeobstowania, a w formie wyzbyty został z wszelkich literackich czy filozoficznych (nie mówiąc o języku i stylistyce poetyckiej), świadomych czy nieświadomych, uzależnień.

Jan Paweł II nie boi się tutaj wypowiadać nawet twierdzeń banalnych, takich jak to, że do źródła idzie się pod prąd, bo nie tyle zależy mu na formie poetyckiej, na jej świeżości, lecz na pełni prawdy, dobra i piękna, które są w Nim. Niewypowiedzianym. Samoistnym Istnieniu. Jedynym. Stwórcy wszystkiego. Zarazem

Komunią Osób. Inna sprawa, że nawet idąc pod prąd, czasem nie jest łatwo odnaleźć źródło, o czym jest mowa w pierwszej części *Tryptyku*. Jesteśmy na pograniczu poezji i teologii. *Tryptyk* „wprowadza nas w świat treści objawionych” – jak powiedział Jan Paweł II o freskach Michała Anioła w homilii podczas mszy z okazji odsłonięcia odrestaurowanego fresku *Sąd Ostateczny* w Kaplicy Sykstyńskiej. Szczególnie dotyczy to drugiej części poematu, zatytułowanej *Medytacje nad Księgą Rodzaju na progu Kaplicy Sykstyńskiej*. Tu jesteśmy na pograniczu poezji i katechezy. By powiedzieć więcej o tym pograniczu i o tym, co należy do poezji, a co do katechezy, musielibyśmy wejść w szczegółowy rozbiór tekstu, co tu nie jest możliwe. Warto natomiast pochylić się nad *Posłowiem* do tej części, a właściwie nad jego zakończeniem. Są tam takie słowa skierowane do przyszłego konklawe:

Nie zapominajcie: Omnia nuda et aperta sunt ante oculos Eius,

Ty, który wszystko przenikasz, wskaż On wskaże...

Dzisiaj już wiemy, że wskazał!...

Poświęciłem tyle miejsca na omówienie, jakże pobieżne, początku i ostatniego aktu twórczości poetyckiej Karola Wojtyły, tak że o pozostałych kilkunastu, dłuższych na ogół, utworach poetyckich (często nazywanych „poematami średnimi”, podobnymi niekiedy do różnego rodzaju traktatów poetyckich), napisanych pomiędzy 1944 a 1978 rokiem, możemy powiedzieć jedynie fragmentarycznie lub syntetycznie. Należą do nich tak pamiętne tytuły jak *Pieśń o Bogu ukrytym* (1944), *Pieśń o blasku wody* (1950), *Matka* (1950), *Myśl jest przestrzenią dziwną* (1952), *Kamień* (1956), *Kościół* (1962), *Myśląc*

Ojczyzna (1974) czy *Odkupienie szuka twego kształtu, by wejść w niepokój wszystkich ludzi* oraz *Stanisław* (1978). Są to poetycko zorganizowane medytacje, myśli, refleksje o relacjach człowieka i Boga, osiagające niekiedy wymiar mistyczny. Nie bez kozery jedną z postaci mających wpływ na formację duchową ks. Wojtyły był św. Jan od Krzyża, któremu poświęcił pracę doktorską.

Krzysztof Dybciak, wówczas profesor literatury na KUL-u pisał, że utwory te są „nasycone terminami filozoficznymi i teologicznymi, podejmujące ważną intersubiektywnie problematykę, dokładnie wyłożoną, co nie oznacza pełnej zrozumiałości i łatwego odbioru, gdyż materia rozważań jest tajemnicza i na granicy wyrażalności” (*Posłowie do Poezji, Poems K. Wojtyły*, dwujęzycznej edycji Wydawnictwa Literackiego, Kraków 1998, przekład na angielski Jerzego Pietrkiewicza). Są to istotnie wyzwania dla czytelnika, który musi być przygotowany w zakresie znajomości teologii przynajmniej na poziomie *Katechizmu Kościoła Katolickiego*, odniesień do *Pisma Świętego*, żywotów niektórych świętych czy cywilizacji i kultury świata antycznego. Niekiedy jednak trudność zawiera się w samych sformułowaniach, nazbyt syntetycznych czy nie rozświetlonych do końca znaczeniowo, jak np. w słowach:

Tych ludzi znużeniem zarazem i światłem znasz

(*Pieśń o blasku wody*).

W przeciwieństwie do utworów młodzieńczych, mamy tu do czynienia z językiem czystym, precyzyjnym, całkowicie współczesną mową literacką, ale zarazem własną, zgodną z logiką mistycznego przeżywania, opartą niekiedy na równowadze przeciwieństw lub na metaforyce, obejmującej zarówno zjawiska przyrodnicze jak i społeczne. Oto dwa przykłady:

O Panie, przebacz mej myśli, że nie dość jeszcze miłuje

Przebacz miłości mej, Panie, że tak strasznie przykuta do myśli,

Że chłodnym myślom, jak nurt Ciebie odejmuje

I nie ogarnia płonącym ogniskiem.

I dalej, gdzie alter ego poety prosi, by Pan nie odrzącał

tego chłodnego podziwu,

Który nasycisz kiedyś kamieniem płonącym u warg

(*Pieśń o Bogu ukrytym*).

I przykład drugi:

Tak daleko od źródła

Te oczy znużone to znak,

Że ciemne wody nocy płynęły w słowach modlitwy

(– *nieurodzaj, nieurodzaj dusz* –)

A teraz światło studni pulsuje głęboko w tych łzach,

Które – pomyślą przechodnie – wycisnął podmuch snu...

Naturalnie, są to fragmenty wyrwane z kontekstu, ale, sądzę, dają poczuć smak tej lektury.

Przy całym napięciu duchowym, metafizycznym, poeta wykazuje szczególną wrażliwość na rzeczywistość przedmiotową, materialną, konkret jest dla niego istotny. Rzekłbyś, zgodnie z zasadami teorii poznania lubelskiej szkoły filozofii klasycznej, którą profesor Wojtyła współtworzył wspólnie z o. prof. Mieczysławem Albertem Krąpcem. Ciało, twarz, oczy, studnia, woda, ziemia, liść, drzewo – to są żywi bohaterowie poezji autora *Magnificat*, którym nadaje blask, ciężar, rozmaite znaczenia i role. K. Dybciak nie bez powodu w związku z tym cytuję następującą refleksję Zbigniewa Herberta, równie jak Wojtyła, szanującego w swych wierszach dotykającą i naocznie sprawdzalną rzeczywistość, jej kształty, twardość i zarazem wieloznaczność (jeśli umie się w jej przedmiotach znaczenia odkrywać), na temat malarstwa XVII wieku: „Znakomita część sztuki współczesnej opowiada się po stronie chaosu, gestykuluje w pustce albo mówi o historii własnej, jałowej duszy. Dawni mistrzowie [...] afirmowali widzialną rzeczywistość z natchnioną skrupulatnością i dziecięcą powagą, jakby od tego miały zależeć – porządek świata i obroty gwiazd, trwałość niebieskiego sklepienia” (*Martwa natura z wędzidłem*, Wrocław 1993, s. 45).

Poezja Wojtyły, ośmielę się rzec, cała jego poezja doskonale zdaje ten egzamin, choć rzeczywistość materialna nie jest jej głównym i zasadniczym tematem. Jest nim metafizyka, Bóg, człowiek duchowy czy uduchowiony przez wiarę. Ale przecież nie ma metafizyki bez rzeczywistości fizycznej...

JERZY BIERNACKI ■

FOT. © ARCHIWUM KURII METROPOLITANIEJ W KRAKOWIE



Nagroda im. Witolda Hulewicza za rok 2021

W 126. rocznicę urodzin Witolda Hulewicza – 26 listopada 2021 roku – w Warszawie ogłoszono laureatów XXVI edycji Nagrody jego imienia. Tym cenionym wyróżnieniem – przyznawanym pod honorowym patronatem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz marszałków województw mazowieckiego i wielkopolskiego – za rok 2021 uhonorowano szesnastu laureatów indywidualnych oraz Zespół Przychodni OPTIMA w Przemyśle i Radę Gminy Jarocin.

Wielką Nagrodę im. Witolda Hulewicza za całokształt twórczości poetyckiej otrzymał **Ernest Bryll** (Warszawa) – poeta, prozaik, dramaturg, autor tekstów piosenek, tłumacz, ambasador RP w Irlandii (1991-1995), członek polskiego i irlandzkiego PEN Clubu.

Wielką Nagrodę Honorową za wierną służbę Polsce przyznano pośmiertnie **Andrzejowi Pityńskiemu** (1947-2020) – Kawalerowi Orła Białego, polskiemu rzeźbiarzowi rodem z Ulanowa na Podkarpaciu, który żył i tworzył w Stanach Zjednoczonych, twórcy monumentalnych dzieł nawiązujących do wydarzeń z dziejów Polski.

Nagrody Honorowe im. Witolda Hulewicza za rok 2021 otrzymali:

Włodzimierz Bodnar – lekarz pediatra, specjalista chorób płuc – wraz z **Zespołem Przychodni OPTIMA** w Przemyśle – za oddanie w walce o zdrowie i życie Polaków w czasie pandemii,

Małgorzata Niczuk – twórczyni i właścicielka Galerii Usługa Jazz Bar w Olsztynie, miejsca sztuki i muzyki, oazy twórczości artystycznej, wystaw, wieczorów autorskich, koncertów i spektakli teatralnych – za promocję kultury i sztuki oraz mecenat nad twórcami,

Zbigniew Walczak – wójt Gminy Jarocin i **Rada Gminy Jarocin**, którzy podjęli decyzję o przyjęciu dzieła Mistrza Andrzeja Pityńskiego upamiętniającego ofiary ludobójstwa Polaków na Kresach Wschodnich – za decyzję o przyjęciu i wystawieniu Pomnika „Rzeź Wołyńska” przy Via Carpatia.

Z kolei laureatami ośmiu Nagród im. Witolda Hulewicza za rok 2021 są:

Leszek Bednarczuk (Kraków) – językoznawca, indoeuropeista i celtolog, członek Polskiej Akademii Umiejętności, profesor nauk humanistycznych, związany z Wilnem, autor prac o Wielkim Księstwie Litewskim, a także o tym, gdzie rodził się język polski – za twórczość w dziedzinie literatury,

Małgorzata Chomicz (Perugia) – artysta grafik, absolwentka Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu, profesor sztuki, pierwszy w dziejach Indira Kala Sangeet University Khairagarh w Indiach *visiting professor*, publicystka na łamach czasopisma „Bez Wierszówki” (2014-2020) i „Ostoja”, autorka ponad 65. wystaw indywidualnych, laureatka wielu prestiżowych nagród międzynarodowych – za twórczość w dziedzinie sztuk plastycznych,

Krystyna Guciewicz-Przybora (Mińsk Mazowiecki) – pisarka i poetka, reżyser, autorka scenariuszy widowisk teatralnych i programów telewizyjnych, twórczyni spotkań z poezją w Teatrze Narodowym tzw. „Ostrych Dyżurów Poetyckich” będących największym przedsięwzięciem charytatywnym polskiego środowiska aktorskiego, dobry duch Domu Artystów w Skolimowie – za działalność na polu kultury w połączeniu z troską o drugiego człowieka,

Anna Mieszczanek (Warszawa) – publicystka i dziennikarka, animatorka społeczna, psycho-edukatorka w konfliktach i kryzysach rodzinnych, mediatorka rodzinna; autorka bestsellerowej rozmowy-eseju z Wojciechem Eichelbergiem pt. *Jak wychowywać szczęśliwe dzieci*, ostatnie jej książki to: *Przedwojenni. Zawsze był jakiś dwór* i *Dzień bez Telewizji*. *Jak się żyło w stanie wojennym* (2021) – za twórczość publicystyczną,

Joanna Pogórska (Tarnów koło Garwolina) – działaczka społeczna i donatorka, wieloletnia prezes Fundacji „Ostoja Przy Wiśle”, współfundatorka kaplicy w Tarnowie, jako wotum wdzięczności Pani Jasnogórskiej, twórczyni konkursu „Pamięć nieustająca”, honorowa członek Zgrupowania Armii Krajowej „Gustaw” – „Harnaś” – za działalność społeczną,

Andrzej Suchcitz (Londyn) – historyk, archiwista, publicysta, kierownik Archiwum Instytutu Polskiego i Muze-

um im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie, współpracownik komisji do badania dziejów Polskich Władz Centralnych na Uchodźstwie przy Wydziale Historyczno-Filozoficznym PAU – za twórczość w dziedzinie nauk historycznych,

Witold Zych (Tarnobrzeg) – inżynier budownictwa, historyk sztuki, wieloletni kustosz zamku w Baranowie Sandomierskim, którego sukcesem było odnalezienie, uznanego za zaginiony, tryptyku ołtarzowego Jacka Malczewskiego, promotor twórczości Andrzeja Pityńskiego i problematyki rzeźby monumentalnej – za monografię pt. *Andrzej Pityński. Rzeźbiarz*,

Witold Żylicz (Gdańsk) – wnuk Bohdana Hulewicza (1888-1968), który przekazał Stowarzyszeniu im. Witolda Hulewicza jego prawa do przekładu na język niemiecki *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego – za ochronę spuścizny rodu Hulewiczów.

Po kilkuletniej przerwie, w 2021 roku przyznano również Nagrodę Młodych im. Witolda Hulewicza. Otrzymały ją: **Małgorzata Jaroszek** – absolwentka dziennikarstwa (UKSW) i **Joanna Jaroszek** – studentka (Collegium Medicum UKSW) z Radomia, wolontariuszki, zaangażowane w działalność Instytutu Myśli Schumana w Polsce, m.in. w ramach projektów „Wigilia Bez Granic”, „Wielkanoc Bez Granic”, „Życie Bez Granic”.

Grand Prix Nagrody im. Witolda Hulewicza za rok 2021 otrzymał za działalność naukową **Krzysztof Dybciak** (Warszawa) – poeta, eseista, historyk i teoretyk literatury, kierownik Katedry Literatury XX wieku UKSW, profesor nauk humanistycznych, autor wydanej w 2021 roku książki *Pisarstwo Karola Wojtyły – Jana Pawła II w oczach krytyków i uczonych*.

Wszystkim Laureatom serdecznie gratulujemy!

IRENEUSZ ST. BRUSKI ■

Magia czytania



FOT. © INA HALL

■ JERZY L. OKUNIEWSKI



Poziom czytelnictwa w Polsce jest niski i chociaż prowadzone przez Bibliotekę Narodową od wielu lat badania wskazują, że w ostatnich dwóch latach jego stan zauważalnie wzrasta, to nadal lokowani jesteśmy w tym względzie w ogonie Europy (3-4 miejsce od końca).

W latach 2019-2020 odpowiednio 39-42 proc. Polaków zadeklarowało czytanie w całości lub fragmencie co najmniej jednej książki w ciągu 12. miesięcy, poprzedzających prowadzone badania, 9-10 proc. deklaruje, że czyta rocznie co najmniej siedem książek. To niemal o połowę mniej od analogicznych wskaźników czytelnictwa z lat 2002-2004. Ilustruje to dokładnie poniższy wykres, opracowany przez Bibliotekę Narodową w *Raporcie o stanie czytelnictwa w Polsce 2020 roku*.

Co ciekawe, równocześnie 62 proc. Polaków deklaruje, że lubi czytać książki, „mimo że książki dla wielu mogą kojarzyć się z obowiązkowymi, przymusowymi lekturami szkolnymi”.

W poziomie czytelnictwa bardzo daleko nam do jego wielkości u naszych południo-

wych sąsiadów – Czechów, krajów skandynawskich i większości pozostałych krajów europejskich, w których niemal powszechne jest korzystanie z bibliotek publicznych, nabywanie książek w księgarniach oraz czytanie książek i prasy, w których wskaźniki „konsumpcji” książek są niemal dwa razy wyższe niż w Polsce. Chociaż i w tych krajach widoczny jest – wprawdzie nieznacznie – trend spadkowy czytelnictwa.

To oczywiście rezultat zmieniającego się życia we współczesnych społeczeństwach, nowych technologii informacyjno-komunikacyjnych, internetyzacji i postępującej coraz szybciej cyfryzacji. Wszystko wydawało się proste i oczywiste, dopóki nie zderzyliśmy się w wymienionych wyżej procesach. Ponad trzy dekady temu byliśmy zafascynowani światem Internetu z wityrami informacyjnymi, sieciami społecznościowymi, newsletterami, rewolucją cyfrową i innymi nowinkami technologicznymi, umożliwiającymi szybkie pozyskiwanie niezbędnych nam informacji a także komunikację.

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że przy szybko rosnącym poziomie jakości i technologicznej życia, książki zaczęły być traktowane często jako relikty przeszłości, przestały być atrybutami sukcesu, prestiżu i społecznej pozycji. Ale pisząc o tym, trzeba też

dodać łyżkę przysłowiowego dziegciu: sieci społecznościowe zostały zalane śmieciami. Fałsz został zmieszany z prawdą, a obiektywizm stał się tylko jedną z opcji. Zaczęło to często zaburzać nasze postrzeganie świata, widzenie bliższego i dalszego otoczenia, a także niekiedy wzajemne relacje.

Patrząc historycznie, z czytelnictwem w Polsce nigdy nie było dobrze, ani w okresie międzywojennym, w którym wybiliśmy się na niepodległość, ani w okresie tzw. Polski Ludowej (PRL), ani obecnie.

Czytelnictwo w bardzo znaczącym stopniu dziedziczone jest kulturowo. Tak więc jeżeli książki czytają nasi rodzice i nasze najbliższe otoczenie, w którym żyjemy i które obdarzamy zaufaniem i autorytetem, my też w znakomitej większości będziemy aktywnie czytać.

Kluczowe znaczenie w rozwoju i utrwalaniu czytania jako stałego procesu naszego życia mają szkoła i dom. Obie instytucje niestety nie wypełniają należycie owych funkcji i powinności, a właśnie z nich powinniśmy wyciągać czy czerpać, kapitał kulturowy. To rodzice, a w szczególności nauczyciele i bibliotekarze, w realizacji programu edukacyjnego powinni wyrabiać u dzieci i młodzieży zwyczaj/nawyk codziennego czytania książek.

Powinniśmy tak projektować swoje życie, aby rodzice i dorośli, dzieci i młodzież, w sposób najprostszy (np. przed snem) wygospodarowali 30-45 minut na samodzielne czytanie książki zakupionej w księgarni, wypożyczonej w bibliotece szkolnej lub publicznej, wybranej z domowego księgozbioru. Ważne, aby ów czas, o którym mowa wyżej poświęcić wyłącznie lekturze. Musimy pamiętać – chociaż to może być zbyt górnolotne – że trwanie, rozkwit i przyszłość naszego kraju zależy między innymi od upowszechnienia i wysokiego poziomu czytelnictwa.

□ Czytanie książek w latach 2000-2020



Źródło: Biblioteka Narodowa

Ciąg dalszy na s. 34 ►

► Ciąg dalszy ze s. 33

Odnosi to się także do naszego stanu zdrowia, poziomu wykształcenia, rosnącego kapitału społecznego, kreatywności i przedsiębiorczości, równowagi obywateli i mówiąc wprost, przyszłości demokracji.

Czytelnictwo ma znaczący wpływ na rozwój naszego mózgu przez całe nasze życie. Badania, które niedawno przeprowadzone zostały w Stanach Zjednoczonych, jednoznacznie dowodzą, że osoby, które dużo czytają, żyją przeciętnie dwa lata dłużej od tych, które od książek stronią. Badane osoby (kilkutysięczna grupa) poddano wielorakim testom medycznym, m.in. pytając je o ich nawyki czytelnicze i częstotliwość czynnego kontaktu z książkami. I co się okazało? Wystarczyzaledwie 30-45 minut aktywnej lektury w każdym dniu, by w ciągu 12. lat przedłużyć swoje szanse przyrostu życia aż o jedną piątą. Konkluzja jest wręcz oczywista: jeżeli chcemy żyć dłużej, sięgajmy maksymalnie często po książkę.

Bez czytania nie ma edukacji na żadnym z jej etapów. Czytanie jest jej fundamentem. Badania jednoznacznie wskazują, że czytanie na poszczególnych etapach życia człowieka, rozwija w widoczny sposób jego kreatywne/krytyczne myślenie, budzi ciekawość, buduje zdolności dłuższej koncentracji, rozumienie powiązań przyczynowo-skutkowych, a także analitycznego myślenia, co jak wiadomo w obecnych czasach w procesie życia człowieka ma kapitalne znaczenie.

Pomimo że – jak wskazują dokonywane obserwacje – trwająca od ponad dwóch lat pandemia Covid-19, wpłynęła ożywczo na czytelnictwo książek, to nadal „nie czytelnictwo” kształtuje się w naszym kraju na bardzo wysokim poziomie. W Polsce nadal najmniej czytają osoby starsze 50-, 60-, 70-letnie. To w jakimś stopniu pokłosie naszej minionej historii. Po pierwsze – dość późno po wojnie w kraju wyeliminowano niemal całkowicie analfabetyzm, po drugie w trakcie ostatniej wojny zniszczonych lub wywiezionych zostało prawie trzy czwarte księgozbiorów, w tym także księgozbiorów prywatnych, domowych. Nasi rodzice posiadali więc bardzo ograniczony dostęp do lektur, domowych bibliotek i książki. Co więcej, jeszcze niedawno braku czynnego kontaktu z książką, czy nieposiadania chociażby skromnego domowego księgozbioru, trochę się wstydziliśmy tak w kontaktach towarzyskich, jak i przed samym sobą. Dzisiaj takich odruchów już nie mamy. Panuje przekonanie, że książki i czytanie nie są potrzebne, by osiągać sukcesy zawodowe, czy towarzyskie. Zanika znajomość tradycji, ograniczony, lub

□ Czytanie książek na ekranie komputera, tabletu lub smartfona

	Ogółem	Wiek				Korzystanie z komputera				
		15–24	25–39	40–59	60 lat i więcej	W ogóle nie używam komputera, tabletu ani smartfona	Mniej niż jedną godzinę	1–5 godz.	5–8 godz.	8 godz. i więcej
Czytanie książek na ekranie komputera, tabletu lub smartfona	5%	11%*	6%	3%	4%	–	6%	4%*	10%	19%*
Liczebność	853	129	235	289	201	90	122	477	115	50

Źródło: Biblioteka Narodowa

Gwiazdką oznaczono różnice statystycznie istotne na poziomie istotności 0,05.

wręcz przerwany, został kod kulturowy, który dotychczas budowany był w oparciu o zasób wspólnych lektur, czytanych przez nas latami. Być może stoimy na progu procesu – jak to ujął swego czasu prof. Janusz Degler – znany historyk literatury, teatrolog, historyk teatru i edytor, były wykładowca na Uniwersytecie Wrocławskim i PWST – „wykorzeniania z podstawowych dla człowieka umiejętności kształtujących jego umysł, psychikę, czy duchowość”.

Śmierć książki byłaby katastrofą naszej kultury i zapewne katastrofą gatunku ludzkiego.

Polacy coraz mniej wydają na książki. Widać to między innymi po malejących przychodach z ich sprzedaży. Apogeum tej sprzedaży miało miejsce ostatni raz w 2010 roku, w którym wyniosło dokładnie 2,94 mld złotych. Od roku 2011, tj. od kiedy wprowadzono 5 proc. VAT na książki, przychody systematycznie spadają. W roku ubiegłym przekroczyły niewiele ponad 2,55 mld złotych i co ważniejsze były najwyższe od 2014 roku (2,49 mld złotych). Ale to nadal bardzo niski poziom. Udział polskiego rynku książki w europejskim rynku wydawniczym to mniej więcej 3 proc. Tymczasem ludność Polski stanowi 7,5 proc. potencjału ludnościowego Unii Europejskiej. Gdyby poziom produkcji wydawniczej w Polsce miał być tożsamy z jej udziałem ludnościowym w Unii Europejskiej to wartość książek wydawanych w naszym kraju powinna wynosić corocznie ponad 6 mld złotych, a więc być wyższa ponad 2,5-krotnie.

Tymczasem w ubiegłym roku statystyczny Polak wydał na książki i inne wydawnictwa (bez podręczników szkolnych i innych wydawnictw przeznaczonych do nauki) 25,44 złotych. To co prawda o 1,44 zł więcej niż rok wcześniej, ale to oznacza, że nabył zaledwie dwie trzecie egzemplarza książki.

Cóż zatem należy czynić, by w naszym kraju rozwijać czytelnictwo i pięć się po europejskiej drabinie aktywności czytelniczej?

Po pierwsze: szybko zahamować spadek, a następnie rozwijać sieć księgarni funkcjonujących w kraju i ich profesjonalizację. Obecnie w oficjalnych statystykach funkcjonuje podobno 1 750 księgarni. Ta liczba budzi jednak poważne wątpliwości. Jeżdżę dużo po Polsce, chociażby z tego względu, że „Książnica Polska”, w której pracuję blisko 55 lat, dysponuje siecią swoich księgarni na terenie niemal całego kraju: od Tarnowa po Szczecin i od Elku po Wrocław, i widzę stan i gęstość księgarni na terenie kraju. Sądzę, że faktyczna ich liczba nie przekracza 1100-1200 jednostek. Nie brak także opinii, że wysoko uzawodowionych, w pełni profesjonalnych księgarni, jest w naszym kraju zaledwie około 300. Warto w tym miejscu porównać się do wielkości sieci księgarskiej u naszego południowego sąsiada – Czech. W tym kraju, w którym potencjał ludnościowy jest niemal czterokrotnie niższy niż w Polsce, funkcjonuje aktualnie ponad 600 księgarni. To oznacza, że gęstość sieci księgarni w naszym kraju jest bardzo niska. Placówek księgarskich brakuje nie tylko w wielu miastach poniżej powiatu, ale także w wielu miastach powiatowych.

Ten stan w sposób zasadniczy ogranicza faktyczny, fizyczny dostęp do szerokiej (ponad 30 tys. tytułów rocznie) oferty książkowej.

Po drugie: warto rozważyć (choćby czasowe) wprowadzenie przez państwo ulgi podatkowej przy zakupach książek przez potencjalnych czytelników, przykładowo w kwocie 400-500 złotych rocznie, co radykalnie zwiększyłoby ich zakupy i zwiększyłoby istotnie m.in. domowe księgozbiory. Uczyniło tak niedawno państwo włoskie, z bardzo dobrym skutkiem dla książki i rozwoju czytelnictwa.

Po trzecie: należałoby szybko doprowadzić do likwidacji „ovatowania” nabywanych książek 5 proc. stawką podatku VAT, co przyczyniłoby się m.in. do obniżenia cen książek i niewątpliwie widocznych wzrostów ich sprzedaży. W tym miejscu chyba bardzo pozytywna wiadomość... na początku 2. półrocza roku 2022 jest ogromna szansa na likwidację „ovatowania” książek. Ostatnio Rada ds. Gospodarczych i Finansowych UE (ECOFIN) osiągnęła porozumienie w sprawie reformy stawek VAT, co da krajom Unii Europejskiej większą elastyczność w stosowaniu obniżonych i zerowych stawek VAT, właśnie m.in. dla publikacji książkowych.

Po czwarte: należałoby jak najszybciej zakończyć trwające o wielu lat wojny cenowo-rabatowe, które mają miejsce na polskim rynku książki i które ten rynek (m.in. księgarnie głównie niezależne) niszczy i degradują. Tu kłania się ciągle brak ustawy o książce, regulującej rynek w pewnych aspektach, pomimo że starania o jej uchwalenie trwają od ładnych kilku lat.

Po piąte: rozwój i wdrożenie sztucznej inteligencji na rynku książki może stanowić ogromną szansę dla rozwoju czytelnictwa. Chodzi o stworzenie systemu elektronicznego, ułatwiającego czytelnikom dobór książek. Prace na tym polu już trwają i zapewne niebawem znajdą praktyczne zastosowanie na osi: wydawca – księgarnia – czytelnik.

Na zakończenie warto podkreślić i zaznaczyć istotną rolę jaką spełniają w propa-



FOT. © ANDREA DON

gowaniu i rozwoju czytelnictwa rozmaite programy, kampanie i działania realizowane przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2. edycja Narodowego Programu Rozwoju Czytelnictwa, kampania „Mała książka – wielki człowiek”, „Certyfikat dla

książek i inne. To będzie niewątpliwie powodować wzrost cen książek; już obecnie przeciętna cena książki przekracza 40 złotych. Oby nie było to barierą dla kupujących i czytelników książek.

JERZY L. OKUNIEWSKI ■

□ Najpoczytniejsi autorzy według liczby czytelników w latach 2012-2020

ogólnopolski, reprezentatywny sondaż czytelnicy (kolejność najpoczytniejszych autorów według liczby czytelników)								
miejsce	2012	2014	2015	2016	2017	2018	2019	2020
1	Henryk Sienkiewicz	Henryk Sienkiewicz	E. L. James	Henryk Sienkiewicz	Stephen King	Henryk Sienkiewicz	Remigiusz Mróz	Remigiusz Mróz
2	Adam Mickiewicz	E. L. James	Henryk Sienkiewicz	Stephen King	Henryk Sienkiewicz	Remigiusz Mróz	Olga Tokarczuk	Olga Tokarczuk
3	Stephenie Meyer	Stephen King	Stephen King	Paula Hawkins	Remigiusz Mróz	Stephen King	Stephen King	Stephen King
4	J. K. Rowling	Dan Brown	Dan Brown	E. L. James	Adam Mickiewicz	J. K. Rowling	Henryk Sienkiewicz	Harlan Coben
5	Dan Brown	Adam Mickiewicz	Andrzej Sapkowski	J. K. Rowling	Dan Brown	Harlan Coben	Adam Mickiewicz	Adam Mickiewicz
6	Paulo Coelho	Harlan Coben	Adam Mickiewicz	Katarzyna Bonda	Nicholas Sparks	George R. R. Martin	Andrzej Sapkowski	Henryk Sienkiewicz
7	Stephen King	Danielle Steel	Bolesław Prus	Danielle Steel	Katarzyna Bonda	E. L. James	Katarzyna Bonda	Andrzej Sapkowski
8	Stieg Larsson	Paulo Coelho	George R. R. Martin	Adam Mickiewicz	Stephenie Meyer	Adam Mickiewicz	Katarzyna Grochola	Szczepan Twardoch
9	Bolesław Prus	Stefan Żeromski	Katarzyna Michalak	Stephenie Meyer	Paula Hawkins	Paula Hawkins	Blanka Lipińska	E. L. James
10	Małgorzata Kalicińska	Joanna Chmielewska	Stieg Larsson	Paulo Coelho	Agatha Christie	Danielle Steel	B. A. Paris	Jo Nesbø
11	Danielle Steel	J. R. R. Tolkien	Stephenie Meyer	Dan Brown	E. L. James	Andrzej Sapkowski	Bolesław Prus	J. K. Rowling
12	George R. R. Martin	George R. R. Martin	J. K. Rowling	Joanna Chmielewska	Jo Nesbø	Katarzyna Bonda	Heather Morris	Blanka Lipińska
13	Katarzyna Grochola	Katarzyna Grochola	Agatha Christie	Katarzyna Grochola	Joanna Chmielewska	Nicholas Sparks	Danielle Steel	Heather Morris
14	Harlan Coben	Andrzej Sapkowski	Harlan Coben	Nicholas Sparks	J. K. Rowling	Katarzyna Michalak	Jakub Żulczyk	Michał Bułhakow
15	J. R. R. Tolkien	Bolesław Prus	Danielle Steel	Bolesław Prus	Katarzyna Grochola	Stefan Żeromski	Harlan Coben	Camilla Läckberg
16	Nora Roberts	Katarzyna Michalak	Nora Roberts	ks. Jan Kaczkowski	Stefan Żeromski	J. R. R. Tolkien	Jo Nesbø	Katarzyna Nosowska
17	Joanna Chmielewska	Stephenie Meyer	Katarzyna Grochola	George R. R. Martin	Andrzej Sapkowski	Katarzyna Grochola	Katarzyna Michalak	Wojciech Chmielarz
18	Andrzej Sapkowski	J. K. Rowling	Małgorzata Kalicińska	Małgorzata Kalicińska	Camilla Läckberg	Bolesław Prus	Stefan Żeromski	Sofokles
19	Agatha Christie	Agatha Christie	Joseph Murphy	Joseph Murphy	Fiodor Dostojewski	Waris Dirie	E. L. James	Bolesław Prus
20	Juliusz Słowacki	Małgorzata Kalicińska	Maria Rodziewiczówna	Stefan Żeromski	Zygmunt Miłoszewski	Jakub Żulczyk	J. K. Rowling	Carlos Ruiz Zafón
21	Maria Czubaszek	Danuta Wałęsa	Nicholas Sparks	Monika Szwała	Katarzyna Michalak	Szczepan Twardoch	Joseph Murphy	Dan Brown
22	Sofokles	Stieg Larsson	Camilla Läckberg	Andrzej Sapkowski	Carlos Ruiz Zafón	Joanna Chmielewska	J. R. R. Tolkien	Alicja Sinicka
23	Małgorzata Musierowicz	Aleksander Kamiński	Margit Sandemo	Helen Fielding	Mario Puzo	Heather Morris	Joanna Chmielewska	Yuval Noah Harari
24	Danuta Wałęsa	Nicholas Sparks	Paulo Coelho	Jojo Moyes	George R. R. Martin	Fiodor Dostojewski	Marek Krajewski	Katarzyna Grochola
25	John Grisham	Monika Szwała	Stefan Żeromski	Eliza Orzeszkowa	J. R. R. Tolkien	Agatha Christie	Graham Masterton	Donald Tusk
26	E. L. James	Camilla Läckberg	Robert Ludlum	Agatha Christie	Bolesław Prus	Katarzyna Nosowska	Fiodor Dostojewski	Guillaume Musso
27	Stefan Żeromski	Carlos Ruiz Zafón	Waris Dirie	Sofokles	Stieg Larsson	Mariusz Szczygiel	Zygmunt Miłoszewski	Danielle Steel
28	Aleksander Kamiński	Jo Nesbø	John Grisham	Umberto Eco	Danielle Steel	Olga Tokarczuk	Katarzyna Puzyńska	Danielle Steel
29	Wojciech Cejrowski	Sofokles	Joanna Chmielewska	Wojciech Cejrowski	Joseph Murphy	Sofokles	George Orwell	J. R. R. Tolkien
30	Michał Bułhakow	Beata Pawlikowska	Monika Szwała	Michał Bułhakow	Harlan Coben	Nora Roberts	Sebastian Fitzek	Laila Shukri

Źródło: Biblioteka Narodowa

Niespokojne duchy polskiej literatury

WOJCIECH GOLJAT



Ferdynand Antoni Ossendowski i Sergiusz Piasecki – przed wojną należeli do najpopularniejszych pisarzy w Polsce, za swój radykalny antykomunizm świadomie zapomniani w okresie PRL-u, dopiero od lat 90. wznowiono większość ich książek.

Dzieliło ich niemało, ale mieli też wiele wspólnego. Obaj mieli bardzo barwne życiorysy, byli niespokojnymi duchami, ludźmi energicznymi i niepokornymi. Gdy mówimy o ich dorobku literackim, zawsze z tematu literatury ześlizgujemy się na obszar ich bogatych biografii. Wielokrotnie ocierali się o śmierć. Wykorzystywali w swoich książkach własne doświadczenia życiowe, obaj pochodzili z Kresów. Obaj byli poliglotami. Obaj skazani zostali na karę śmierci wyrokami sądów doraźnych zamienionymi na karę więzienia. Byli też świadkami rewolucji październikowej i wojny domowej w Rosji; poznali absurd, zakłamanie i terror bolszewizmu i obaj stali się radykalnymi antykomunistami. Ich antybolszewizm stał się nieomal obsesyjny – co nie dziwi u ludzi, którzy na własne oczy oglądali jego zbrodnie. Wiele fragmentów ich biografii znamy tylko z tego co sami o sobie powiedzieli; mieli wysoce rozwiniętą wyobraźnię i potrafili przekonująco ubarwiać rzeczywistość nie stroniąc od konfabulacji. Ich książki miały wiele wydań i były tłumaczone na kilkanaście języków.

Dzieliło ich prawie 25 lat – być może nigdy się nie spotkali. Ossendowski był człowiekiem wykształconym, wykładowcą akademickim; Piasecki skończył formalną edukację na siódmej klasie rosyjskiego liceum i języka polskiego uczył się dopiero jako dorosły człowiek. Jednak warto skoncentrować się nie tylko na ich osiągnięciach literackich, lecz również na ich barwnych życiorysach.

Ferdynand Antoni Ossendowski (1878–1945)

Ossendowski był najczęściej tłumaczonym, po Henryku Sienkiewiczu, polskim pisarzem i, obok Józefa Ignacego Kra-



FOT. IAC

szewskiego, chyba najbardziej płodnym – napisał 77 książek. Jego dzieła wydano w ponad 100 milionach egzemplarzy.

Niepokorny naukowiec

Urodził się w guberni witebskiej, młode lata spędził w Kamieńcu Podolskim. W Petersburgu ukończył studia przyrodniczo-chemiczne i rozpoczął pracę naukową. Okazał się nietypowym początkującym naukowcem, gdy w ramach pracy akademickiej odbył kilka ekspedycji do Azji, z których doświadczenia i obserwacje posłużyły

mu jako materiał do pierwszych książek podróżniczych. W 1899 roku wyjechał do Paryża, gdzie studiował na Sorbonie.

Wychowany w duchu polskości, energiczny młody człowiek o wybuchowym temperamencie, po powrocie do Rosji, w 1905 i 1906 roku zaangażował się w protesty przeciwko autokratyzmowi i bezwzględności carskich represji. Skończyło się to aresztowaniem i wyrokiem śmierci sądu doraźnego, zamienionym na półtora roku twierdzy. Efektem tego była pierwsza (wydana po rosyjsku) znacząca książka Ossendowskiego *W ludzkiej pyli* (*W ludzkim pytle*) oparta na doświadczeniach więziennych autora. Po wyjściu na wolność podjął pracę dziennikarską.

Najbarwniejszy okres jego życiorysu to lata rewolucji i wojny domowej w Rosji. W 1917 i 1918 roku w Petersburgu miał okazję zapoznać się z chaosem, okrucieństwem i manipulacją bolszewicką w zrewoltowanej Rosji. Nie miał złudzeń co do nowej władzy i zdegradowany wyjechał do azjatyckiej części Rosji. Na Syberii podjął współpracę z białogwardyjskim admirałem Aleksandrem Kołczakiem. Sam Ossendowski twierdził, że był jednym z ministrów rządu A. Kołczaka, jednak to tylko jedna z licznych „nieścisłości” w podawanej przezeń autobiografii. Natomiast faktem jest znacząca rola Ossendowskiego w ujawnieniu dokumentów potwierdzających finansowanie W. Lenina i pozostałych przywódców bolszewickich przez Niemców w 1917 roku dla dokonania dywersji w Rosji



Wręczenie nagrody Ferdynandowi Ossendowskiemu przez prezesa Związku Autorów Dramatycznych Wacława Grubińskiego, 1933 FOT. NAC

walczącej z Niemcami w I wojnie światowej (tzw. dokumenty Sissona).

Ściągnęło to na niego zacieklą wrogość świata komunistycznego trwającą aż do jego śmierci. Nienawiść tę zwiększyło wydanie w 1930 roku zbeletryzowanej biografii wodza rewolucji (powieść *Lenin*), w której F. Ossendowski demaskował ideę władzy bolszewickiej i osobę samego Lenina pisząc m.in.: „Lenin nie dowierzał Rosjanom pamiętając, że nawet najzacieklejsi rewolucjoniści nieraz się cofali, wyrzekali dawnych poglądów i zdradzali sprawę i dawnych współtowarzyszy. Wobec tego sprytem i premedytacją popchnął cały lud na dokonanie takiej zbrodni, złągodzić której nie mogły żadne skruchy i zaprzaństwa, a przed oczyma złoczyńców w dzień i w nocy majaczyłaby szubienica”.

Skarb barona Ungerna

Po klęsce admirała A. Kołczaka Ferdynand Ossendowski musiał uchodzić z Syberii opanowywanej stopniowo przez bolszewików. Swoją ucieczkę opisał w jednej z najsłynniejszych polskich książek podróżniczych *Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów*. Pomimo że książka ta zawierała wiele nieścisłości i wręcz konfabulacji, to zdobyła olbrzymią popularność.

Przetłumaczona została na kilkanaście języków i wielokrotnie była wznawiana. Pierwsze jej wydanie ukazało się w języku angielskim w 1922 roku w Nowym Jorku kilkanaście miesięcy po wydostaniu się Ossendowskiego z obszaru Syberii i Mongolii. Autor opisał swoją ucieczkę do Mongolii i kontakty z charyzmatycznym dowódcą antybolszewickiej Azjatyckiej Dywizji Konnej baronem (inflanckiego pochodzenia) Romanem von Ungern-Sternberg zwanym „krwawym baronem” lub „szalonym baronem”.

Tu Ossendowski, wbrew swoim tendencjom do ubarwiania rzeczywistości, wykazuje wstrzemięźliwość i wręcz pomniejsza swoją rolę przy boku „szalonego barona”. W następnych latach też o tej roli niechętnie mówił. Czy rzeczywiście miał coś do ukrycia czy też świadomie roztaczał wokół siebie aureę tajemniczości? Wiadomo było, że baron Ungern dysponował olbrzymim skarbem składającym się ze złotej biżuterii, złotych posążków i złotych monet – wartość tego skarbu szacowano na ponad 20 milionów dolarów (według ówczesnej wartości).

Skarb ten częściowo zatonął podczas jednej z bitew przy przeprawie przez rzekę Selengę. Jego większość została jednak przez Ungerna ukryta. Tajemnicę miejsca ukrycia baron jakoby miał powierzyć właśnie Ossendowskiemu. Czy jednak naprawdę Ossendowski znał tajemnicę skarbu Ungerna?



Czy uczestnictwo jednego z oficerów Ungerna, Kamila Giżyckiego, w wyprawie badawczej Ossendowskiego do Afryki w 10 lat później było przypadkowe? Nikt tego nie wie. Bezsukteczne poszukiwania skarbu „szalonego barona” trwają do dziś...

Sam pisarz żartował, że będzie żył wiecznie. Podobno przepowiednia buddyjskich lamów głosiła, że będzie żył dopóki baron Ungern mu o sobie nie przypomni. 2 stycznia 1945 roku, krótko przed wycofaniem się wojsk niemieckich, Ossendowski odwiedził niemieckiego oficera przedstawiając mu się jako baron von

nanda Ossendowskiego w znacznej części okrywa tajemnica. Kilkakrotnie ocierał się o śmierć. Wierzył jednak w swoją szczęśliwą gwiazdę: czy to unikając wykonania wyroku śmierci w 1907 roku, czy to uciekając ze zrewoltowanej Rosji 1918-1920, czy też podczas okupacji niemieckiej. Pomała mu wysoka inteligencja, znajomość kilku języków obcych (w tym mongolskiego i chińskiego), głęboka erudycja, zuchwałość i niemała doza szczęścia.

Po powrocie do Polski w 1923 roku osiadł w Warszawie, a potem w Nieszawie na Kujawach. W okresie międzywojennym poświęcił się swoim dwóm pasjom: pisaniu książek i podróżom. W bogatej działalności literackiej pomocne mu były „nieokielznana wyobraźnia i umiejętność konfabulacji na zawołanie”. Najczęściej pisał powieści podróżnicze (w stylu tzw. romansu podróżniczego i stąd nazywano go „polskim Karolem May’em”) i historyczne, duża część z nich adresowana była do młodzieży.

W serii „Cuda Polski” opisał walory krajoznawcze kilku regionów południowej Polski. Jego opisy były ujęciem bardziej literackim niż typowo przewodnikowym. Na przykład tak pisał o Karpatach: „Tak blisko zewsząd do tej zielonej krainy i tych przełęczy przez dalekich przodków naszych bronionych! Któż nie zapragnie podążyć tam, skąpać się w słońcu, wchłonąć powiew od grani zielonej, ujrzeć bogactwa Ojczyzny i z trosk się otrząsnąć...”. Podróże zawsze były jego pasją i stąd nadal dużo podróżował m.in. organizując kilkuniosobowe ekspedycje do Afryki czy Azji.

W 1923 roku ustabilizował swoje życie osobiste żeniąc się ze swoją młodzieńczą miłością, świeżo owdowiałą Zofią Iwanowską (*primo voto* Płoszko) – skrzypaczką, kompozytorką, profesorem konserwatorium muzycznego.



Ungern-Sternberg (przypuszcza się, że mógł to być porucznik Ascold von Ungern-Sternberg). Ossendowski zmarł następnego dnia.

Polski Karol May

Tak go niekiedy nazywano. Nazywano go też „polskim Lawrance’em”. Życie Ferdy-

Ciąg dalszy na s. 38 ▶

► Ciąg dalszy ze s. 37

Ściągnął na siebie nienawiść świata komunistycznego, gdy w 1930 roku wydał swoje słynne dzieło Lenin, w którym okazał się zagorzałym krytykiem i demaskatorem wodza rewolucji, wodza będącego bożyszczem komunistów radzieckich i całej wręcz lewicowej Europy zauroczonej eksperymentem radzieckim. Z zażenowaniem i kpina obserwował naiwność ludzi Zachodu ulegających sowieckiej propagandzie zachwycającymi się radzieckimi „osiągnięciami” społeczno-gospodarczymi pisząc m.in.: „Angielscy i francuscy towarzysze z zachwytem przyglądają się jednemu placowi i trzem czystym ulicom [Moskwy]... wspaniałemu Kremlowi i dekoracyjnym fabrykom pokazywanych naiwnym gościom przez wygadanych komisarzy. Nie mogli ochłonąć ze zdumienia we wspaniałych restauracjach zającując kawior... i popijając szampana...”.

Czy w dniu śmierci 3 stycznia 1945 roku nadal świeciła mu jego „szczęśliwa gwiazda”? Paradoksalnie: chyba jednak śmierć przyszła w porę. W dwa tygodnie później Grodzisk Mazowiecki, gdzie zmarł, zajęła Armia Czerwona. Specjalna ekipa NKWD intensywnie poszukiwała Ossendowskiego – osobistego wroga Lenina (mimo że ten od ponad 20 lat już nie żył). Szukano również jakichś informacji o skarbie Ungerna, jednak Ossendowski krótko przed śmiercią starannie zniszczył wszystkie posiadane dokumenty. Rozkopano też jego świeży grób, dla pełnej identyfikacji ściągnięto nawet jego stomatologa. Naturalna śmierć była chyba jednak dla Ossendowskiego dużo lepszą opcją niż śmierć w kazamatach NKWD. Czy aby jednak rzeczywiście naturalna...?

Sergiusz Piasecki (1901-1964)

Wychowany w środowisku prawosławnym i rosyjskojęzycznym w guberni mińskiej dopiero jak dwudziestolatek określił swoją świadomość narodową pisząc później: „Jestem Polak, to znaczy: obywatel państwa, które od wieków walczyło o wolność wielu narodów i dlatego przez wieki było darte, sprzedawane, zdradzane i niszczone”. Był nieślubnym synem zrusyfikowanego zubożałego polskiego szlachcica i Białorusinki. Odseparowany od matki wychowywany był, przez wrogo doń nastawioną, macochę co bardzo wpłynęło na jego osobowość.

Król granicy i bóg nocy

Niepokorna i gwałtowna natura ujawniły się już w młodych latach. Aresztowany jako gimnazjalista za atak na jednego z nauczycieli uciekł z więzienia w 1917 roku i, jak



Sergiusz Piasecki FOT. NAVINY.BELSAT.EU

sam pisał, „skoczył w wir życia awanturczego i rewolucji”. Na pewien czas związał się z mińskim środowiskiem przestępczym.

W Moskwie na własne oczy zobaczył chaos, obłudę i okrucieństwo władzy bolszewickiej, co do końca życia, uczyniło zeń zdeklarowanego antykomunistę. W 1919 roku wstąpił do białoruskich oddziałów walczących z bolszewikami. Wkrótce przeszedł do Wojska Polskiego i trafił do szkoły podchorążych. Dopiero wówczas odkrył swoje polskie korzenie i określił świadomość narodową. W sierpniu 1920 roku bronił Warszawy przed Armią Czerwoną.

Zdemobilizowany po wojnie, szukając środków do życia, zgłosił się do polskiego wywiadu. Okazał się tu wyjątkowo cennym nabytkiem. Dobrze znał obszary ówczesnego polsko – sowieckiego pogranicza, świetnie mówił językiem rosyjskim i białoruskim w różnych dialektach. Cechowa-

ły go przedsiębiorczość, odwaga i spryt. Setki razy nielegalnie przekraczał granicę. Zorganizował siatkę szpiegowską, którą praktycznie sam finansował dzięki, zorganizowanej równolegle, dochodowej działalności przemysłowej (m.in. kokainy). Jak określił później sam siebie w dedykacji dla Witkacego, był wówczas „królem granicy i bogiem nocy, który [później] stoczył się do poziomu literata polskiego”. Kompani z siatki przemysłowej nie mieli pojęcia o wywiadowczej działalności Piaseckiego, przełożeni i współpracownicy z wywiadu nie orientowali się w jego działalności przemysłowej. W obu tych sferach inteligentny i zuchwały Piasecki osiągał nadzwyczajne wyniki. Jak sam pisał później: „W ciągu czterech lat przeszło przez moje ręce nie mniej jak milion funtów. Nie zabezpieczyłem siebie, nie kupiłem nawet kamienicy, choć mogłem kupić ulicę. A później głodowałem”.

Przemyt był świetną przykrywką dla pracy wywiadowczej, gdyż za przemyt groziło „tylko” kilka lat więzienia, za działalność szpiegowską zaś tortury i śmierć. Kilkakrotnie aresztowany potrafił, dzięki sprytowi, szczęściu i zimnej krwi, wyjść z każdej opresji. Awansowany, w uznaniu zasług, do stopnia oficerskiego wpadł jednak w uzależnienie od kokainy i, po konfliktach z przełożonymi, został zwolniony ze służby.

Pozostając bez środków do życia dokończył, będąc pod wpływem narkotyków, kilku napadów rabunkowych z bronią w ręku. Został ujęty i skazany na karę śmierci przez sąd doraźny (takie obowiązywały wówczas na pograniczu). Ze względu na wcześniejszą działalność w wywiadzie karę śmierci zamieniono mu na 15 lat więzienia. Tu znów wykazał „rogatą duszę” i więzieniem okazał się nadzwyczaj niepokornym – w jego aktach więziennych umieszczano



Więzienie na Świętym Krzyżu w czasie buntu więźniów, 1925 FOT. PUBLIC DOMAIN

dopisek „Niebezpieczny!”. Jako przywódcę buntów więziennych przenoszono go karnie do innych więzień aż trafił do najcięższego polskiego więzienia na Świętym Krzyżu. Jak pisał o nim, przyjaźniący się z nim później, Witkacy: „To co przeżył, to jest coś tak piekielnego, że wierzyć się nie chce, że on w ogóle jeszcze istnieje”.

Pisarz – bandyta

Genezę swojego pisarstwa Piasecki opisał później krótko: „Jest wielu więźniów politycznych, niejednokrotnie bardzo inteligentnych. Wielu z nich w więzieniu pisało, toteż za ich przykładem zacząłem pisać i ja”. I to w więzieniu na Świętym Krzyżu powstała najslawniejsza książka Sergiusza Piaseckiego *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy* – rękopisem zachwylił się Melchior Wańkowicz i to on podjął energiczne starania o przedterminowe zwolnienie utalentowanego więźnia. Powieść oparta na szpiegowsko-przemysłowych przeżyciach Piaseckiego z lat 1921-1925 okazała się trzecią najlepiej sprzedającą się książką końca lat 30. Miała również wiele przekładów. W 1938 roku za tę powieść próbowano nawet zgłaszać Piaseckiego jako kandydata do literackiej Nagrody Nobla.

Dodać warto, że dopiero w więzieniu Piasecki opanował literacki język polski ucząc się, jak sam twierdził, z *Biblii* i „Wiadomości Literackich” przesyłanych mu regularnie przez M. Wańkowicza. We wniosku do Prezydenta RP o ulaskawienie niepokornego bandyty-pisarza adwokat, współpracujący z M. Wańkowiczem, argumentował: „Łaska ta spotka moralnie odrodzonego człowieka, który dawne swoje życie okupi wzbogaceniem dobytku literatury ojczystej”.

Na Piaseckiego, ulaskawionego przez Prezydenta Ignacego Mościckiego, przed więzieniem na Świętym Krzyżu czekali reporterzy i przedstawiciele świata artystycznego. Samochodu użyczył sam naczelnik więzienia. Piasecki stał się sensacją towarzyską i znajomości z nim nie wstydzili się tacy ludzie jak T. Boy-Żeleński, Witkacy, J. Tuwim, A. Ślomisński, W. Sieroszewski, H. Worcell i inni. Jeszcze przed wojną ukazały się powieści Piaseckiego *Piąty etap* i *Bogom nocy równi*, w których Piasecki m.in. wyraźnie artykułował swój wrogi stosunek do systemu sowieckiego.

Lata wojny i emigracja

Podczas drugiej wojny światowej Piasecki podjął w Wilnie intensywną współpracę z Armią Krajową – nigdy nie złożył jednak przysięgi tłumacząc to swoim, wysoko posu-



Jadwiga Tomaszewicz z Waszkiewiczów, małżonka Sergiusza Piaseckiego; obok list S. Piaseckiego do niej
FOT. NAVINY.BELSAT.EU

niętym, indywidualizmem. Tak naprawdę przyczyną była niechęć do formalnych struktur, niska ocena predyspozycji dowódczych i organizacyjnych niektórych członków

dowództwa wileńskiego AK oraz świadomość, mierzących go, rozgrywek ambicjonalnych tegoż środowiska.

Pomimo to w 1943 roku Sergiusz Piasecki objął dowództwo oddziału egzekucyjnego wileńskiego Kedywu wykonującego wyroki śmierci wydawane przez podziemne sądy. Używał konspiracyjnych pseudonimów „Suez”, „Kira” i „Konrad”. Jego oddział dokonał kilku spektakularnych akcji. Piasecki wzbudzał jednak kontrowersje w dowództwie AK, między innymi odmawiając wykonania wyroku śmierci na znanym publicyście Józefie Mackiewiczu. Rozpoznanie przez Piaseckiego sprawy Mackiewiczza okazało się dużo trafniejsze niż rozpoznanie sądu podziemnego, który wydał wyrok śmierci na podstawie fałszywych donosów i intryg ludzi niechętnych Mackiewiczowi.

Po zakończeniu wojny Piasecki, zagrożony aresztowaniem, przez rok się ukrywał i dopiero w kwietniu 1946 roku zbiegł na Zachód. Tam pomogli mu Melchior Wańkowicz i, wdzięczny za uratowanie życia, Józef Mackiewicz.

Na emigracji ukazały się kolejne książki Piaseckiego, z których najpopularniejszą okazały się *Zapiski oficera Armii Czerwonej* będące satyrą na indoktrynację i specyficzną mentalność ludzi radzieckich. Twardogłową sowiecką mentalność tytułowego lejtnanta Zubowa pokazuje m.in. jego pogląd, że „wszystkich burżujów posiadających zegarki i rowery należy wyrzucić i za pomocą NKWD nasz ruski socjalizm wszędzie wprowadzić”.

W ostatnich latach teatru w Białymstoku i w Częstochowie wystawiały teatralne inscenizacje *Zapisków oficera Armii Czerwonej*.

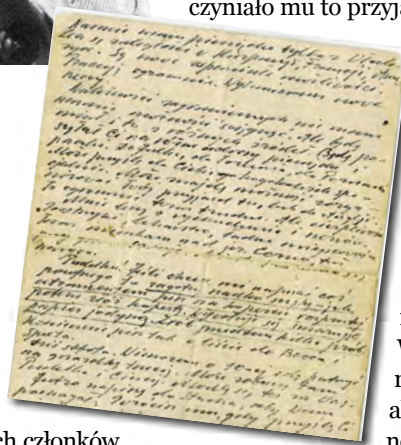
Jednak również na emigracji Piasecki wykazywał swój skrajny indywidualizm, niepokorność i nieuleganie powszechnie przyjętym poglądom. Skłócił się z częścią polskiego środowiska emigracyjnego, które oceniał bardzo sceptycznie. W swoich książkach nie krył również krytycznej oceny społeczeństwa polskiego i wileńskiego środowiska AK okresu okupacji. Nie przychylniało mu to przyjaciół.

Osiadł w Hastings pod Londynem i żył bardzo skromnie pomimo wydawania jego nowych książek (m.in. *Trylogii złodziejskiej*) i wznowień łącznie z tłumaczeniami na 15 języków. Wydawcy używali różnych wybiegów, aby pozbawić go honorariów autorskich.

Na jego nastroje i pogrążanie się w samotnictwie miały też wpływ nieskuteczne próby ściągnięcia na Zachód żony i syna. Pogarszał się też jego stan zdrowia: odczuwał się problemy będące następstwem intensywnego i stresogennego życia, odbił się okres 12 lat spędzonych w więzieniach, wystąpiły problemy z płucami będące efektem namiętnego palenia papierosów. W ostatnim okresie życia zdiagnozowano u niego raka.

Piasecki zmarł w Anglii w wieku 63 lat. W pogrzebie uczestniczyło jedynie kilka osób. Na grobie Piaseckiego w Hastings umieszczono wizerunek gwiazdozbioru Wielkiej Niedźwiedzicy. Wszak to on był „kochankiem Wielkiej Niedźwiedzicy”.

WOJCIECH GOLJAT ■



Grób Sergiusza Piaseckiego na Cmentarzu w Hastings
FOT. © ANDRZEJ ADAMKOWICZ

Tu są Niemcy Część 3

Domy HICOD – Siedlug
w Bonn-Tannenbusch FOT. CC BY-SA 3.0

■ AGNIESZKA KARAS



Listopad w Bonn jest wilgotny i zimny. Bogusia wkłada podniszczoną, ale jeszcze ciepłą i nieprzemakalną kurtkę Arnolda do plecaka. Wybiera się do Alii, koleżanki mieszkającej kilka bloków dalej. W bloku Alii zakwaterowano dwudziestu uchodźców z Syrii. Może przyda im się kurtka.

Alija mieszka w dzielnicy wybudowanej w latach powojennych przez architekta Franza Josepha Rufa. Mówi się o tej dzielnicy „SepRufSiedlung”, Sep jest skrótem imienia Joseph. Dzielnice zbudowano z myślą o pracownikach instytucji działających w latach 1949-1955 przy Amerykańskim Wysokim Komisarzu (High Commissioner of Germany) i Alianckiej Wysokiej Komisji, które jako przedstawiciele mocarstw zwycięskich, zarządzały Niemcami Zachodnimi po drugiej wojnie światowej. Na zaprojektowane przez Sepsa Rufa, anglojęzyczne dzielnice amerykańskie Bonn, mówi się też „dzielnice HICOG” od skrótu nazwy Wysokiego Komisarza. Dzielnice takich jest w Bonn kilka. Wszystkie są do siebie podobne, sprawiają wrażenie lekkości, mimo, że w centrum każdej dzielnicy dwupiętrowych bloków ze spadzistym dachem, stoi wieżowiec.

Lokatorzy w zaprojektowanych przez Sepsa Rufa osiedlach mają wspaniałą widok: z okien mieszkań widzą stare drzewa i rozległe trawniki, poprzecinane wąskimi alejkami, po których można spacerować, jak po parku. Niskie blocki ze spadzistymi dachami mają w tej dzielnicy bardzo duże okna, jakby część ścian była przeszklona. Jest to przeciwieństwem małych okien, jakie instalowano do lat osiemdziesiątych

XX wieku w blokach dzielnic komunalnych w Niemczech, aby móc je ogrzać jak najmniejszym nakładem energii. Mieszkając na parterze małego bloczku w dzielnicy HICOG, można przeszklonymi drzwiami wyjść na ogromny trawnik osiedla, i mieć wrażenie, że ma się własny ogród. Dziś już tak się w Niemczech nie buduje, na polacie gruntu w „poamerykańskiej” dzielnicy poasiłby się niejeden inwestor, ale poamerykańską dzielnicę wpisano do rejestru zabytków, więc nie wolno dobudowywać tu żadnych obiektów mieszkalnych.

Wysoki budynek, w którym mieszka Alija, ma na każdym piętrze, otwarty z jednej strony korytarz, jakby zadaszony balkon, którym dochodzi się do poszczególnych mieszkań.

Przy drzwiach jednego z mieszkań na parterze wisi tabliczka z wydrukowanym wierszykiem:

*Niczego nie kupimy
Niczego nie ofiarujemy
Religii nie zmienimy
Ubezpieczenia zawarliśmy
Rachunki popłaciliśmy
Więc proszę nie dzwonić.*

Taką inskrypcją witają lokatorzy o niemieckim nazwisku przybysza. Oj, jak się będzie mieszkając w tym bloku uchodźcom? – zastanawia się Bogusia.

Nieco dalej za drzwiami z wierszykiem jest tabliczka z arabskim nazwiskiem. Tu mieszka koleżanka Bogusi.

– Nie zdejmuj butów – mówi do Bogusi Alija, stając w progu. Piękne, kręcone włosy kasztanowego koloru związała w koński ogon. Zawsze ma taką praktyczną fryzurę. Nie nosi chustki na głowie, ani w domu, ani na ulicy – chociaż jest muzułmanką. Twierdzi, że ma Boga w sercu i to powinno wystarczyć.

– Zobacz, jak tu teraz wygląda – śmieje się Alija do Bogusi – jak w magazynie.

Bogusia robi duży krok nad niebieską torbą IKEI, w której leżą ścierki do naczyń i wypucowane garnki. Alija sortuje ciepłe ubrania w torbie.

– Kurtkę już chyba będzie dosyć – mówi – dobrze, że sąsiedzi podarowali uprane rzeczy, bo przy takiej pogodzie nic nie schnie. Ty jeszcze nie znasz najlepszej wiadomości, sąsiadka z góry podarowała uchodźcom pralkę! Będą sobie mogli sami ciuchy prać! – cieszy się Alija, po czym idzie do kuchni zaparzyć herbatę. Uchodźców zakwaterowano na górnych piętrach bloku. Każda z dwu rodzin dostała po jednym pokoju w mieszkaniu. Samotni mężczyźni w czwórce dzielą ze sobą pokój. Każdemu z uchodźców przydzielono łóżko z materacem i kołdrą oraz metalową szafkę na rzeczy, jakie uratowały się z przeprawy przez Morze Śródziemne. Tak naprawdę „starzy” mieszkańcy bloku poznali się dopiero wtedy, kiedy po zakwaterowaniu uchodźców, na korytarz piątego piętra chlusnęła woda. Wszyscy wybiegli z mieszkań.

– Co się dzieje?

Okazało się, że w jednym z mieszkań był zapchany odpływ. Lokal przez dziesięć lat stał pusty. Gdy zmęczeni wielodniową tułaczką nowi lokatorzy napaścili wody do wanny, woda zaczęła zalewać mieszkanie. Wycierając podłogę, sąsiedzi wszczęli ze sobą rozmowę.

– Czego potrzebują nowi lokatorzy? Jak im pomóc? Pytania tłumaczyła Alija, pochodząca z Syrii lokatorka, znająca niemiecki i arabski.

– Uchodźcom potrzebna jest pościel, poduszki, koce, talerze, garnki i ciepłe ubrania – tłumaczyła Alija między wyżywaniem szmat.

Bogusia nawet dziesięciu minut nie może spokojnie z Aliją porozmawiać, bo co chwila ktoś dzwoni. Dzwonią sąsiedzi z bloku i z dzielnicy, meldując, że mają do oddania

lodówkę i kanapę w kwiatowy deseń, które nie chciały przyjąć ich dorosłe dzieci.

Dzwonek do drzwi. Niemiecki sąsiad z domku obok, ojciec pięciorga dzieci, przyniósł krzesła od emerytki z sąsiedztwa.

– Nasi ruszyli się, przestali się kręcić wokół własnej osi – powiada do Bogusi, wstawiając krzesła do zastawionego torbami przedpokoju. – To im dobrze robi, szczególnie starszym ludziom. Mają wreszcie jakieś zadanie – mówi, i wraca do samochodu, bo chce jeszcze zawieźć ubranka dziecięce do kwatery uchodźców.

– Czy ja jestem centralą pomocy? – śmieje się Alija, biegnąc znowu do telefonu – przecież muszę też mieć czas dla własnych dzieci, pomóc im w lekcjach, muszę znaleźć czas dla męża, muszę wyspana iść do pracy, muszę, muszę... – Utyskuje, ale widać, że cieszy się, bo może pomóc ludziom z ojczyzny.

Ile pieniędzy zapłacili uchodźcy przemytnikom za przeprawę przez Morze Śródziemne, tego Alija nie wie. Uchodźcy niczego nie chcą opowiadać. Ale w mieście mówi się o czterech tysiącach euro za osobę. Takich pieniędzy nikt nie podejmuje sobie tak po prostu z konta. Takie pieniądze mogą pochodzić ze sprzedaży całego dobytku w targanej wojną ojczyźnie.

– Spytałam jedną z kobiet, dlaczego nie nosi chustki na głowie – opowiada Alija. – Jest pani chrześcijanką? Kobieta zaczęła się usprawiedliwiać: wszystko w porządku, jestem Syryjką, jestem muzułmanką, tylko czasami chodzę w domu bez chustki. Alija wzdycha. – Ludzie myślą, że mam coś przeciwko nim, bo pytam o nakrycie głowy. Religia to dla Syryjczyków ważny temat.

Dzwonek do drzwi: Niemiecka sąsiadka od pralki. W rękę trzyma kartkę z notatkami.

– Dzwoniłam do urzędu – mówi – oni na razie nie dostaną klucza od piwnicy. Może to i lepiej, bo ten z drugiego piętra przestraszył Hoffmannową, jak łąził po dolnych korytarzach bloku. Hoffmanowa ani „be” ani „me” po angielsku, tamten coś dukał i pokazywał na szafki. Może oni myślą, że wszystko, co stoi w piwnicy,

można sobie wziąć? – Sąsiadka zniża głos i przenikliwie patrzy Alii w oczy.

– Musisz im wyjaśnić, że tak nie jest. Kluczyki od skrzynki pocztowej dostaną. I dobrze, bo ten z trzeciego piętra czeka na wiadomość od żony. Łada dzień urodzi mu się dziecko.

Dzwonek do drzwi: turecki sąsiad.

– *Salam alejchem!*

– *Alejchem salam* – odpowiada Alija. Sąsiad wciska Alii stueuroowy banknot.

– Co to ma znaczyć? – nie rozumie Alija.

– Niech im pani kupi ciepłych skarpet! Zimno jest!

– Oddać panu część pieniędzy? Oni dostali zapomogę! Dorosłemu mieszkańcowi centrum dla uchodźców lub lokalu zbiorczego, wynajmowanego przez Urząd Miasta, przyznaje się 143 euro kieszonkowego miesięcznie. Małżonkowie otrzymują po 129 euro na osobę, dzieci około 90.

– Nic nie oddawać. Niech oni się za mnie pomodlą. *Salam alejchem.*

– Daj te pieniądze. Ja pójdę – mówi niemiecka sąsiadka od pralki. – Ty czekaj na telefon z urzędu miasta. Może się odezwą w sprawie czeków na wizyty u lekarza. Jakie skarpety im kupić? Chyba frotté w ciemnych kolorach, co? Gdzie będzie najtaniej?

– W afrykańskim markecie – informuje Bogusia.

Pół godziny później Alija rozdziela skarpety na dwu piętrach bloku. A potem zamartwia się, czy rozdzieliła sprawiedliwie.

– Nie wszyscy uchodźcy w naszym bloku są z Syrii. Jeden chłopak jest z Maroka – opowiada Alija. – Skąd on się wziął między naszymi? – docieka. – Nasi patrzą na niego kosym okiem. Niemieccy sąsiedzi też. Sąsiadka od pralki powiedziała, że zadzwoni do urzędu i poprosi, żeby do naszego bloku dawali tylko uchodźców z Syrii i Iraku, bo jak się zacznie robić multikulti, to będzie tak, jak po drugiej stronie ulicy.

W bloku po drugiej stronie zakwaterowano w jednym mieszkaniu uchodźców z różnych kontynentów, wyznawców różnych religii. Po kilku dniach ojciec jednej z syryjskich rodzin przyszedł do Aliji.

– Proszę zobaczyć, dostałem wysypki na skórze. To pewnie od brudu współlokatorki.

Rodzina Syryjczyka dzieli kuchnię i łazienkę z matką dwuletniego dziecka. Kobieta nie mówi ani po arabsku, ani po angielsku. Przez cały czas siedzi z dzieckiem w pokoju, brudne pieluchy dwulatka rozkłada w kuchni albo wyrzuca przez okno bloku. Ojciec rodziny z Syrii prosi, by Alija zadzwoniła w tej sprawie do urzędników. Alija dzwoni. Urzędniczka mówi, że wie o problemach z matką dwuletniego chłopca. Podobno matka chłopca przeżyła coś strasznego. I, albo przydzieli jej opiekunkę, która będzie kobietę odwiedzać i pouczać, jak zachowywać się w lokalu zbiorczym na zachodzie Europy, albo zabiorą dziecko tej kobiety do przytułku. Więc Alija zamartwia się, że zadzwoniła do urzędniczki. Przecież to strasne, jeśli zabiorą tej kobiecie dziecko. Zamartwia się ojciec rodziny z Syrii. Po co skarżył na tę kobietę? Już lepiej było przecierpieć z tą wysypką na rękach i nic nie mówić. Jakie przeżycia ma za sobą czarnoskóra kobieta, że boi się wyjść z dzieckiem na ulicę? Ci ludzie, o których przeszłości dowiadujemy się z półsłówek w dzielnicy migrantów, nie szukali wygody w Europie – oni ratowali życie, swoje i najbliższych.

Dwaj mężczyźni siedzą na ławce w parku. Wpatrują się w ekran telefonu, a potem szybko coś piszą. Telefon to ich jedyny kontakt z rodziną, która została w Syrii albo Iraku. Przez pierwsze miesiące po złożeniu wniosku o azyl uchodźcom nie wolno pracować. Jeżeli nie mają tyle szczęścia, co uchodźcy z bloku Aliji i mieszkają w obozie przejściowym, nie mają nawet możliwości, by gotować sobie posiłki. Siedzą beczynnie, rozmyślają, piszą esemesy do rodziny. Czasem wyjdą pograć w piłkę. Cieszą się, jeśli dostaną miejsce na kursie języka niemieckiego.

Przed jednym z bloków, w których zakwaterowano uchodźców, spaceruje wysoki, chudy Afrykańczyk. Bogusia w ostatnich dniach regularnie go widuje. Mężczyzna ma czarną skórę, a na szyi szramę, jakby po niedawno doznanym oparzeniu. Może jest z Erytrei, gdzie służba wojskowa równa się dożywociu? Nosi na barana małego chłopca. Chłopiec może mieć ze dwa lata. Wygląda na szczęśliwego, kiedy tak siedzi na ramionach tego wysokiego mężczyzny i z góry ogląda ulicę. Czy ten człowiek wychodzi na spacer z dzieckiem kobiety, która boi się wyjść z domu? Na trawniku pod blokiem nie widać żadnych pieluch. Kilku wyrostków z ciemnymi włosami biega za piłką.



FOT. © RASPB-BOERGERINITIATIVE DE

Ciąg dalszy na s. 42 ►

► Ciąg dalszy ze s. 41

– Grają w nogę – mówi Aliji sąsiadka od pralki, stojąc przed wejściem do bloku.

– W kłapkach grają? – pyta mąż sąsiadki, który stoi obok, ale nie dowidzi.

– Nie, mają buty – relacjonuje sąsiadka.

– Sąsiadka z góry dała wszystkim buty – mówi Alija.

– No, na nas już pora – żegnają się niemieccy sąsiedzi. – Trzeba iść spać. Jutro znowu do pracy.

Jest dziewiąta wieczorem. W Syrii zaczyna się wieczór.

– Alija, jeszcze jedno! – Niemiecka sąsiadka okręca się na pięcie. – Powiedz waszym, żeby grali w piłkę z drugiej strony trawnika, bo im piłka znowu wpadnie do czyjegoś ogródka. A do ogródków nie wolno bez pytania wchodzić! – Sąsiadka zniża głos. – Majer się skarżył, że obierki po kartoflach były w niebieskim kontenerze na makulaturę. Na obierki jest kontener zielony! Dobranoc.

– Nikt nie rodzi się z umiejętnością segregowania odpadów – mruczy pod nosem Alija. – Nasi się tego nauczą, ale jeszcze nie dziś. Chodź na herbatę – zaprasza Bogusią.

Staruszka w chustce zakrywającej włosy stoi na skrzyżowaniu ulic w pobliżu meczetu. Rozgląda się. Pewnie chce przejść przez ulicę. Gorszego miejsca nie mogła sobie znaleźć. Rozpędzone samochody śmigają jej przed nosem. Bogusia bierze kobietę za rękaw i delikatnie ciągnie w stronę przejścia dla pieszych. Kobieta daje się prowadzić okrężną drogą. Scenę obserwuje muzułmanin w kaftanie. Podchodzi, oferując dalszą pomoc.

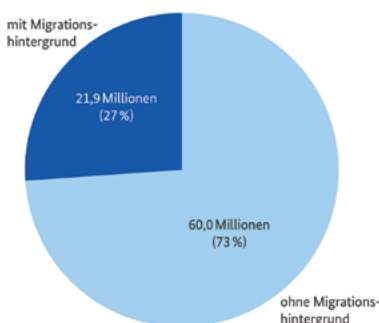
– *Turc?* – pyta mężczyzna kobietę w chusteczce.

– *Maroc!* – odpowiada staruszka, pokazując w uśmiechu zdrowe, białe zęby.

Bogusia z Antkiem wracają z zakupów, Bogusia rowerem, Antek – hulajnogą. Bogusia dźwiga plecak z zakupami, koszyk na ramie roweru też ma wypełniony siatkami. Antek wiezie jedną główkę sałaty w reklamówce zawieszanej na kierownicy hulajnogi. Nie bardzo jest z tego powodu zadowolony, bo mu dyndająca sałata przeszkadza. Po drugiej stronie ulicy idzie rodzina uchodźców. Matka wiezie dziecko w wózku spacerówce, obok idzie chłopiec, może być w wieku Antka. Z błyszczącymi oczami przypatruje się sztuczkom, jakie Antek wykonuje na hulajnodze. Antek też przygląda się chłopcu. Chłopiec dźwiga dwie siatki pełne zakupów. Wygląda na dumnego i szczęśliwego. Może jest dumny i szczęśliwy, że ma matkę, że przeżył przeprawę przez morze, że przeżył przeprawę jego młodszy brat, że nie boi się wyjść na zakupy w obcym mieście, że jego rodzina ma co jeść i ma dokąd zanieść za-

Bevölkerung mit Migrationshintergrund, 2020

Bevölkerung nach Migrationsstatus



Datenquelle: Statistisches Bundesamt
Bildlizenz: CC BY-ND 4.0 (Bundesinstitut für Bevölkerungsforschung 2021)

Häufigste Geburtsländer von Personen mit Migrationshintergrund oder ihrer Eltern



BUND – LÄNDER
DEMOGRAPHIE
PORTAL

□ W 2020 r. w Niemczech mieszkało prawie 22 mln imigrantów. Około połowa z nich posiada niemieckie obywatelstwo. Najważniejszymi krajami pochodzenia są Turcja, Polska, Rosja i Kazachstan. Populacja imigrantów wzrosła z 15,3 do 21,9 mln w latach 2005-2020. Obecnie więcej niż jeden na czterech mieszkańców Niemiec ma pochodzenie imigranckie.

kupy, do pokoju wynajmowanego w jednym z dwu mieszkań w bloku „amerykańskiej dzielnicy”? Antek na hulajnodze i chłopiec w za dużych ubraniach z ciekawością się sobie przypatrują.

Po wypowiedzeniu Polskiej Misji Katolickiej umowy o korzystaniu z kościoła i sali w centrum Bonn, lekcje języka polskiego odbywają się w międzykulturowym centrum spotkań.

– Co trzeba robić, żeby przeżyć na pustyni? – zwraca się Bogusia do uczniów piątej klasy.

– Żeby przeżyć na pustyni trzeba pić, jeść i spać – referuje Samuel.

– Dlaczego na pustyni rośnie dużo kaktusów?

– Bo ptakom trudno jest wbić się dziobem w miąższ i pić sok z rośliny. Dlatego kaktusy mogą, przetrwać w warunkach pustynnych. – Pada odpowiedź.

Dzieci polonijne muszą mieć fascynujące tematy lekcji, inaczej przestają przychodzić na zajęcia. Z Sahary prowadzi Bogusia uczniów na Grenlandię. Z Grenlandii do Białowieży.

– W Białowieży jest dużo wilków, żubrów i lasów. Koncentracja dzieci utrzymuje się tylko przy rysowaniu różnych postaw ciała wilka. Przy słuchaniu opowieści o wilku, którego leśniczy z Hajnówki wyprowadza na spacer na stalowej linie, papierowy samolot co i raz przelatuje nad klasą. Dzieci narzekają, że lekcja za długo trwa.

– Zobaczcie, ile czasu uczą się dzieci chińskie! – Bogusia wskazuje na plan lekcji na drzwiach klasy.

– Język chiński jako ojczysty: 120 minut. Chińczycy mają jeszcze dłuższe lekcje niż my – z zadowoleniem stwierdza Antek. – Język hiszpański jako ojczysty: 90 minut, portugalski: 90 minut, rosyjski: 90 minut, koreański: 90 minut.

– To tak, jak my – kwituje Mariusz, i dyskusja skończona.

Dzieci polonijne z zainteresowaniem patrzą na tablicę z rosyjskim alfabetem:

– Czyli są języki jeszcze trudniejsze od polskiego – stwierdza Karol.

Cudownie jest prowadzić dziecko na zajęcia do międzykulturowego centrum spotkań. Tu dzieci dwujęzyczne czują, że nie są jedyne na świecie, widzą, że również inni przychodzą po szkole na zajęcia z języka ojczystego. Miły jest dyrektor centrum, Niemiec o całkiem siwych włosach i spokojnym głosie. Miła jest jego zastępczyni, która od ręki i bezpłatnie wynajęła Bogusi salkę na naukę polskiego. Centrum spotkań podlega pod Urząd Miasta Bonn i jest instytucją laicką. W regulaminie korzystania z pomieszczeń zaznacza się, że nie wolno prowadzić w międzykulturowym centrum działalności religijnej i politycznej. Kiedy Bogusi nie udaje się zapanować nad klasą, proponuje jednak wspólną modlitwę. Jedno *Ojcze Nasz* międzykulturowemu centrum nie zaszkodzi, zresztą i tak nikt z personelu nie zrozumie, co mówią dzieci za drzwiami klasy. Modlą się półgłosem.

– Była u ciebie zastępczyni szefa? – pyta kurdyjski dozorca podczas wieczornego obchodu budynku.

– A niby dlaczego miałyby u mnie być? – pyta Bogusia.

– Chciała cię poznać – mówi dozorca. – Zastępczyni szefa też pochodzi z Polski – uśmiecha się, władający pięcioma językami, dozorca.

– Czyli rozumiała *Ojcze Nasz* – myśli trochę speszona Bogusia, po czym pospiesznie dyktuje uczniom: w Białowieży jest dużo lasów, wilków, lisów.

Co i raz papierowy samolot przelatuje nad jej głową.

– My się jednak musimy pomodlić, inaczej nic z tej lekcji nie wyjdzie – zwraca się Bogusia do klasy. – O co się pomodlimy?

– Żeby ta lekcja nie była nudna – odpowiada Janek. Koniec lekcji.

Bogusia z Antkiem biegną w stronę dworca głównego. Dużo ludzi jest tego wieczora w mieście. Na zachodzie Niemiec wszędzie jest dużo ludzi. W piątki wieczorem człowiek niemal ociera się o człowieka w centrum Bonn. Helikopter krąży wysoko nad ich głowami. Bogusia zadziera głowę: policja. Szukają kogoś?

W Bonn już kolejny rok trwa remont za-
bytkowego dworca. Podróżni podejrzliwie patrzą na barierki broniące dostępu do pierwszego peronu. „Dlaczego od tygodni nikt na budowie nie pracuje? Kiedy ten remont wreszcie się skończy?” – komentują półgłosem podróżni. Zamknięcie jednego z peronów powoduje tym większy ścisk w tym, i tak ludnym miejscu. Kiedy jednocześnie jakiś pociąg przyjeżdża i odjeżdża, trudno się po peronie poruszać. Niektórzy ludzie reagują na ścisk agresywnymi zaczepkami. Tego wieczora pracownik dworca – z wyglądu obcokrajowiec – koordynuje poruszanie się fali ludzkiej.

– Proszę nie podchodzić do krawędzi peronu, proszę poczekać! – woła do przeskakujących się ludzi. Jest postawny, surowy, bije od niego autorytet. Żaden wyrostek nie odważa mu się odpyskować. Bogusia oddycha z ulgą. Mieszkańcy miasta tyle narzekali na ścisk na peronie, aż dyrekcja kolei zdecydowała się oddelegować personel do pilnowania porządku.

Przy schodach peronu dziwny widok. Odwrócony twarzą do ściany stoi młody mężczyzna, właściwie chłopak w czarnych okularach niewidomego. Obok mężczyzny stoi młoda kobieta w chustce na głowie i długiej luźnej sukience – muzułmanka. Trzyma za rękę dziecko. Stoją tak u podnóża schodów. Niewidomy niemal dotyka twarzą ściany dworca. Czy chce wejść na peron? Pewnie mu ta kobieta z dzieckiem pomaga. Na peronie jest tłum ludzi. Zapowiedzi w dworcowych głośnikach są tego wieczora chaotyczne, pociągi opóźnione, wjeżdżają na inne perony niż zwykle.

Niewidomy pojawia się u wejścia na peron numer dwa. Dlaczego? Przecież z peronu numer dwa nie odjedzie w najbliższym czasie żaden pociąg. Bogusia bacznie przygląda się mężczyźnie w ciemnych okularach. Ogarnia ją niejasne poczucie lęku. W piątek, 13 listopada 2015 roku, dokładnie o tej samej porze, czekała po lekcji języka polskiego na pociąg. Trzydzieści minut później dowiedziała się, że w Paryżu islamiści zabili w tym czasie stu trzydziestu ludzi. Dlaczego sytuacja nie miałaby się powtórzyć w Bonn? A Stambuł, Bruksela? Nicea, Berlin, Londyn,

Petersburg, Sztokholm, Manchester, Hamburg, Barcelona, fińskie Turku, Marsylia? To przecież zaledwie część miejsc w Europie, które ucierpiały od zamachów islamistów w ostatnich latach. Czy Bogusia ma podbiec do pracownika koordynującego ruch podróźnych na peronie? Co mu powie? Że chłopak w okularach niewidomego wydaje jej się podejrzany? Ma dzwonić na policję? W tym ścisku, przy dziecku, meldować, że ma niejasne przeczucia? Pomyślała, że zwariowała.

Niewidomego trzyma teraz pod rękę dwu chłopaków w sportowych kurtkach. Stoją przy schodach prowadzących na peron i o czymś rozmawiają. Gdzie się podziałła kobieta z dzieckiem? Czy chłopak w okularach niewidomego naprawdę jest niewidomy? W niczym nie przypomina innych niewidomych, jakich Bogusia widuje w mieście. Niewidomi chodzą ostrożnie, z ciałem lekko odchylonym do tyłu, a ten chłopak porusza się niemal zwinnie. Kto pielegnuje jego brode? Takie brody mają salafici. Czy chłopak w czarnych okularach jest salafitą? Czy stał się salafitą, by zawsze mieć przy sobie „braci”? A może jest islamistą? Ubrany w czarne spodnie od dresu ściągnięte nad kostką gumką. Ciut za krótkie te spodnie, trochę śmieszne, jak u kogoś, kto nie może skontrolować własnego wyglądu. To chyba naprawdę jest niewidomy. W towarzystwie chłopaków w sportowych kurtkach znika w tunelu schodów. Po chwili pojawia się na tym samym peronie, na którym stoją Bogusia z Antkiem. Bogusia chwytą syna za rękę i pędzi na przeciwległy koniec peronu.

– Mamo, dokąd lecisz? – pyta Antek.
– Chodź, szybciej, będzie nam bliżej do wyjścia z dworca, jak już przyjedziemy na stację – pokrętnie belkocze Bogusia. Ciągnie za sobą dziecko na odległość jednego, dwu, trzech wagonów. Czy to wystarczy, by przeżyć, jeśli w pierwszym wagonie za lokomotywą eksploduje bomba? – zastanawia się. – Jak silny może być ładunek, który ma przy sobie islamista samobójca? Biedak, nie mógł nawet sprawdzić, co owinęli mu wokół

pasa, bo jest niewidomy. Wykorzystali jego kalektwo. Bogusia czuje, jak miękną jej nogi.

Przyjeżdża pociąg, wsiadają.

W pociągu, jak zwykle o tej porze, są Niemcy wracający z pracy, migranci wracający z pracy. Muzułmańscy ojcowie coś klarują dorastającym synom, pewnie, że mają poprawić się z matmy. Czarnoskórzy mężczyźni ustępują miejsca matkom z małymi dziećmi. Młodzież jedzie na dyskotekę. Dziewczyny głośno rozmawiają przez telefon, jedna opowiada o zapaleniu jajnika. Prawie wszyscy podróżni mają słuchawki w uszach. Nawet nie usłyszą eksplozji.

Pociąg rusza. Bogusia oblewa się potem. Jadą. Nie wybucha żadna bomba.

– Obwiniłam niewinnego człowieka, kalekę – wyrzuca sobie w drodze do domu.

Na korytarzu bloku w dzielnicy migrantów pachnie baraniną. Jest piątek. Muzułmanie spotykają się na wspólnej modlitwie.

*

Wstaje nowy dzień. Nowy dzień w dzielnicy migrantów. Jest niedziela. Bogusia z Arnoldem i Antkiem wychodzą na spacer. W drzwiach bloku spotykają libijską sąsiadkę. Kobieta ciągnie walizę na kółkach.

– Jak było u rodziny w Libii? – pyta Arnold.

– Prawie nie wychodziliśmy z domu. Dużo strzelają – mówi sąsiadka, i kiwa na czterolatka hasającego po trawniku przed blokiem.

– Chodź do domu!

Nad Renem, jak zwykle, spotyka się całe miasto. Spacerowicze z psami, rowerzyści w hełmach, rolkowicze odpychający się kijami podobnymi do narciarskich, dzieci jadące pod prąd, wędkarze. Wzgórza po obu stronach Renu wyglądają jak narysowane miękką kredką przez malarza, który ćwiczy rysowanie łuków. Miękkim łukiem narysowana jest dolina rzeki. Miękkim łukiem narysowanych jest siedem wzgórz po wschodniej stronie Renu. Piękno tego krajobrazu, łagodnych, wiecznie zielonych wzgórz, napawa nostalgią i uzmysławia kruchość życia. Ta kruchość życia odczuwana jest dziś wyraźniej, niż kilka lat temu.

AGNIESZKA KARAS ■



FOT. © ASTRA8064

■ Wśród laureatów Nagrody Nobla największy odsetek stanowią twórcy narodowości żydowskiej. Niektórzy komentatorzy widzą w tym spisek, wielką politykę lub rekomendację możnych tego świata. Inni przekonują, że tak naprawdę promuje się po prostu talent i osiągnięcia. Z drugiej strony jednak dokonany wybór wcale nie oznacza, że twórcy pominięci lub tylko nominowani do tej Nagrody są pod jakimś względem gorsi. Jeżeli nawet wśród ekspertów mają opinię lepszych, ale niedocenionych, to i tak sława, a przede wszystkim pieniądze, z natury rzeczy należą się wybrańcom...



Nobel dla pokrzepienia serc

FOT. © ALEXANDER MAHMOUD

■ MIROSŁAW PRANDOTA



Bylem w Stockholm Concert Hall na ceremonii nagradzania wybitnych ludzi roku 1980. Drugi raz bym nie poszedł, bo nudno tam, ale ten jeden raz wypadało zaliczyć tym bardziej, że nie każdemu udawało się zdobyć zaproszenie. Impreza należał bowiem do stałego repertuaru szwedzkich uroczystości narodowych najwyższej rangi.

Z fotela oznaczonego numerem 213, bo taki przypadł mi numer na zaproszeniu (*notabene* zaproszenie zostało wydane na nazwisko redaktora naczelnego magazynu dla myśliwych, a ja otrzymałem je w prezencie), oglądałem laureatów, rodzinę królewską i publiczność przybraną w smutny czarny kolor. Obowiązywał ciemny garnitur albo czarny frak. Na mającym się wkrótce odbyć bankiecie – już tylko frak.

Zaczął się od próby, którą można było obserwować przed południem. Dziesiątka szacownych laureatów, w tym Czesław Miłosz, ćwiczyła dostojny krok pod surowym okiem mistrza ceremonii. Było sympatycznie i zabawnie. Gotów jestem nawet powiedzieć, że ta akurat część ceremonii, niedostępna oczom królewskim, wypadła najlepiej. Laureaci zachowywali się naturalnie, osoby towarzyszące również, a gdy któryś potknął się w trakcie rytualnego *passodoble* (niedosłownie!), wszyscy śmiali się i klepali wzajemnie po plecach.

O godzinie szesnastej trzydzieści już nikomu nie było do śmiechu. Orkiestra odegrała hymn szwedzki, za chwilę wszedł na salę król Karol XVI Gustaw. Niestety,

bez pięknej małżonki, na skutek czego uroczystość od razu straciła wiele ze swojego dyskusyjnego zresztą uroku. I nie tylko w moich oczach. Zauważyłem, że wszyscy nagle posmutnieli. Dopiero po kilkunastu minutach rozeszła się wieść, że królowa Sylwia zaniemogła. Grypa wyeliminowała ją z udziału w uroczystościach.

W tej sytuacji zacząłem rozglądać się za znajomymi z Warszawy. Bez powodzenia. W Polsce był to czas wielkich przygotowań do świąt Bożego Narodzenia. Trzeba było zawczasu pomyśleć o tym, jak urządzić Wigilię, gdy na półkach sklepowych widać było przede wszystkim ocet i śledzia w puszcze. Znajomi tkwili więc w kolejkach po wymarzoną szynkę, podczas gdy ja przybierałem na wadze w kraju pełnym wszelkiego jadła. Wróćmy do rzeczy!

Królowi towarzyszył książę Bertil, czyli po prostu wujek, oraz księżniczka Liliana, po prostu ciotka. Orkiestra zaczęła grać utwór pod nazwą *Trąbka ochotników*. Taki sobie. Byłoby fajniej, gdyby wystąpiła ABBA, która od kilku lat miała opinię najpopularniejszego zespołu wokalnego świata. Niestety, organizatorzy mieli inne upodobania.

W tym czasie na scenę weszło dziesięciu laureatów, bo przecież nagrodę otrzymują chemicy, fizycy, medycy, jeden ekonomista i jeden nasz, a raczej pół-nasz, pół-Amerykanin, Czesław Miłosz.

Wyglądało na to, że Miłosz cieszył się tam największą popularnością wśród dziennikarzy, bo ciągle zamęczali go wywiadami. Podczas takich spektakli wyjawiał publicznie, jaki to akt uznania przypadł mu w udziale ze strony władz Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, gdzie prowadził wykłady dla studentów. Otóż wspomniane władze, doceniając powagę chwili z racji przyznania Nagrody Nobla, wyposażyły go w pozwolenie na parkowanie samochodu w wyznaczonym tylko dla niego miejscu. Niebo w gębie! Amerykańskie na dodatek, zalane betonem.

A tymczasem na sali zaczęło się coś dziać. Powitalną mowę wygłosił fizyk szwedzki, profesor Goesta Eksping. Mówił po szwedzku, a dopiero na koniec wygłosił kilka zdań po angielsku i wtedy podnieśli się z miejsc (jak było wyuczone podczas próby przedpołudniowej) dwaj fizycy laureaci, Cronin i Fitch. Gdy obydwaj stali, Eksping wygłosił gratulacje, a nawet przy



FOT. © NOBELPRIZE.ORG

tym lekko się uśmiechnął. Złożyłem ręce do oklasków, ale w porę przyhamowałem. Dopiero bym się zbłąźnił! W tym momencie oklaski są zabronione. Nikt nie bije brawa, taki tu zwyczaj. Klaszcze się dopiero wtedy, gdy zabierze głos laureat.

Z kolei wstaje z krzesła król i wręcza po kolei medale, dyplomy i asygnaty. Król jest jeszcze bardziej poważny niż profesor Ekspung. Podaje rękę, laureat ściska ją i okazuje się, że to już jest dobry moment do klaskania. Wszyscy klaszczą.

Gdy nadeszła kolej na Miłosza, jego wystąpienie poprzedził sekretarz Akademii Szwedzkiej, Lars Gyllensten, używając sformułowania, że „język polski to niewielki język niedużego narodu”. Podczas ceremonii nie obowiązywały jeszcze fraki, ale mimo wszystko chyba większość mężczyzn już miała je na sobie ze względów praktycznych. Sam bym od razu założył frak, gdybym go miał, bo niby gdzie miałbym się przebierać, gdyby trzeba było iść już na bankiet? W toalecie?

Na bankiet nie poszedłem z kilku względów. Po pierwsze, jak już napisałem, brakowało mi fraka. Po drugie, nigdy czegoś takiego na grzbiecie nie miałem. Po trzecie, gdybym nawet miał, to musiałbym stanąć przed lustrem, aby zobaczyć, jak wyglądam. Po czwarte, gdybym się obejrzał, zapłakałbym się na śmierć ze śmiechu i zamiast na bankiet, wdepnąłbym do prosektorium. We fraku!

Ostatnim nagrodzonym był profesor Klein. Gdy tylko powrócił na swoje miejsce, orkiestra zagrała powtórkę z hymnu szwedzkiego, a król i jego rodzina z powagą opuścili salę.

No cóż? Część bankietową obejrzałem już w telewizorze. Czesław Miłosz zaczął swoje przemówienie od słów: „*I am a part of the Polish literature...*”. W tym czasie ceremonia była transmitowana od A do Z na żywo i nie znalazło się w programie miejsce na cokolwiek innego.

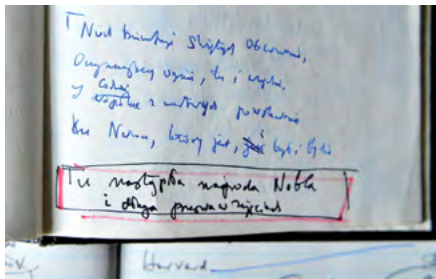
Tak naprawdę to wielka pompa z okazji przyznania wielkiej międzynarodowej nagrody wywarła na mnie wrażenie, można powiedzieć, nieszczerzłe. Jak na mój gust, powinna być radosna, spontaniczna, żywiołowa, pełna uśmiechu i serdeczności, a trąciła stypą.

Siedziałem później przed telewizorem w gronie ziewającej rodziny szwedzkiej. Na ekranie panował nastrój prawie zaduszkowy, najczęściej eksponowano występy chóru akademickiego, również zaduszkowego. Piliśmy piwo. W pewnym momencie zwróciłem się do gospodarza domu dość niemądrze:

– Bertil, chciałbyś otrzymać taką nagrodę, co?

– Tak – odpowiedział Bertil – ale wolalbym, żeby mi ją przysłali pocztą.

❖ Ciąg dalszy na s. 46



❑ **Czesław Miłosz**, poeta, laureat literackiej Nagrody Nobla z 1980 roku. Wybrane materiały z amerykańskiego archiwum Czesław Miłosz złożył w Beinecke Library w Yale, reszta – wraz z archiwum zgromadzonym w mieszkaniu w Krakowie przy ulicy Bogusławskiego – od 2012 roku znajduje się w Bibliotece Narodowej. W jej zbiorach znajduje się ponad sto notatników pisarza z lat 1974-2003, rękopisy utworów poetyckich i esejów, listy od pisarzy, literaturoznawców, wydawców, liczący około 10 tys. księgozbiór, a także dokumenty osobiste, wizytówki, identyfikatory, Medal Noblowski. Ponadto pamiętki od czytelników i uczniów, takie jak krawaty podarowane pocie przez studentów uniwersytetu w Berkeley po przyznaniu mu Nagrody Nobla, czy przedmioty codziennego użytku, jak lupa którą posługiwał się pod koniec życia. Uwagę zwracają także wydruki komputerowe wierszy, składane coraz większą czcionką, gdy poeta cierpiał z powodu pogarszającego się wzroku.

► Ciąg dalszy ze s. 45

Alfred Nobel przyszedł na świat 21 października 1833 roku, akurat w dniu, kiedy jego ojciec Immanuel, właściciel firmy architektonicznej, zbankrutował. W trzy lata później Immanuel Nobel wyjechał do Petersburga, gdzie zdomował się jako wynalazca min lądowych i morskich, a w roku 1846 już cała rodzina Noblów zamieszkała w Petersburgu.

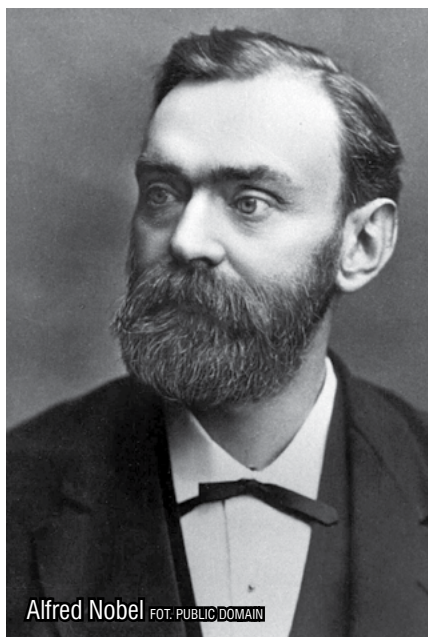
O zdolnościach Alfreda najlepiej świadczy fakt, że jako student chemii odebrał również znaczące wykształcenie humanistyczne. Doskonale dawał sobie też radę z językami: francuskim, niemieckim, angielskim i rosyjskim. Z czasem firma Nobla zatrudniła w Petersburgu ponad tysiąc pracowników, ale po wojnie krymskiej, przegranej przez Rosję, skończyła się przemysłowa hossa i w roku 1859 rodzina powróciła do Sztokholmu.

Alfred zainteresował się nitrogliceryną, wynalezioną kilkanaście lat przedtem przez Włocha Sobrero i zaczął eksperymentować. Zdarzyło się pierwsze nieszczęście. W wyniku wybuchu nitrogliceryny zginął najmłodszy brat, Emil. Później raz po raz ginęło w otoczeniu Alfreda kilkanaście albo nawet kilkadziesiąt osób do momentu, kiedy przyszły fundator skomponował mieszankę, którą nazwał dynamitem.

Zastosowanie nowego środka wybuchowego miało w zasadzie charakter pokojowy. Przynajmniej na początku. Budowano tunele, kopalnie i wielkie budowle. Dynamit okazał się bardzo potrzebny do tych prac. W końcu jednak nowy środek wybuchowy znalazł swoje zastosowanie tam, gdzie był najpotrzebniejszy – w broni palnej.

Alfred Nobel zgromadził ogromny majątek, a w roku 1895 napisał testament, w myśl którego odsetki z dochodów miały stanowić fundusz nagród dla osób najbardziej zasłużonych dla ludzkości.

Rok 1901 był datą przyznania pierwszych nagród w pięciu dziedzinach: fizyki, chemii, medycyny, literatury i działalności państwowej. Wtedy to majątek wynalazcy opiewał na 33 miliony koron. W czasie, gdy Czesław Miłosz odbierał swoją nagrodę, kapitał wynosił już 260 milionów.



Alfred Nobel FOT. PUBLIC DOMAIN

Pierwszym laureatem w dziedzinie literatury został francuski pisarz Sully Prudhomme. Zanim jednak tę nagrodę otrzymał, długo rozważana była kandydatura twórcy Wojny i pokoju. Lew Tołstoj uprzedził jednak jurorów.

Publicznie oświadczył, że nie życzy sobie żadnych nagród za to, co robi.

ska, zapewne dlatego, by się ludzie nie rozchodzili przed czasem. Sala nabitą, pod gmachem dużo ludzi. Pań i panien całe gromady. Wchodzi rodzina królewska... Zasiadają w fotelach w pierwszym rzędzie, muzyka gra, ludzie się gapią, potem pierwsza konferencja na cześć laureata. Długo, nudno...

Na koniec Wisen mówi długo po szwedzku, a kończy po francusku niesłychanymi pochwałami dla *Trylogii*, *Bez dogmatu*, *Rodziny Połanieckich*, *Quo Vadis?* i *Krzyżaków*. Potem wszyscy wstają, król również. Bierze pudełko z medalem, patent, a ja idę jednocześnie przed jego fotel. Wręcza mi to wszystko, po czym ściska moją prawicę tak długo i tak serdecznie... po czym nakrywa moją rękę swoją drugą i ma tak pocziwy wyraz twarzy, że miło patrzeć.

Rozlegają się brawa, muzyka gra hymn szwedzki. Kłaniam się królowi, po czym mijając, zatrzymuję się i kłaniam powtórnie przed Karolową Gustawową, czego nie zrobił Koch. Było to zauważone i dobrze przyjęte. Koniec. Wszyscy się rozchodzą, idziemy na obiad do Grand Hotelu, gdzie jest wielka sala recepcyjna. Osób ze trzysta...".

Henryk Sienkiewicz otrzymał wtedy 138 tysięcy koron szwedzkich.

W roku 1924 nagrodę dostał Władysław Reymont, którego jednak najpierw docenili... Niemcy, tłumacząc *Chłopów* u siebie, a później Szwedzi, którym książka podobala się najbardziej, bo przecież Szwecja to naród chłopów. Warto wiedzieć, że konkurentami Reymonta w nominowaniu do nagrody byli tacy pisarze, jak:

Norweżka Sigrid Undset (otrzymała nagrodę w cztery lata później, znana jest w Polsce jej powieść *Krystyna, córka Lawransa*), Rosjanin Maksym Gorki, Amerykanin

Thomas Hardy, Niemiec Tomasz Mann, Hiszpan Blasco Ibanez oraz Polak Stefan Żeromski. Zwyciężył autor *Chłopów* zapewne z powodów, o których wspominałem: Jego książka była wspaniałym prezentem dla kraju chłopów.

Reymont nie mógł być na uroczystościach, ponieważ obłożnie chorował i przebywał na leczeniu w Nicei. Reprezentował go polski dyplomata, Alfred Wysocki.

„Okropność – pisał Reymont do Wysockiego – Nagroda Nobla, pieniądze, sława wszechświatowa, a tutaj jest człowiek,



Testament Alfreda Nobla

FOT. CC BY-SA 3.0

Polskie *Quo Vadis?* oraz *Trylogia* i *Krzyżacy* docenione zostały w roku 1905, Henryk Sienkiewicz był więc piątym z kolei odbiorcą Literackiej Nagrody Nobla. Oto co pisał najpopularniejszy polski pisarz ze Sztokholmu w dniu 9 grudnia do swojej żony:

„Wręczenie nagrody literackiej odbywa się na końcu jako ukoronowanie widowi-

który bez zmęczenia wielkiego nie potrafił się nawet rozebrać. To istna ironia życia, urągliwa i prawdziwie szatańska”.

Reymont dostał wtedy 116 tysięcy koron. Ile to było w przeliczeniu na „konkrety”? Dniówka szwedzkiego rzemieślnika wynosiła od 3 do 5 koron.

Wielki pisarz niedługo cieszył się, a jednocześnie wybrzydzał z powodu nagrody. Zmarł w rok później.

Popularna szwedzka autorka książek dla dzieci, Selma Lagerloef, tłumaczona dość obficie również w Polsce została uhonorowana w roku 1909. Jej książka *Cudowna podróż* była kiedyś absolutnym hitem literatury dziecięcej.

W roku 1951 nagrodę otrzymał również pisarz szwedzki, Per Lagerquist, najwybitniejszy przedstawiciel literatury skandynawskiej XX wieku, autor dramatów, powieści i poezji tłumaczonych również w Polsce (książka antyhitlerowska *Karzeł*, powieść autobiograficzna *Gość w rzeczywistości*).

W pięćdziesiątym ósmym wyróżniono Borysa Pasternaka za powieść *Doktor Żywago*. Niestety, sekretarz generalny partii komunistycznej, Nikita Chruszczow, namówił swojego krajana (który tłumaczył na język rosyjski między innymi poematy Juliusza Słowackiego), aby nagrody nie przyjął. Książka została zresztą negatywnie oceniona przez komunistycznych krytyków radzieckich, a w dwa lata później Pasternak zmarł.

Pasternak nie był jedynym kandydatem do nagrody (o Tolstoju wspomniałem wyżej), który odmówił jej przyjęcia. W roku 1964 postąpił tak samo francuski pisarz Jean Paul Sartre. I wcale nie dlatego, że ktokolwiek go do tego namówił, ale z własnej i nieprzymuszonej woli. W ten sposób zaprotestował przeciwko nieprzyznaniu dotychczas nagrody Chilijczykowi Pablo Nerudzie, który mimo wszystko doczekał się swojej kolejki w roku 1971.

W roku 1965 nagrodę przyznano innemu wybitnemu pisarzowi radzieckiemu, Szołochowowi (*Cichy Don*, *Zorany ugór*, *Los człowieka*), wobec którego jednak kierownictwo Komunistycznej Partii Związku Rad nie miało żadnych zastrzeżeń i pozwoliło mu na wyjazd do Sztokholmu oraz na przyjęcie gratyfikacji.

W pięć lat później znowu nagroda trafiła się pisarzowi radzieckiemu i znowu... nie darzonemu sympatią władz. Był nim Borys Solżenicyn, autor opowieści o stalinowskich obozach pracy na Syberii (*Archipelag Gulag*), który również był namawiany do rezygnacji z nagrody, a mimo to nie skorzystał z dobrej rady i został zmuszony do emigracji. Pamiętam swoją wędrówkę po księgarniach Kopenhagi, Malmö i Goeteborga jeszcze w roku 1974.



FOOT NOBELPRIZE.ORG

Wszystkie witryny wypełnione były portretami brodatego Solżenicyna, a jego *Archipelag* zapelniał półki wielkimi stosami. Był to pisarz tak trudny do przekłnięcia dla polityków Układu Warszawskiego, że nawet *Encyklopedia Popularna PWN* z roku 1982 nie zamieściła jego nazwiska, podczas gdy nazwisko Pasternaka jak najbardziej.

W siedemdziesiątym ósmym znowu zdobył uznanie „nasz człowiek” rodem z Radzimina, niestety, wtedy akurat obywatel amerykański, Izaak Singer, twórca opowiadań i powieści opartych głównie na folklorze i tradycji Żydów polskich. Ze Starego Kraju do Ameryki wyemigrował on w roku 1935 jako 34-letni obywatel Rzeczypospolitej.

W 1980 roku nagroda dostała się Czesławowi Miłoszowi, w 1996 – Wisławie Szymborskiej, a w 2019 (za rok 2018) – Oldze Tokarczuk.

Pierwszym laureatem w dziedzinie fizyki był Niemiec o znanym i pamiętanym do dziś nazwisku – Wilhelm Roentgen, urodzony w roku 1845, profesor uniwersytetów w Strasburgu i Monachium, odkrywca promieni X, konstruktor aparatu do prześwietlania.

W dwa lata później nagrodę otrzymała Maria Skłodowska-Curie, profesorka Sorbony, współtwórczyni nauki o promieniotwórczości. Nasza rodaczka odniosła zresztą sukces wyjątkowy, bo w roku 1911 przypadła jej w udziale nagroda po raz drugi za pionierskie prace z chemii jądrowej.

W medycynie gwiazdą roku 1901 został niemiecki uczony Emil von Behring, profesor bakteriologii, który odkrył surowicę przeciw dyfterytowi i przeciw tężcowi.

Fizjolog rosyjski Iwan Pawłow, twórca teorii wyższych czynności nerwowych, autor pojęcia odruchów warunkowych, został noblistą w roku 1904.

W roku następnym odznaczono znowu niemieckiego uczonego, Roberta Kocha, profesora uniwersytetu w Berlinie, odkrywcę prątki gruźlicy, przecinkowca cholery i laseczki wąglika. To o nim pisał Sienkiewicz do żony, zwracając uwagę na fakt, że Niemiec nie skłonił się przed królową szwedzką.

Największy rewolucjonista w dziejach nauk medycznych, bakteriolog Alexander Fleming, został odznaczony w roku 1945 za odkrycie penicyliny. Jest to jeden z niewielu przypadków w historii Nagrody Nobla, kiedy dostojne jury zareagowało z tak ogromnym opóźnieniem na dokonanie epokowego przełomu w metodach leczenia. Angielski uczony odkrył przecież bakteriostatyczne działanie pleśni pędzla już w roku 1929.

Ciąg dalszy na s. 48 ▶

► Ciąg dalszy ze s. 47

Niestety, rangi dzieła nie docenił w stosownym czasie przemysł farmaceutyczny. Potrzeba było wojny i mnóstwa ofiar zmarłych na skutek zwykłego zakażenia, by uruchomić seryjną produkcję dawno odkrytego preparatu. Temu sukcesowi dorówna już chyba tylko ktoś, kto potrafi uwolnić ludzkość od groźby raka.

Przed wojną najwięcej laurów w dziedzinie chemii, fizyki i w medycynie zdobyli Niemcy, po wojnie zaś Amerykanie. W literaturze sukcesy rozkładają się już niemal na cały świat i raczej nie ma mowy o tym, by można było jakiś kraj wyróżnić. Do dziś wyróżniono około sześciuset laureatów, wśród których najwięcej jest obywateli USA, na drugim miejscu plasują się Angliki, a na trzecim Niemcy. Jeżeli chodzi o narodowość, to co trzeci nagrodzony ma pochodzenie żydowskie. Co by nie powiedzieć – naród wybrany!

Tak przynajmniej podaje *Stary Testament*. Wśród uczelni, które wykształciły laureatów, na pierwszym miejscu figuruje uniwersytet w Cambridge – 50 jego absolwentów zdobyło Nobla. Kolejne miejsca zajmują: Harvard – 32 naukowców, Columbia – 26, Paryż – 19, Oxford – 17, Uniwersytet im. Stefana Bato-rego w Wilnie może poszczycić się Miłoszem, a Uniwersytet Warszawski – Geniem.

Nagroda Pokojowa ma charakter szczególny i przyznawana jest ludziom, którzy zrobili wiele dobrego, aby uchronić świat od wojny, mimo że nie zawsze udawało się to do końca. W każdym razie dobrze jest, że nazwisko wynalazcy podstawowego materiału wojennego, jakim stał się dynamit, związane jest z nagrodą dla tych, którzy wojny nie lubią. Pierwszymi laureatami w tej dziedzinie byli dwaj pacyfiści – Henri Dunant (Szwajcaria) i Ferdinand Passy (Francja). Ten pierwszy utworzył jeszcze w roku 1864 instytucję o charakterze międzynarodowym pod nazwą... Czerwony Krzyż.

Pewnego rodzaju ciekawostką jest, że Amerykanin Carl Linus Pauling z Kalifornii otrzymał w roku 1962 Nagrodę Pokojową, w roku 1954 zaś przyznano mu nagrodę w dziedzinie chemii, za utworzenie nauki pod nazwą biologia molekularna, zajmującej się budową cząsteczek w organizmach. Pauling jest też autorem hitu pod tytułem Witamina C a przeziębienie, w którym dowodzi, że dawka 15 gramów tej witaminy dziennie skutecznie leczy przeziębienie.

W praktyce okazało się jednak, że nawet tak wysoka dawka nie każdego wyleczy, być może pół wieku temu owszem, ale... niektórzy nawet dziś są akurat podatni na taką kurację.

No i dobrze. Obyśmy wszyscy zdrowi byli! Jest niepisana reguła, że już po ogłoszeniu przyznanej nagrody do głosu dochodzą przygodni komentatorzy. Jedni wyrażają swoje zadowolenie i akceptują decyzje Akademii Szwedzkiej, inni natomiast zaczynają wybrzydzać. Najczęstsze sformułowania, jakimi obdarzani są laureaci przez tych drugich, sprowadzają się do konstatacji, że osoba wyróżniona to ktoś mierny, przeciętny, zasługujący co najwyżej na dyplom z okazji 50-lecia lokalnej Spółdzielni Inwalidów, na Nobla zaś absolutnie nie. A w ogóle to laureat był w młodości draniem, łapał ryby bez karty wędkarskiej, a tramwajem jeździł na lewy bilet. Coś w tym rodzaju spotkało między innymi naszą poetkę, Wisławę Szymborską, jeszcze za życia (po śmierci zresztą również), na szczęście wybrzydzenie programowych nienawistników utonęło w powodzi gratulacji oraz poczucia dumy narodowej za sukces krajanki.

„Psom ogrodnika” dobrze będzie zadeptykować fragment wiersza *Nienawiść* pióra Szymborskiej:

*Spójrzcie, jaka wciąż sprawna,
jak dobrze się trzyma
w naszym stuleciu nienawiść.
Jak lekko bierze wysokie przeszkody.
Jak to łatwo dla niej – skoczyć, dopaść...*

MIROSLAW PRANDOTA ■



FOT. NOBELPRIZE.ORG

„Góralka” wróciła na Wawel

Obraz Leona Wyczółkowskiego *Wiejska dziewczyna w żółtej chuście* po 70. latach powrócił do macierzystych zbiorów Zamku Królewskiego na Wawelu. To kolejne z dzieł utraconych w wyniku II wojny światowej, które odzyskaliśmy dzięki staraniom polskiego ministerstwa kultury.

Pastel *Wiejska dziewczyna w żółtej chuście* (Góralka) powstał w 1900 roku, co potwierdza umieszczona w lewym górnym rogu sygnatura artysty oraz data. Wkrótce potem obraz został zakupiony przez Leona Pinińskiego (1857-1938), profesora prawa rzymskiego i rektora uniwersytetu we Lwowie, polityka, znawcę sztuki i kolekcjonera, namiestnika Galicji w latach 1898-1903. W lutym 1901 roku obraz Wyczółkowskiego był prezentowany na wystawie Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka” we Lwowie. Leon Piniński, który jako członek Komitetów Wawelskich angażował się w restaurację Zamku na Wawelu i jego urządzenie, już w 1909 roku ogłosił zamiar podarowania części swych zbiorów Wawelowi, a w roku 1931 powołał Fundację Wawelską im. Leona hr. Pinińskiego, zatwierdzoną później przez wojewodę lwowskiego. Z archiwaliów wynika, że pastel Wyczółkowskiego był na Wawelu już w 1927 roku, a być może nawet już od roku 1920. Dzieło zaginęło w latach 1939-1945 i figurowało na wawelskiej liście strat wojennych.

Pastel został zidentyfikowany na krajowym rynku dzieł sztuki w grudniu 2020 roku. Szczegółowa weryfikacja obiektu i analiza konserwatorska potwierdziły, że oferowany przez jeden z warszawskich domów aukcyjnych obraz jest zarejestrowany w bazie strat wojennych i stanowił do wybuchu II wojny światowej własność Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu. Dzieło Wyczółkowskiego wpisane było w inwentarzu Fundacji Wawelskiej im. Leona hr. Pinińskiego pod numerem 203. Na prośbę resortu kultury dom aukcyjny wycofał pastel z aukcji, a dotychczasowy posiadacz podjął decyzję o dobrowolnym zwrocie obrazu na rzecz Skarbu Państwa.

W ostatnich latach około pół tysiąca dzieł sztuki wróciło do polskich muzeów. Wśród nich są dzieła, które odnalazły się na terenie Polski, jednak większość była sprowadzona z zagranicy – z wyłączeniem kierunku wschodniego. – Jeżeli chodzi o kwestie restytucji z tego obszaru, to w tej chwili jest złożonych dwadzieścia wniosków restytucyjnych do Federacji



Leon Wyczółkowski, *Wiejska dziewczyna w żółtej chuście* (Góralka), pastel, papier na tekturze, 69 x 99 cm FOT. © MKiDN

Rosyjskiej, ale wciąż pozostają one bez odpowiedzi – zaznacza prof. Piotr Gliński.

Podczas uroczystości przekazania dzieła 7 grudnia 2021 roku Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego zapowiedział również przekształcenie dotychczasowego Wydziału Restytucji Dóbr Kultury w od-

dzielny departament, co pozwoli wzmocnić zespół zajmujący się odzyskiwaniem utraconych – głównie w czasie II wojny światowej – dzieł sztuki poprzez zwiększenie liczby pracowników-specjalistów w tej dziedzinie.

ANDRZEJ SZTUMSKI, MKiDN ■



□ Leon Wyczółkowski (1852-1936)

– malarz, grafik i rysownik, jeden z najważniejszych twórców Młodej Polski. W latach 1869-1875 kształcił się w warszawskiej Klasie Rysunkowej pod kierunkiem m.in. Wojciecha Gersona, następnie w akademii monachijskiej w pracowni Aleksandra Wagnera oraz w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych u Jana Matejki. W latach 1895-1911 pracował jako pedagog na krakowskiej akademii. Należał do grona członków-założycieli

Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka”, a także do Vereinigung Bildender Künstler Österreichs-Wiener Secession. Odbił liczne podróże: w 1878 roku do Paryża, w latach 1883-1894 mieszkał na Ukrainie i Podolu, w latach 90. XIX wieku wyjeżdżał do Włoch, w 1905 roku do Hiszpanii, a w 1915 – do Anglii, Szkocji i Holandii. Okres I wojny światowej spędził w Warszawie i Krakowie. W latach 1918-1929 mieszkał w Krakowie, skąd wyjeżdżał często do swego majątku w Gościeradzu koło Bydgoszczy. W 1929 roku przeniósł swą pracownię do Poznania. W 1934 objął stanowisko profesora grafiki w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Brał udział w licznych wystawach w kraju i zagranicą. Początkowo tworzył w technice olejnej, następnie w pastelu, by w końcu skupić się na technikach graficznych. Był wybitnym portrecistą, malarzem natury i scen z życia codziennego, a także prac wpisujących się w nurt młodopolskiego symbolizmu.



Adolf Hitler. Koniec Legendy część 4

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

■ PETER RAINA



Kolejna operacja wojsk niemieckich w dolnej Alzacji rozpocząć się miała w noc sylwestrową 1 stycznia 1945 roku. Z tego powodu Führer zwołał na naradę 28 grudnia 1944 roku do „Orlego Gniazda” trzydziestu odpowiedzialnych za tę operację dowódców.

Rozczarowania styczniowe

Zebrani oficerowie słuchali przemówienia Hitlera od godziny 18.48 do godziny 19.38.

„Od tej nowej ofensywy – powiedział Hitler – zależy przeżycie narodu niemieckiego. Zwycięstwo naszych wrogów doprowadzi do bolszewizacji Europy. I każdy musi być świadomy tego, co oznacza bolszewizacja Niemiec. W życiu narodów rządy się zmieniają, przychodzą nowe i odchodzą stare. Ale tu chodzi o sprawę bytu narodowego, o jego istotę. Byt może być zachowany lub zgładzony. Naszym celem jest utrzymanie bytu, a zagłada oznacza zgubę narodu na zawsze. Rzesza Niemiecka w tym momencie prowadzi walkę ideologiczną o swój byt. Zwycięstwo w tej walce jest warunkiem zagwarantowania na stałe bytu mocarstwu niemieckiemu, a klęska oznacza zagładę i rozbięcie narodu niemieckiego. Dlatego musimy przejść od akcji defensywnej do akcji ofensywnej. Jedyne przystąpienie do ofensywy otwiera nam drogę do zwycięstwa na zachodzie. Błędna jest myśl, że ofensywa jest bardziej krwawa niż bycie w defensywie. Doświadczenie pokazuje, że najbardziej krwawe bitwy, jakie myśmy prowadzili były właśnie defensywne. Dlatego zadaniem naszych wojsk ma być

otoczenie jak największej liczby wrogich jednostek na miejscu ich wtargnięcia. Ta druga operacja ma zupełnie jasny cel – zniszczyć wrogie jednostki. Tu nie ma mowy o prestiżu. Nie chodzi nawet o uzyskanie przestrzeni. Celem jest wyłącznie zniszczenie i usunięcie przeciwnika wszędzie tam, gdzie go znajdziemy. I w osiągnięciu naszego celu mamy być fanatyczni” (zob. *Przemówienie Hitlera do generałów*, 28 grudnia 1944, [w:] F. Gilbert (ed.), *Hitler directs his war. The Secret Records of His Daily Military Conferences*, New York 1982).

Hitler dalej odwoływał się do zebranych, żeby tę operację prowadzili z całym swoim zapalem, werwą i energią. Ta operacja będzie decydująca. „Możemy jeszcze być panami losu”. Wróg na pewno uważać będzie atak w noc sylwestrową za zakłócenie jego trybu życia, ponieważ nie obchodzi on świąt Bożego Narodzenia, lecz Nowy Rok. Więc nie możemy lepiej wprowadzić go na dobrą drogę w Nowym Roku niż przez takie uderzenie. I jeszcze jedno. Warunkiem powodzenia tej operacji jest tajemnica. Ten, kto nie musi o niej wiedzieć, nie będzie powiadomiony.

Po tej desperackiej mowie Hitlera żadnej dyskusji nie było. Wystąpił jedynie naczelny dowódca wojsk na zachodzie generał feldmarszałek von Rundstedt.

– Pozwól, mój Führerze! – powiedział – żebym złożył zapewnienie w imieniu wszystkich tu zebranych komendantów, że zrobimy wszystko, na pewno wszystko, by ofensywa ta powiodła się.

Około godziny 4.30 nad ranem 1 stycznia 1945 roku Führer odwiedził linię frontu, mając nadzieję, że jego cele zlikwidowania nieprzyjaciela zostaną zrealizowane.

Tej nadziei nie podzielał Martin Bormann. W osobistym liście do swojej żony, Gerdy, napisanym o godzinie 4.55 Bormann wyraził swoje wątpliwości co do powodzenia planów Führera. „Niestety – pisał – niebo jest tak jasne jak słońce, to znaczy, że samoloty nieprzyjaciela będą od rana mogły uderzać wszędzie, gdzie chcą i ustrzelić to, co się tylko rusza. Miejmy jednak nadzieję, że ta ofensywa przyniesie taki sukces, jakiego Führer oczekuje. Ta wojna, i ten rok zadecydują o losie naszych dzieci i całego naszego narodu” (Wszystkie listy Martina Bormanna do żony Gerdy pochodzą z publikacji *The Bormann Letters. The Private Correspondence between Martin Bormann and his*

Feldmarszałek Gerd von Rundstedt

FOT. BUNDESARCHIV / CC BY-SA 3.0



wife from January 1943 to April 1945, Edited by H. R. Trevor-Roper, London 1954).

Przebieg wydarzeń styczniowych nawiązując do notatek Martina Bormanna (M.B.; notatki pochodzą z: Lew Besymenski, *Die letzten Notizen von Martin Bormann*. Stuttgart, 1974 – Tenże, *Ostatnie notatki Martina Bormanna*, Warszawa 1976) i dr. Theo Morella (T.M.; Notatki i zapiski dr. Morella pochodzą z: Theo Morell: *Adolf Hitler, the Medical Diaries*, Edited by David Irving, London 1983) pisane na bieżąco:

2 stycznia: „Ribbentrop u Führera; następnie u M.B.” (M.B.). „Führer czuje się dobrze, jeżeli pominiemy napięcie spowodowane ofensywą, która jest w toku. Pytał mnie, czy można usunąć drżenie lewej ręki” (T.M.).

3 stycznia: „Godzina 13.00. Narada u M.B. Obecni: dr Goebbels, dr Naumann, Speer, Saur i Ganzenmüller – w sprawie poboru do Wehrmachtu pracowników przemysłu wojennego i kolei państwowych; po obiedzie narada u Führera” (M.B.).

4 stycznia: „Speer i Sauer u Führera, potem Ganzenmüller” (M.B.).

5 stycznia: „Kwaterna główna Führera. Orle Gniazdo. Führer wzywa marszałka Rzeszy (Göringa), aby zreferował przebieg wojny powietrznej. M.B. składa meldunek Führerowi” (M.B.).

Optymizmowi Bormann daje wyraz w liście do żony z 5 stycznia. Nigdy nie możemy – pisze – zaprzestać cieszyć się z tego, że mamy Führera. Wierzymy niezmiennie w to, że ostateczne zwycięstwo opiera się w dużej mierze na fakcie, że Führer istnieje. Jest on geniuszem i posiada determinację tak silną jak skała. W tym samym liście Bormann opisuje, jak naprawdę wygląda rzeczywistość: na lewym brzegu rzeki Ren linie kolejowe są całkowicie zniszczone. Miasto Nurmberg jest również zniszczone. Ponad 90 tys. ludzi jest bezdomnych. I dodaje: „Naloty, naloty – wszędzie piekło”, Frankfurt, Hanau, Kassel.

5 stycznia: „13.00. Führer prosi o zastrzyki glukozy z powodu napięcia wywołanego ostatnimi dniami. Ma sporo posiedzeń. Zrobiłem zastrzyk dożylny glukozy oraz zastrzyk domięśniowy – Vitamultin-forte plus ekstrakt z wątroby” (T.M.).

7 stycznia: „Wieczorem o godzinie 22.00 wyjazd M.B. samochodem do Monachium. Kilkakrotne ciężkie naloty na Monachium” (M.B.). „13.00. Zastrzyk dożylny glukozy i Calcium Sandoz” (T.M.).

8 stycznia: „Godzina 8.00, przyjazd do Monachium. Do południa u państwa Fegelein, potem wyjazd M.B. w góry” (M.B.).

10 stycznia: „Po południu narada. Obecni: Klopfer, Friedrichs, Hummel. Następnie rozmowa z Reichsjugendführerem



Martin Borman FOT. BUNDESARCHIV / CC BY-SA 3.0

Axmannem” (M.B.). „Führer miał silne spazmy. Zastrzyki jak zwykle” (T.M.).

12 stycznia: „Sesja przy herbacie u Führera skończyła się o godzinie 5.00 nad ranem. Zapytałem go, jak się czuje. „Bardzo dobrze”, odpowiedział, stukając w niemalowane drewno trzy razy” (T.M.).

13 stycznia: „Z rana bolszewicy przechodzą do potężnego natarcia” (M.B.). „Führer dobrze się czuje. Zrobiłem zastrzyk dożylny glukozy i Calcium Sandoz. Mówi, że cierpi wskutek wielkiego napięcia i stan taki trwać będzie jeszcze kilka dni” (T.M.).

15 stycznia: „Z powodu poważnego natarcia na Wschodzie pociąg Führera odjeżdża do Berlina o godzinie 16.30, przyjazd do Berlina 16 stycznia o godzinie 8.00 nad ranem” (M.B.).

16 stycznia: „Z powrotem w Berlinie. Wielkie zaniepokojenie Führera z powodu radzieckiego przedzierania się w Baranowie (w kierunku Krakowa i Górnego Śląska). Zrobiłem zastrzyk dożylny glukozy plus Omnadin” (T.M.).

18 stycznia: „Godzina 19.00. Odjazd w specjalnym wagonie do Berlina, tatuś z mamusią [Bormann i Gerda], E.B. [Ewa Braun], Frau Fegelein [siostra Ewy Braun, Gretl] i Bredow” (M.B.). „Konferencja sytuacyjna wczoraj trwała od godziny 16.00 do godziny 23.00. Potem herbata do godziny 4.00 nad ranem. U Führera o godzinie 14.00. Był rześki. Zrobiłem zastrzyk dożylny – Calcium Sandoz i Omnadin oraz zastrzyk domięśniowy – Vitamultin-forte i ekstrakt z wątroby. Otrzymał Omnadin, ponieważ jest przeziębiony i boli go gardło” (T.M.).

20 stycznia: „Południe: sytuacja na wschodzie staje się coraz groźniejsza; wycofanie się z Kraju Warty – czołowe oddziały pancerne pod Katowicami” (M.B.).

21 stycznia: „Godzina 13.00. M.B. razem z Terbovenem na referowaniu u F. [Führera]. Potem rozmowa z Lammerssem. Godzina 15.00. Przyjęcie Quislinga przez Führera. Obecni: Lammers, M.B., Terboven” (M.B.).



Theo Morell FOT. BUNDESARCHIV / CC BY-SA 3.0

22 stycznia: „Godzina 15.00. Dalszy ciąg narady u Führera. Obecni: Terboven, Quisling, Lammers, M.B.” (M.B.).

23 stycznia: „Po obiedzie, po odpawie operacyjnej narada u Führera na temat sytuacji w Norwegii (sabotaż) i dezzyderatów Quislinga. Obecni: M.B., Ribbentrop, Lammers, Keitel, Jodl, Dönitz, Marszałek Rzeszy” (M.B.).

24 stycznia: „Konferencja sytuacyjna trwała do 3.00 nad ranem. Później herbata do godziny 5.00. Poprzedniej nocy Führer źle spał. O godzinie 13.45 zrobiłem zastrzyk dożylny glukozy (10 cc) i Calcium Sandoz (10 cc) oraz zastrzyk domięśniowy – Vitamultin-forte plus Testoviron” (T.M.).

26 stycznia: „Sytuacja na wschodzie zaostrza się coraz bardziej” (M.B.).

27 stycznia: „Silne drżenie lewej ręki i nogi z powodu zdenerwowania spowodowanego krytyczną sytuacją militarną. Zrobiłem zastrzyk dożylny glukozy i Calcium Sandoz” (T.M.).

28 stycznia: „Po obiedzie narada u Führera. Obecni: Quisling, M.B., Lammers, Ribbentrop” (M.B.).

„Rzeczą niepokojącą – pisze Bormann 28 stycznia do swojej żony – jest, że na froncie wschodnim armia niemiecka wykazuje oznaki rozkruszania się. Führer będzie zmuszony wycofać część wojska z frontu zachodniego (mimo że i tam nieprzyjaciół przystąpił do ofensywy) i przerzucić je na front wschodni. Ale, Kochana, ja stanowczo wierzę w ostateczne zwycięstwo Niemiec, tylko że ile jeszcze dodatkowych ciosów musimy ścierpieć, by to osiągnąć. Wiemy o tym tak mało. Czy my sami ten wielki dzień przeżyjemy?”

30 stycznia: „Zrobiłem zastrzyk dożylny glukozy i Calcium Sandoz oraz zastrzyk domięśniowy – Vitamultin-forte i ekstrakt z wątroby. Wygłosić ma poważne przemówienie dziś wieczorem” (T.M.). „Południe. M.B. – jak co dzień – z krótkim raportem u Führera.

Ciąg dalszy na s. 52 ►

► Ciąg dalszy ze s. 51

Po obiedzie rozmowa z dr. Naumannem. O 19.15: Führer przemawia do narodu niemieckiego” (M.B.).

31 stycznia: „Rano czołgi rosyjskie przed Crossen, przekraczają Odrę między Kostrzyniem i Wriezen” (M.B.).

Nad ranem 31 stycznia do Kwatery Głównej Führera w Berlinie dotarła alarmująca wiadomość, że Rosjanie przekroczyli już Odrę. Hitler jeszcze spał, więc trzeba było go obudzić. Wiadomość ta wywołała zdenerwowanie nie tylko u Führera, ale także wśród berlińczyków. Zaniepokojenie ogarnęło również Bormanna. „Bolszewicy – pisał do Gerdy – wszystko zniszczą. Gwałty uważają za żart, a masowe rozstrzeliwania to dla nich zjawisko codzienne. Zarówno Ty, jak i dzieci nie powinniście nigdy wpaść w ręce tych dzikich bestii. Musimy starać się ratować nasz naród, budować nowe linie defensywne. Führer już wydał wskazówki. Musimy wygrać”.

Tak więc i druga ofensywa niemiecka na zachodzie skończyła się niepowodzeniem. Nowy Rok stał się, nie jak życzył sobie tego Hitler „przykrym zaskoczeniem” dla nieprzyjaciela, lecz dla samych wojsk niemieckich.

Lutowa gehenna

W lutym angloamerykańskie naloty dywanowe na miasta niemieckie przybrały na sile. Bombowce amerykańskie atakowały w dzień, a angielskie w nocy. Zdeławano miasta i zabito setki tysięcy mieszkańców. Zniszczono starożytne kościoły, rokokowe pałace oraz barokowe ratusze. Na temat zbrodniczej polityki niszczenia obiektów cywilnych przez naloty angloamerykańskie pisze Jorg Friedrich w swojej znakomitej książce *Der Brand: Deutschland im Bombenkrieg, 1940-1945* (Berlin 2002).

Nie zważano na nic. Oprócz zlikwidowania obiektów wojenno-strategicznych (np. linii komunikacyjnych i fabryk), naloty dotknęły także ludność cywilną. Po prostu zmasakrowano mężczyzn, kobiety i dzieci. W Dreźnie 13 i 14 lutego zafundowano mieszkańcom piekło. Spaliło się ponad 30 tys. ludzi. Choć hitlerowcy nieustannie popełniali zbrodnie wojenne, to rodzi się pytanie, czy w odwecie cywilizowani ludzie powinni naruszać postanowienia konwencji genewskiej? Raczej nie. Co prawda konieczne było całkowite zlikwidowanie Hitlera i jego maszynierii władzy, ale w lutym cel ten był już bliski osiągnięcia przez akcję militarną i tym bardziej wydaje się, że masowe zabijanie ludności było zbyt skuteczne. To było ludobójstwo.

Natężenie nalotu falowego odczuł także Führer. Zaraz po obiedzie 1 lutego pro-



Reichsarbeitsführer Konstantin Hierl otrzymuje Goldene Kreuz des Deutschen Ordens od Adolfa Hitlera, 25 lutego 1945 FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

sił o zastrzyk. Morell zrobił mu zastrzyk dożylny glukozy i Calcium Sandoz. Ciśnienie krwi miało 153 mm. Dnia 3 lutego bombowce atakowały Berlin. Naloty były „bardzo ciężkie” – pisze Bormann 4 lutego do swojej żony.

„Ciężko uszkodzone zostały nie tylko dworzec kolejowy, tory i linie kolejowe, ale również centrum i południowa część stolicy. Ogród Kancelarii Rzeszy – to zdumiewający widok: głębokie leje, poprzewracane drzewa, ścieżki zawalone gruzami i śmieciami. Rezydencja Führera (w pałacu Kancelarii Rzeszy) została kilkakrotnie intensywnie trafiona. Z oranżerii i sali bankietowej pozostały jedynie resztki ścian. Hol wejściowy ze strony Wilhelmstrasse, gdzie stała zwykle straż Wehrmachtu jest całkowicie zburzony. Nowa Kancelaria Rzeszy została kilkakrotnie trafiona i jest chwilowo nie do użytku. Vossstrasse pokryta jest ogromnymi lejami, a domy naprzeciw Hermann Göring Strasse są całkowicie wypalone.

Gmachy należące do Kancelarii Partyjnej wyglądają żałośnie: dachówki rozwalone, okna rozbite, wszystkie drzwi wyrwane. Olbrzymia bomba uderzyła w wejście do Wilhelmstrasse 63, niszcząc sporo pokoi; zawaliły się sufity. Uprzątnięcie gruzów i szkła trwało cały dzień. Widowisko przeraźliwe. Linie telefoniczne między mieszkaniem Führera a biurem partyjnym jeszcze nie działają. Brakuje połączenia ze światem zewnętrznym.

W biurach urzędu nie mamy jeszcze światła, prądu i sieci wodociągowej. Mamy beczkowóz, który stoi przed gmachem Kancelarii Rzeszy, co jedynie zaopatry nas w wodę potrzebną do gotowania i zmywa-

nia. Ale najgorszą rzeczą jest splukiwanie w klozecie. Ci komandosi, którzy nas tu pilnują – to świnię. Stale korzystają z klozetu, a żaden z nich nie pomyśli o tym, by zabrać ze sobą wiadro z wodą do splukiwania muszli”. Bormann list ten napisał siedząc w pokoju swojej sekretarki w bunkrze. Jest to jedyny pokój – pisze – który ma prowizoryczne okienko i jest w nim umiarkowanie ciepło. Ale ma nadzieję, że w bunkrze otrzyma własny pokój, w którym będzie mógł pracować i spać. A kwatery w bunkrze rozdziela sam Führer.

Osobna notatka Bormanna z 3 lutego (sobota) brzmi następująco: „Przed południem silny nalot na Berlin (nowa Kancelaria Rzeszy, mieszkanie Führera, hol wejściowy, jadalnia, ogród zimowy, Kancelaria partyjna). Walki o przeprawę na Odrze. Kancelaria partyjna na pierwszej linii!”. Bormann martwił się także wiadomościami dochodzącymi z linii bojowej na wschodzie i na zachodzie. Oddziały sowieckie miały już założone przyczółki nad Odrą niedaleko od Kostrzyna, a na zachodzie jednostki niemieckie zostały odparte do pozycji zajmowanej przez nie na początku grudnia. Wygląda na to, twierdzi Bormann, że najgorszy dla nas okres dopiero nadejdzie. Wszystko to dręczy Führera. Ale bądźmy pełni nadziei. Ostateczne zwycięstwo – będzie nasze! (*List Martina Bormanna do Gerdy, 4 II 1945*).

Notatka dr. Morella z 3 i 5 lutego brzmi następująco: „Zrobiłem Führerowi zastrzyk dożylny glukozy i Calcium Sandoz oraz zastrzyk domięśniowy Vitamultin-forte i ekstrakt z wątroby”.

Wskutek zniszczenia 3 lutego mieszkania Führera w Kancelarii Rzeszy był on zmuszony 4 lutego wprowadzić się na stałe

do bunkra znajdującego się w ogrodzie Kancelarii Rzeszy.

5 lutego Borman notuje: „Przedpołudnie – południe. 14.15 – 500 czteromotorowych, 200 dwumotorowych samolotów. Villach (4 razy), Salzburg (5 razy), Regensburg, Traunstein, Rosenheim, itd. Wieczorem po naradzie operacyjnej M.B. razem z Lammersem i Seyssem u F. Następnie dr Goebbels. Rozmowa M.B. z Goebbelsem”.

W liście do żony Bormann narzeka, że „Anglicy i Amerykanie przygotowują jeszcze jedną wielką ofensywę, a w tym czasie nasze jednostki będą zmuszone do wycofania się. Jeżeli ktoś jeszcze przyznaje, że mamy jakąś szansę, to musi on być wielkim optymistą. I tacy jesteśmy. Nie chce mi się wierzyć, że los, który mógł poprowadzić nasz naród i naszego Führera tak daleko przez tę świetną drogę, może teraz nas opuścić, że możemy zginąć. Zwycięstwo bolszewizmu i amerykańizmu oznacza nie tylko wyniszczenie naszego narodu, ale i zniszczenie wszystkiego, co zostało stworzone przez jego kulturę i cywilizację” (5 II 1945).

„O północy 6 lutego obchodzono urodziny Ewy Braun. Urządziła ona przyjęcie w jeszcze niezniszczonych pokojach Kancelarii Rzeszy. Wśród zaproszonych gości był m.in. Martin Bormann. Na przyjęciu obecni byli: Führer, siostra Ewy, Gretl i jej mąż Hermann Fegelein, Martin Bormann i inni. Ewa miała dobry humor, napisał Bormann do żony. Żałowała tylko, że nie ma dobrego partnera do tańca i krytycznie wypowiadała się o niektórych ludziach. Było to coś zupełnie nowego, zauważył Bormann. Hitler opuścił towarzystwo o północy. Reszta bawiła się do pół do drugiej, kiedy to Führer wezwał Ewę do bunkra. Na tym zabawa się skończyła” (*List Martina Bormanna do Gerdy*, 6 II 1945).



Fasada Nowej Kancelarii Rzeszy, 1939 FOT: BUNDESARCHIV//CC BY-SA 3.0

Dzień następny przebiegał jak zwykle. Führer otrzymał swoje dożylnie i domięśniowe zastrzyki. Bormann wrócił do swojego zimnego pokoju w bunkrze. O wykąpaniu się nie było mowy. Był szczęśliwy, że posiadał gruby futrzany płaszcz. Kancelaria wyglądała jak pustynia. Meble były wszędzie pokryte parafiną, odłamkami szkła, i kurzem, a ulice pełne brudu.

Gerda Bormann starała się pocieszyć męża swoimi radami. Oczywiście pisała, że świat jest „pełen szatanów” i prawdopodobnie tak pozostanie, jednak z tą różnicą, że sprawy nie pójdą tak dobrze dla diabła jak do tej pory. Rzesza osiągnie zwycięstwo, nawet jeżeli my tego nie dożyjemy. Führer ukazał nam ideę Rzeszy, ona rozszerza się na całym świecie. Pewnego dnia Rzesza naszych marzeń wyłoni się. Ciekawa jestem, czy my, z naszymi dziećmi tego dożyjemy (*List Gerdy Bormann do Martina Bormanna*, 7 II 1945).

Dalsze dni lutego w świetle notatek Martina Bormanna i dr. Theo Morella przedstawiają się następująco

7 lutego: „Narada u Führera. Obecni: Gauleiter Koch, Guderian, gen. Wenck, na-

stępnie Gruppenführer Wolf. Wieczorem M.B. z Reichsführerem SS u Fegeleinów. Rozmowa i kolacja. Potem wieczorynka z E.B. u państwa Fegelein” (M.B.). „Zrobiłem Führerowi zastrzyk dożylny glukozy oraz zastrzyk domięśniowy Vitamultin-forte i ekstrakt z wątroby” (T.M.).

8 lutego: „Po południu. Rozmówcy M.B.: prof. Giesler, Standartenführer Becher, następnie Burgdorf w sprawie SD. W nocy na herbacie u E.B. Obecni: Giesler, Speer, państwo Fegelein i Führer” (M.B.).

9 lutego: „W ciągu dnia nalot na Weimar. Wieczorem wyjazd E.B. i Frau Fegelein” (M.B.).

„Te wieczne naloty – żali się Bormann – są już nieznośne i uciążliwe. Bardzo cierpimy wskutek dewastacji i zniszczeń” (*List Martina Bormanna do Gerdy*, 9 II 1945). „Marzy on tylko o jednym, by móc uciec gdzieś na jedną noc, by się wykapać, posiedzieć chwilę w czystych ubraniach w ciepłym i czystym pokoju” (*List Martina Bormanna do Gerdy*, 10 II 1945).

10 lutego: „Zrobiłem zastrzyk glukozy plus Betabion-forte” (T.M.).

12 lutego: „Silne drżenie prawej ręki Führera z powodu potężnego zaniepokojenia” (T.M.).

13 lutego: „Późnym wieczorem i w nocy – potężne naloty na centrum Drezna” (M.B.).

13 lutego: „Führer nerwowo. Zrobiłem zastrzyk dożylny glukozy plus Betabion-forte” (T.M.).

14 lutego: „Trzeci dzienny ciężki nalot na Drezno” (M.B.).

15 lutego: „Morale Führera niskie, na pewno wskutek sytuacji na froncie wschodnim oraz bombardowania Drezna. Zrobiłem zastrzyk dożylny glukozy i Benerva-fortissimo” (T.M.).

17 lutego: „W ostatnich 4-5 dniach pacjent stał się nadmiernie melancholijny, wygląda na zmęczonego i mało śpi. Zrobiłem zastrzyk dożylny – Strophantin i Benerva-fortissimo” (T.M.).



Nowa Kancelaria Rzeszy, sala posiedzeń rządu, 1939

FOT: BUNDESARCHIV//CC BY-SA 3.0

Ciąg dalszy na s. 54 ►

► Ciąg dalszy ze s. 53

18 lutego: „Szef mi powiedział, że Ewa Braun chce wracać do Berlina jak najszybciej. Radzono jej, żeby na razie została w Monachium” (*List Martina Bormanna do Gerdy*, 18 II 1945).

18-20 lutego: „Zrobiłem zastrzyk dożylny – Strophantin II i Benerva-fortissimo” (T.M.).

21 lutego: „Silne naloty na Wiedeń, Erfurt, Norymbergę” (M.B.). „Sytuacja żywieniowa jest krytyczna. Będziemy zmuszeni jeść dużo dzikich jarzyn, by zaspokoić głód” (*List Martina Bormanna do Gerdy*, 21 II 1945).

22 lutego: „Zrobiłem zastrzyk dożylny – Strophantin II i Benerva-fortissimo” (T.M.).

24 lutego: „Godzina 13.25. Zrobiłem zastrzyk dożylny – Strophantin II i Benerva-fortissimo” (T.M.).

24 lutego: „Na spotkaniu z Führerem w Kancelarii Rzeszy obecni są: Reichsleiterzy, Gauleiterzy i kierownicy. Pozdrowienia. Powitania. Obiad. Przemówienie Führera” (M.B.).

26 lutego: „Silny nalot na Berlin. Po raz drugi poważnie uszkodzono Kancelarię Partijną (w podwórzu)” (M.B.). „Zrobiłem zastrzyk dożylny – Strophantin II i Benerva. Żadnych cielesnych skarg” (T.M.).

27 lutego: „Silne naloty na Augsburg, Halle, Salzburg” (M.B.).

28 lutego: „Zrobiłem zastrzyk dożylny – Strophantin II i Benerva” (T.M.).

W takiej beznadziejnej sytuacji znalazła się stolica Trzeciej Rzeszy w lutym 1945 roku. A jej kanclerz schował się w zamaskowanym bunkrze. Tam sypiał i jadł. Wydawał rozkazy. Nie wychodził nawet na spacer, bo bał się, że może trafi i zabije go bomba.

Bunkier Führera

Bunkier Führera znajdował się w ogródku Reichskanzlerpalais (Pałac Kanclerza Rzeszy). Pałac ten miał bogatą historię. Tło historyczne tego miejsca opisują: *Zur Geschichte des Reichskanzlerpalais und der Reichskanzlei. Herausgegeben vom Staatssekretär der Reichskanzlei* (Berlin 1928), H.S. Hegner, *Die Reichskanzlei, 1933-1945* (Frankfurt/Main 1959) i G. Franz-Willing, *Die Reichskanzlei, 1933-1945* (Tübingen 1984).

Na mocy dekretu wydanego 21 września 1736 roku król Fryderyk Wilhelm I zapisał grunt pod zabudowę przy Wilhelmstrasse 77 w Berlinie swojemu zasłużonemu generałowi hr. Adolfowi Friedrichowi von Schulenburgowi. Dar króla zapisany był jako dziedziczna własność generała. W latach 1738-1739 powstał tu ładny barokowy pałacyk Schulenburga. Mieszkał w nim tylko 2 lata, gdyż w 1741 roku poległ na polu walki podczas pierwszej wojny ślą-



skiej. W roku 1796 pałac ten kupił książę Radziwiłł, który prowadził w nim bogate życie kulturalno-towarzyskie. Pałac ten nazwano teraz Pałacem Radziwiłłów, stał się ważnym miejscem uprawiania nauki i sztuk pięknych. Bywali tu między innymi, Goethe, Chopin, Mendelsohn, von Humboldt, Schinkel i Spontini. Pałac zmienił właściciela w 1875 roku. Kupiło go państwo. Po przebudowaniu i renowacji do pałacu wprowadził się pierwszy kanclerz Rzeszy Otto von Bismarck. Od tego czasu pałac otrzymał nazwę Reichskanzlerpalais (Pałac Kanclerza Rzeszy). Był on również siedzibą rządu kanclerza.

Od 1928 do 1931 roku powstawały nowe budynki służbowe wokół pałacu i cały ten konglomerat przybrał nazwę Reichskanzlei (Kancelaria Rzeszy). Pomiędzy w tym czasie od października 1932 do połowy 1933 roku prezydent Rzeszy von Hindenburg, gdy jego mieszkanie było przebudowywane. Dlatego gdy Adolf Hitler został mianowany kanclerzem Rzeszy 30 stycznia 1933 roku, nie mógł natychmiast wprowadzić się do zajętego przez Hindenburga służbowego mieszkania kanclerza Rzeszy. Hitler wprowadził się tymczasowo do mieszkania szefa Kancelarii. Już we wrześniu wydał zarządzenie, że jego mieszkanie znajdujące się na pierwszym piętrze Reichspalais ma być przebudowane i całkowicie na nowo umeblowane. Zlecenie otrzymał architekt Paul Troost z Monachium. Nie mógł go wykonać, gdyż zmarł w styczniu 1934 roku; nad projektem pracowali żona Troosta i architekt Leonhard Gall. Przebudowano gabinet (pokój pracy) dla Hitlera od strony ogrodu. Do gabinetu przyłączono większy pokój przyjęć dla akredytowanych ambasadorów, a obok tego pokoju powstał pokój dla adiutanta.

Stara sala kongresowa została przebudowana na salę obrad Rady Ministrów. Obok sali (ale od strony ogródka) zbudowano mały gabinet dla Führera, a także pokój mieszkalny, sypialnię z łazienką oraz zadaszony taras. Powstało tu jeszcze kilka pokoi gościnnych (dwa specjalne pokoje do dyspozycji Ewy Braun), z widokiem na Wilhelmstrasse. Na parterze pałacu również przeprowadzono remont. Główne wejście od Wilhelmstrasse, westybul, zostało przebudowane, a sala ogrodowa zmieniona została na salę recepcji, do której przyłączono

dwie izby, gdzie wystawiano obrazy znanych malarzy. Znajdowały się tam także szatnia i pokój dla straży. Przebudowanie pałacu zajęło prawie rok.

W maju 1934 Hitler wprowadził się do przebudowanych pomieszczeń. Jeszcze w tym czasie kupiony został na polecenie Hitlera za 1,25 mln Reichsmark – Borsigpalac, znajdujący się na rogu Vossstrasse i Wilhelmstrasse. Pałac ten został do października 1934 roku wyremontowany. Na początku 1935 roku architekt Leonhard Gall otrzymał zlecenie od Hitlera na wybudowanie dwupiętrowego budynku w ogrodzie Kancelarii Rzeszy. Powstać tu miały: sala balowa, zwana także salą dyplomatów (dla 200. osób) i dwa mieszkania dla urzędników. Budynek miał być połączony przez oranżerię z Kancelarią. Projekt został wykonany w okresie od lipca 1935 do stycznia 1936 roku.

Przy budowaniu sali dyplomatów Gall przewidział (na zlecenie Hitlera) przeciwnie skierowany schron. Wpuścił on w piwnicę kwadratowy kłoc betonowy o wymiarze boku 21,2 m i grubości 1,2 m. Schron miał grubość stropu 1,6 m, a razem z sufitem liczył w całości 2,35 m. Wejście do schronu znajdowało się pod salą balową. Trzy bramy, śluzowa, gazoszczelna i żelazna prowadziły przez 16-stopniowe schody (8 od sali do piwnicy i 8 od piwnicy do ostatniej bramy) do schronu. Służba bezpieczeństwa kontrolowała bramy wejściowe. Schron był całkowicie samowystarczalny. Generator-agregat Diesla (40 kW) dawał oświetlenie, ogrzewanie, dopływ świeżego powietrza, splukiwanie wody, napęd elektryczny kuchni. Były także toalety i umywalnie. W pomieszczeniu schronu znajdowały się: środkowy korytarz i 16 małych pokoi, przeciętnie wielkości 3,5 x 3,2 m.

Na początku 1937 roku na zlecenie Hitlera Albert Speer przygotował plany wybudowania nowej Kancelarii Rzeszy wzdłuż Vossstrasse 2-5, służbowych mieszkań dla pracowników sztabu Führera i dla hitlerowskich oddziałów konwojowych i ich rodzin w miejscu między Voss i Hermann-Göring Strasse. Zlecenie zawierało także wybudowanie podziemnego schronu dla taboru samochodowego przynajmniej dla 60. wozów oraz olbrzymiego schronu przeciwlotniczego ze stropem o grubości 2 m. Powstał więc podziemny labirynt z setką pokoi, licznymi korytarzami i pojazdami samochodowymi pod ogrodami między Vossstrasse i Herman-Göring Strasse.

Schron ten był również samowystarczalny. Miał własny agregat Diesla (100 kW), który zaopatrywał go w oświetlenie, wentylację i elektryczność potrzebną do gotowania itd. Znajdowały się tu urządzenia szpitalne (sala operacyjna), gabinet dentystyczny, dwie kuchnie i spiżarnia. Kiedy wojna się zaczęła, na życzenie Hitlera, część tego schronu była dostępna dla ludności cywilnej. Nocować tu mogło mniej więcej 250 dzieci z rodzin berlińskich, nie mających własnego miejsca chroniącego przed nalotami. Dzieci były pod opieką przedszkolank i lekarzy. Otrzymywały wyżywienie, a w dniu następnym wracały do swoich rodziców lub do domu dziecka. Podczas wojny około 60 kobiet urodziło tu dzieci. Jeszcze w lutym 1945 roku schron ten mieścił ponad 100 osób: członków sztabu sił zbrojnych, straż Hitlera oraz dygnitarzy partyjnych.

Idea skonstruowania schronu przeciwlotniczego dla Führera, zrodziła się w styczniu 1943 roku według pomysłu samego Hitlera. Zlecił on Speerowi, żeby wybudował jeszcze mocniejszy schron w ogrodzie Kancelarii. Już na początku lutego Speer przedstawił Hitlerowi plan do aprobaty. Do wykonania projektu wyznaczony został znany Speerowi wypróbowany fachowiec – architekt Carl Piepenburg. Budowę bunkra rozpoczęły firmy ARGE AG i Philipp Holzmann AG z Berlina w kwietniu 1943 roku.

Bunkier Führera miał być przedłużeniem schronu wybudowanego już na przełomie 1935/1936 roku pod salą balową, tylko 10 metrów głębiej, z większą grubością stropu (3,5 m) i grubością ścian (3,5-4 m). Ponieważ nowy bunkier zagłębił się w wodzie gruntowej, zbudowano dwumetrową mocną betonową płytę fundamentową. Bunkier leżał na tej betonowej płycie w taki sposób, że woda wsiąkająca musiała być na bieżąco wypompowywana przez specjalne pompy. O bunkrze Hitlera obszernie i dokładnie pisze Anton Joachimsthaler w książce *Hitlers Ende*.

Legenden und Dokumente (München 1995, s. 41-97).

Dostęp do bunkra Führera umożliwiono przez wyłom w murze starego schronu. Mur łączącego przejścia miał grubość 1,2 m po obu stronach. Od wyłomu prowadziły 12-stopniowe kręte schody, a do wejścia do nich wiodły słuzowe gazoszczelne stalowe drzwi. Schody prowadziły do środkowego korytarza. Był on na 16 m długi i 3,6 m szeroki, podzielony na dwie części: przedpokój i poczekalnię. Te części korytarza oddzielone były murem grubości 0,5 m ze stalowymi drzwiami, pilnowanymi przez oficera oddziału konwojowego. W przedpokoju po jednej stronie stała szafa zawierająca narzędzia przeciwpożarowe, a po przeciwnej stronie: mały stolik z zegarkiem, dwa krzesła i stolik z telefonem dla straży. Zarówno schody, jak i korytarz oraz pokoje były wyłożone kamienną płytą. W poczekalni zbierali się zwykle ludzie ze sztabu Führera celem omówienia sytuacji wojennej.

Poza korytarzem bunkier zawierał szesnaście małych pokoi (każdy pokój był 3,5x3,2 m szeroki i 2,85 m wysoki – było tam miejsce dla różnych urządzeń: ogrzewających, wietrzących, przewodów elektrycznych itp.). Podłogi były przykryte czerwonymi dywanikami. Grubość ścian między poszczególnymi pokojami wynosiła pół metra. Na lewo od wejścia do korytarza ulokowano umywalnię i ubikację przeznaczone do ogólnego użytku. Dalej mieściły się dwa pokoje Ewy Braun (sypialnia i garderoba), poczekalnie i przedpokój Hitlera, jego pracownia i sypialnia. Hitler miał własną ubikację i łazienkę, dzielił je tylko z Ewą Braun. Dalej był pokój, w którym odbywały się konferencje sytuacyjne; naprzeciwko pokój gościnny (dla Goebbelsa), pokój strażników, służby

na gaz i schody prowadzące do wyjścia awaryjnego do ogrodu Kancelarii Rzeszy.

W przedpokoju Führera wisiało osiem obrazów olejnych, przeważnie krajobrazy starych mistrzów oraz obraz Madonny z Dzieciątkiem. Pod obrazami stało dwanaście starych, ładnych foteli, po przeciwnej stronie wyścielana ławka, przed nią prostokątny stół i dwa wyścielane krzesła. W pokoju tym mieściło się około 20 osób.

W sypialni Ewy Braun było jedno łóżko, mały stolik, fotel, mała komoda i większy kredens. Podłoga wyłożona była wzorzystymi dywanikami. W sypialni Hitlera umieszczono: jedno łóżko, nocny stolik, stolik do herbaty, szafę na ubrania, dwa krzesła i aparat tlenowy. Za łóżkiem od strony nóg stała duża szafa pancerna, w której Führer chował swoje prywatne papiery. Podłoga w pokoju wyłożona była dywanem. Obok łóżka od strony głowy umieszczony był dzwonek do przywoływania kamerdynera.

Z sypialni Hitlera wchodziło się do jego gabinetu. Stała tu przy ścianie (naprzeciwko wejścia do gabinetu z przedpokoju) biała-niebieska wzorzysta brokatowa sofa z drewnianą ramą. Przed sofą stał mały stół, dokoła którego były trzy brokatowe fotele i dwa taboreciki. Za sofą na ścianie wisiał obraz holenderskiego mistrza: owoce na tle krajobrazu. Po prawej stronie sofy na małym stoliku – niewielki aparat radiowy. Na prawo od wejścia do gabinetu z przedpokoju stało biurko do pisania i krzesło. Na ścianie za biurkiem wisiał owalny portret Fryderyka Wielkiego autorstwa Antona Graffa. Wzorzysty dywanik pokrywał podłogę gabinetu.

Taki kształt nadano bunkrowi Führera. Bunkier ten był teraz jego miejscem zamieszkania aż do końca kwietnia, kiedy odebrał sobie życie.

CDN.

PETER RAINA ■

TEMATYCZNE CIEKAWOSTKI

Można już zwiedzać replikę bunkra, w którym Hitler popełnił samobójstwo

Dołdr Redakcja 12/07/2016



FOT. WADOMOSCI.COM

Targowica nie zdycha, targowica mutuje



Obraz Europy w lipcu 1772 – alegoria I rozbioru Polski. FOT. PUBLIC DOMAIN

BOHDAN URBANKOWSKI



Współżyliśmy z nią od setek lat i dziś z nią współzjemy. Toczy nasz organizm jak wirus, z tym, że wirus jest głupi a nasza targowica cwana i wygadana i do swej podłości dorabia wzniosłą ideologię. Jej hasła to hasła – cepy. Są tak oczywiste, że ogłuszają, tak piękne, że odbierają rozum.

Demokracja, tolerancja, równość, zdrowy klimat. Wałą nimi obce agentury, lecz nie tylko. Przede wszystkim rozrastająca się wszędzie kasta dobrze wynagradzanych nierobów zwanych politykami, urzędnikami, ekspertami itp. Ramie w ramie idą „celebryci” – kiepscy aktorzy, niedorobieni pisarze, pederasty – bo są pederastami, brzydkie baby – bo są brzydkie, ale pyskate. Wzniosłe hasła wspierają też konsumenci – ludzkie ssaki, które nie tworzą dóbr gospodarczych, ni dóbr kultury, lecz z jednych i drugich korzystają. Do grona pasożytów przyłączają się ochotczo emigranci. Zaprośili ich lewacy politycy, żeby zdobyć dla siebie elektorat, wsparli ich bogaci posiadacze – by mieć tanią siłę roboczą. I wszyscy wymachują wzniosły-

mi transparentami. W grach wywiadów nazywa się to działanie pod obcą flagą.

Pamiętając przysłowie głoszące, iż „anatomia małego jest kluczem do anatomii człowieka” popatrzmy na rodowód naszej swojskiej, od wieków niezniszczalnej Targowicy.

I Targowica targowicka – w perukach i karetach

Pierwsza Targowica ma u nas najgorszą opinię. A przecież tworzyli ją ludzie zasłużeni, patrioci – tyle że nieco już pierdolewaci. Akt tamtej konfederacji obmyślony został w stolicy Rosji, którą wówczas był Petersburg, 27 kwietnia 1792, ogłoszony – w pierwszym zajęty przez „wyzwolielską” armię miasteczku. Właśnie w Targowicy – stąd nazwa. Na czele konfederacji stanęli: Szczęsny Potocki, 40-letni wojewoda ruski wychowywany przez rodziców na króla oraz dwaj bezrobotni hetmani: wielki koronny – Ksawery Branicki i polny koronny – Seweryn Rzewuski. Wraz z nimi do nowej władzy załapało się na początek dwóch Kossakowskich: Józef Kazimierz, biskup i Szymon Marcin – hetman polny litewski – niegdyś jeden z bardziej bitnych dowódców Konfederacji Barskiej na Litwie... Obaj zostaną powieszani podczas powstania Kościuszk.

W tym momencie warto się zatrzymać i podumać. Bo dawnych patriotów znalazło się w Targowicy wielu, zbyt wielu. Przecież wspomniany Rzewuski to ten sam, który wraz z ojcem, hetmanem i dramatopisarzem Wacławem Piotrem Rzewuskim w roku 1767 porwany został przez Rosjan i wywieziony kibitką do Kaługi. Prócz ekspatrioty Rzewuskiego do Targowicy przystąpił generał Józef Rudnicki, sławiony w barskich czasach między innymi tym, że rozbił pułk rosyjskich huzarów i uwolnił 200 konfederatów pędzonych na Sybir. Znalazł się także wśród zdrajców Antoni Pułaski, młodszy brat tego „amerykańskiego” Pułaskiego, znalazł się dzielny rotmistrz konfederacki, Antoni Złotnicki, ba, zaszczylił nową konfederację inny rotmistrz Dyźma Bończa Tomaszewski, który uchodził za pierwszego poetę Rzeczypospolitej, a który w potrzebie barskiej krew przelewał pod Lanckoroną. On właśnie poświęcał czas i talent do nadania patriotycznego polotu manifestom i odezwoom Targowicy.

Byli to więc ludzie zasłużeni, niegłupi; ich program również nie był taki głupi. Ton nadawał mu Szczęsny Potocki, który został marszałkiem Targowicy, tytułowano go też Naczelnikiem i rzeczywiście, przez parę miesięcy, bardziej on rządził Polską,

niż król – choć najbardziej rządili Rosjanie. Potocki organizował konfederację, bo miał – tak sądził – najlepszy pomysł na Rzeczpospolitą. Wyobrażał ją sobie na wzór republikańskiego Rzymu udoskonalonego przez chrześcijaństwo, oczywiście bez niewolnictwa. Stąd głównym punktem programu Konfederacji Targowickiej był powrót do demokratycznej zasady wolnej elekcji, którą *Konstytucja 3 Maja* odrzuciła na rzecz dziedziczności. Konfederaci żądali także, by stanowiska oficerskie w wojsku sprawowali wyłącznie Polacy, a w imię poszerzenia wolności domagali się przywrócenia prawa głosu szlachcie pozbawionej majątków – *Konstytucja 3 Maja* przyznała je tylko bogatym, czyli „posesjonatom”. Domagano się także odebrania królowi prawa sprzedaży (lub darowywania) starostw i w ogóle przestrzegania przez władzę praw kardynalnych.

Za najbardziej kardynalne uważano oczywiście *liberum veto* reprezentujące interes mniejszości w sprawach nowych podatków, zwiększenia armii czy tak ważnych jak wojna i pokój. Poseł wetujący ustawę nie działał bowiem w swoim warcholskim imieniu, tylko – zgodnie z otrzymanymi instrukcjami – w imieniu tych, którzy go wybrali, jakiejś małej, powiatowej ojczyzny. Oczywiście była to teoria, nad niektórymi z tych postulatów można godzinami dyskutować, najogólniej jednak żądania konfederatów zmierzały do poszerzenia zakresu wolności obywatelskich i zwiększenia liczby obywateli odpowiedzialnych za los kraju.

Akt targowicki okraszony był także frazesami ku czci carycy Katarzyny, w której konfederaci widzieli niemal zbawczynię, a na pewno gwarantkę polskiej wolności. To zdanie się na obcą łaskę było naiwnością graniczącą ze zdradą. I na tym właśnie polegała zbrodnia Targowiczan. Ich zakute, wygolone pały nie mogły pojąć, że innym rodzajem czynności jest pisanie traktatu, innym gadanie, a innym i najważniejszym w skutkach – rzeczywiste działanie. Piękne słówka, którymi poeta Tomaszewski ozdabiał akt Targowicy służyły



Jan P. Norblin, Wieszanie zdrajców, ok. 1794 FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

do zmanipulowania szlacheckich mas, do przesłonięcia rzeczywistej sytuacji, która dawała się określić w dwóch słowach: wyrzeczenie się suwerenności. Gdy konfederaci deklamowali frazesy – wojska rosyjskie maszerowały w głąb kraju – mordując, paląc dobytek, łapiąc w niewolę Polaków.

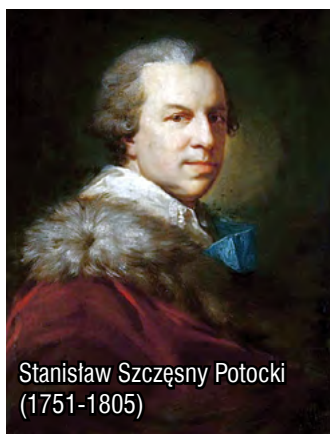
Konfederaci zrozumieli swój błąd – oczywiście za późno. Szczesny Potocki pojechał do Petersburga, by skarżyć się carowej na los kraju mając na myśli Polskę – usłyszał w odpowiedzi gniewne: *Votre patrie est ici!* Twoja ojczyzna jest tutaj! Nie chciał się na to zgodzić, wyjechał do Hamburga, przyłączył się do niego Rudnicki. Rzewuski napisał protest przeciw rozbiorem i usunął się do swych dóbr w Galicji. Hodował pszczoły i co nieco świrował. Pułaski wyjechał na wieś, podobnie uczynił Tomaszewski, który poświęcił się pisaniu o wspaniałej przeszłości Rzeczypospolitej. Jego Jagiellonida stała się przebojem tamtych lat, doczekała nawet trzech wydań, co wówczas było rzadkością. Karierę u okupantów zrobił tylko Antoni Złotnicki, który został rosyjskim generałem, ożenił się z Rosjanką a według niektórych przekazów przeszedł również na prawosławie. W nowszych czasach przeszedłby na leninizm, w najnowszych – na eurodemagogię.

II Targowica białostocka – w pożyczonych budionnówkach i na furkach

Druga Targowica przypominała pierwszą, jak karykatura – oryginał. Też została wymyślona w stolicy Rosji, też ogłoszono ją w mieście, które uznano za początek terytorium tubylców – w Białymstoku. Wydany w lipcu 1920 roku *Manifest Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski* również roił się od frazesów. Zaczynał się od zdania: „Nastąpiła godzina wyzwolenia...”, potem potępiał błędy ustroju, który dotąd polegać miał na tym, iż „przez długie wieki ssła krew ludu Polska szlachta”. Tych ssaków trzeba więc wygnać i pozakładać Komitety Parobczańskie; z rąk kapitalistów – wydrzeć fabryki, by mogły nimi rządzić Komitety Robotnicze. Dla osiągnięcia pełni szczęścia wystarczyło potem zrobić zjazd tych komitetów i powołać Polską Socjalistyczną Republikę Rad.

Podobnie jak akt targowicki również i ten *Manifest* mówił czule o wyzwalającej nas (czerwonej) Armii i o braterstwie z ludem roboczym Rosji. Jeśli zaś chodzi o reformy TKRP to były najróżniejsze i pełne fantazji: „województwo” jako nazwę szlachecką – zastąpiono „obwodem”; znacjonalizowano

Ciąg dalszy na s. 58 ►



Stanisław Szczesny Potocki
(1751-1805)



Franciszek Ksawery Branicki
(ok. 1730-1819)



Seweryn Rzewuski
(1743-1811)



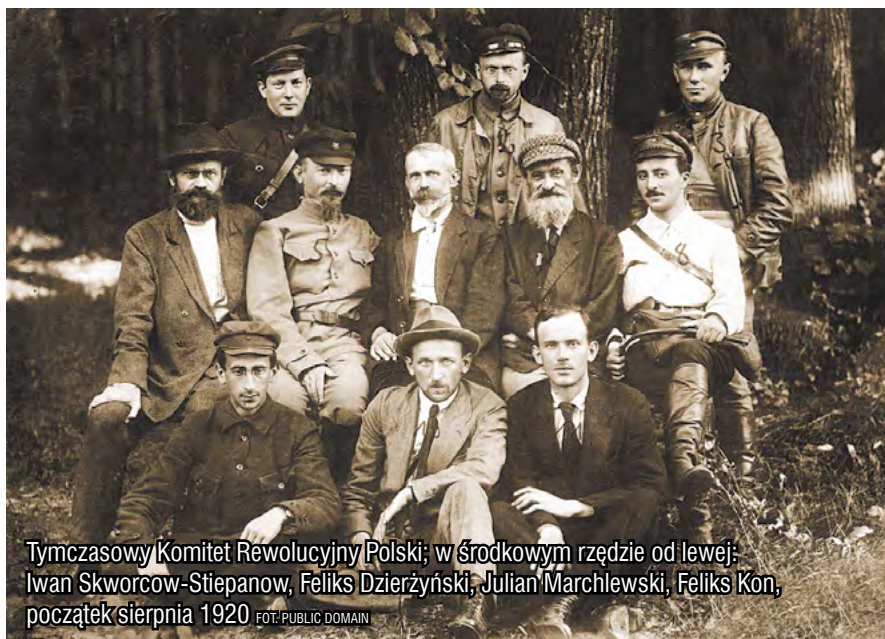
Szymon Marcin Kossakowski
(1741-1794)

► Ciąg dalszy ze s. 57

osiem fabryk odebranych właścicielom; rozstrzelano szesnastu polskich urzędników; aresztowano około 9 tys. osób i zaczęto wydzielać kartki na jedzenie. Te „kartki” stały się potem znakiem rozpoznawczym komunistów, znamy je z Kuby i z naszego stanu wojennego. Poza tym TKRP wprowadził oficjalny terror, powołując „ludowe” trybunały, wezwał polski „lud” do powstania, żołnierzy – do aresztowania oficerów i zorganizowania „własnej”, Polskiej Czerwonej Armii. Po kilkunastu dniach werbunku ta bohater-ska formacja rzeczywiście powstała – liczyła 176 żołnierzy, ongiś mojąszewego (przeważnie) wyznania, za nowej władzy już świadomych marksistów-leninistów. Na wieść o zbliżaniu się polskiej „białej” armii – Polska Czerwona Armia odeszła szybko i w nieznanym kierunku...

Jeszcze zdań parę o przywódcach tej dru-giej Targowicy. Podpisy pod manifestem TKRP złożyli: Julian Marchlewski – niegłupi nawet ekonomista i pierwszy u nas zwo-lennik wychowywania przez sztukę; Feliks Dzierżyński – wywodzący się z herbowej szlachty szef rosyjskiej „Czerezwyczajki”; Edward Próchniak – aparatczyk, który kierował Wydziałem Wojskowym KC KP Rosji i współpracował z wywiadem Armii Czerwonej a teraz pełnił obowiązki polskiego patrioty. Obowiązki patriotów pełnili także dwaj pozostali członkowie tego „rządu”: Feliks Kohn i Józef Unszticht. Pierwszy zaczynał karierę jako polski socjalista, potem został rosyjskim robotnikiem i chłopem, to znaczy członkiem władz robotniczo-chłop-skiej partii bolszewickiej; w ostatnich latach awansował z kolei na pełnokrwistego Ukra-ińca, sekretarza KC KP Ukrainy. Unszticht, komunista równie internacjonalistycznego pochodzenia, był równocześnie Litwinem i Białorusinem, to znaczy członkiem KC KP Litwy i Białorusi; teraz – gdy partia kazała – robił za polskiego patriotę.

Internacjonalistyczne pochodzenie tych rządców po części wyjaśnia, dlaczego za ję-zyki urzędowe nowej socjalistycznej Polski uznano polski i żydowski. Gdyby białostoc-cy pederasici mieli swój język – również by został urzędowym. Nowi rządcy pełni byli bowiem tolerancji i humanitaryzmu; o pra-wa mniejszości dbali nawet lepiej niż o pra-wa większości. W czasie, gdy ogłaszali swe humanitarne frazesy – czerwonoarmiejcy rozstrzelali setkami „białopolaków” ra-bowali, gwałcili i staroruskim obyczajem kradli zegarki. Marchlewski nawet podobno przeciw czemuś próbował protestować, nie wiadomo przeciwko czemu, wiadomo, że nieskutecznie. Ci nowi rządcy byli bowiem tak samo niezależni jak ich poprzednicy



z Targowicy i podobnie należeli do PPR – partii Płatnych Pacholków Rosji. Stopniem skundlenia ta druga Targowica prześcignęła swą poprzedniczkę. Po klęsce bolszewickiego najazdu jej przywódcy nie poszli na emigrację, nie zaszyli się po zapadłych wiochach, nie hodowali pszczoł. Zwali wraz z Armią Czerwoną do Rosji, gdzie dalej służyli swoim panom. Oni nie mieli złudzeń Szczęsnego, wiedzieli, gdzie jest ich prawdziwa ojczyzna... Jeśli więc zasługiwali na porównanie do Targowicz, to tylko do Złotnickiego, albo – jeszcze lepiej – do tych dwóch powieszonych. Niestety – piękny obyczaj wieszania zdrajców, został wraz z pierwszą Targowicą zapomniany.

III

Targowica chełmska – w walonkach z czerwonymi gwiazdami

Trzecia Targowica była najbardziej krwa-wa, najliczniejsza i najdłużej sprawowała rządy – przeżyła kilka wcieleń, takich jak PPR czy PZPR. Liczebność tej partii prze-ważnie przekraczała 2 miliony – o czym informuję na wypadek, gdyby ktoś chciał zwalić winę na Żydów. Ostatnia mutacja tej ostatniej Targowicy powstała dzięki tzw. „Moskiewskiej Pożyczce” i nazywała się SDRP. Nie wpadajmy jednak w dygre-sje i wróćmy do naszej historii.

Podobnie jak dwa poprzednie również trze-ci *manifest targowicki* został wymyślony w stolicy Rosji i ogłoszony w pierwszym miasteczku, które rosyjska władza raczyła uznać za polskie – nazywało się ono Chełm. Podobnie jak w roku 1920, również i w 1944 manifestu nie podpisywał rząd tylko nader dziwaczne ciało – Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Rząd miał się z tego zrobić póź-niej. Przewodniczącym PKWN był Edward Osóbka Morawski, który jeszcze przed wojną, jako młody działacz PPS wślwił się intrygu-

jąc niską inteligencją; zastępcami – Wanda Wasilewska i głupszy brat Wincentego Wi-tosa – Andrzej. W rzeczywistości Osóbka pełnił rolę, do której nadawał się najlepiej, to znaczy listka figowego. Faktyczną wła-dzę namiestniczą sprawowali starzy i nowi agenci, dziwnym trafem – przeważnie na tę samą literę: Bierut, Berman, Borejsza... W tym namiastkowym rządzie gospodarką i finansami rządził niejaki Heneman, resor-tem bezpieczeństwa Radkiewicz, resortem pracy i zdrowia – Drobner, odszkodowań – Sommerstein, informację i propagandę otrzymał Jędrzychowski, który pełnił podobną rolę co Goebbels, tylko o wiele gorzej. Takich pajaców było jeszcze paru, najważniejszym, ale do czasu był kierownik resortu obrony – „Rola – Żymierski” – agent zwerbowany jeszcze przed wojną (jego nazwisko umiesz-czam w cudzysłowie, bo ów „Rola” nazywał się Łyżwiński, ale to znów inna historia...).

Nim owych nowych rządców puszczo-no na tereny przyznane Polsce, musieli najpierw w Moskwie podpisać zgodę na piąty rozbiór i tzw. „Linię Curzona”, to znaczy wyrzec się Wilna, Grodna, Lwowa i ponad połowy Polski. Poza tym PKWN podpisał zdradziecką umowę o brater-skich stosunkach między dowództwem Armii Czerwonej a administracją polską. Najważniejszy jej punkt przyznawał Ro-sjanom jurysdykcję na „zapleczu frontu” – to znaczy praktycznie w całym kraju. Powołując się na tę umowę bracia Rosjanie mogli bezkarnie mordować i wywozić do łagrów tysiące Polaków z „wyzwalanych” przez siebie terenów. Skądinąd warto za-uważyć, że robili to również wcześniej i bez tej umowy na całych polskich Kresach.

Popatrzmy jeszcze na *Manifest PKWN*. Na początku znalazło się dla niepoznaki o walce z Niemcami, następne jednak hasła nawią-zywały do hasel poprzedniej Targowicy,

a czasem je przebijaly serwilizmem. Manifest uznawal za zrodlo wladzy bierutow-ska KRN, co oznaczalo delegalizacje Rządu RP na uchodźstwie, zapowiadala likwidacje wlasnosci ziemskiej bez odszkodowan, co oznaczalo likwidacje stanu szlacheckiego – a wiecej warstwy narodo- i kulturotworzej. Autorzy *Manifestu* wspomnieli dyskretnie o kontroli panstwa nad gospodarka – co zapowiadalo nacjonalizacje i kolchozy. Pod publiczke dodano zdanko o przejeciu majatkow poniemieckich – jak sie w przyszlosci okaże ich wlasicielem mial zostac naród, czyli w praktyce – partia. PKWN przyznal sobie tez prawo do organizowania sily zbrojnej – podobnie jak za czasow poprzedniej Targowicy Rosjanom zalezalo na polskim miesie armatnim. Armia Krajowa zostala wiecej zdelegalizowana.

Trzecia Targowica ustanowila tez kilka smiesznych praw – miedzy innymi, na wzór hitlerowcow nakazala oddac mieszkancom „Lubelskiej” Polski radioaparaty i wprowadzala cenzure nie tylko gazet, ale nawet prywatnych listow. Nie znaczy to, ze wprowadzany wóczas ustroj byl „smieszny”, jak usiluja to nam wmowic jego wyrafiniowani obrońcy. Przede wszystkim nie smieszne byly ludzkie kosza wprowadzania tego ustroju. Wbrew pozorom wlasnie ta trzecia komunistyczna Targowica byla najbardziej krwawa. Do konca wrzesnia 1944 aresztowano ponad 100 tys. AK-owcow i osob cywilnych. Oficerow w wiecejnosci zeslano do lagrow lub rozstrzelano, szeregowcow wcielono do armii Berlinga, badz – w przypadku oporu – takze wsadzono do wiezien. Do 1956 roku liczba aresztowanych, wywiezionych i pomordowanych w wiezieniach przeciwnikow ustroju przekroczy pol miliona, ale nie wyprzedzamy biegu tych ponurych zdarzen.

W marcu 1945 roku porwani zostali do Moskwy czlonkowie podziemnego Rządu Rzeczypospolitej. Proces odbywal sie w dniach 18-21 czerwca, zakonczyl bezprawnymi wyrokami od 4 miesiecy do 10 lat wiezienia. Wysokosc wyrokow mogla byc zreszta niska, i tak bylo wiadomo, ze niektorzy skazani nigdy z tych wiezien nie wyjdą. Dowódca AK Leopold Okulicki i min. Stanislaw Jasiukowicz zostali wykonczeni na Butyrkach, Delegat Rządu RP na Kraj, Jan Stanislaw Jankowski – we Włodzimierzu nad Kłazmą. Przewodniczacy Rady Jednosci Narodowej, socjalista Kazimierz Puzak wrócił z Moskwy... i zostal wykonczony w PRL-owskim wiezieniu w Rawiczu.

W czasie, gdy w Moskwie konczyl sie „proces 16”, komunistyczna Targowica dokonywala rekonstrukcji swoich wladz. 28 czerwca 1945 roku stary agent Boleslaw Bierut powolal oficjalnie Tymczasowy Rząd Jednosci Narodowej. Premierem



zostal oczywiscie Osóbka, wicepremierami: Stanislaw Mikołajczyk, który poklócil sie z londyńczykami i „wybrał wolnosc” oraz Władyslaw Gomułka. Ten ostatni nadawal sie na swoje stanowisko glownie ze wzgledu na wyksztalcenie: byl czeladnikiem slusarskim. Obecność Mikołajczyka, który samowzawnczo reprezentowal „demokratyczna emigracje” troche psuje klarownosc obrazu. Nie wiadomo, czy premier Osóbka byl nadal figowym listkiem a Mikołajczyk tym, co pod listkiem byc powinno, czy odwrotnie. Los „nawnego cwaniaka” (jak ktos trafnie nazwal Mikołajczyka) przypominat troche los Kollataja, który takze probowal zalapac sie na Targowice i ktoremu takze to nie za dobrze wyszlo: obaj musieli emigrowac. Z tym ze Kollataj wyjezdzial wygodnie kareta; w jego wyjezdzie dopatrywano sie nawet protestu moralnego, a Mikołajczyk spieprzal po kryjomu, podobno w beczce ze sledziami, co – jesli nie jest prawdziwe, na pewno jest dobrze wymyslone. Swoich

wspolpracownikow zostawil na pastwe bezpieki, ktora za jego ucieczke wziala na nich brutalny odwet.

Analogii mozna dopatrzyc sie takze miedzy losami Bieruta i krola Stanislaw. Obydwaj byli agentami umieszczonymi na najwyzszych stanowiskach, obydwoj na nie cięzko pracowali – Stasio dogadzajac Katarzynie, Bolcio – inaczej nieco – Stalinowi. Obydwaj superagenci pod koniec zycia udali sie do stolicy kraju, który byl ich prawdziwa ojczyzna. Stasiowi pozwolono nawet poprowadzic poloneza na balu koronacyjnym cara Pawla w roku 1796... Wyprawa moskiewska Bieruta w roku 1956 nie byla tak atrakcyjna i skonczyla sie bardziej pechowo: zamiast tanczyc musial wysluchac referatu Chruszczowa. – Serce starego komunisty tego nie wytrzymalo...

I juz zupełnie na zakonczenie: z trzech Targowic ostatnia miala najlepsza opinie. Pierwsza dorobila sie tylko jednego Dyzmy Bończy, druga zadnego – stąd chyba mizerny wplyw w spoleczeństwie; trzecia natomiast tylu, ze do dzisiaj trudno ustalic, czy na tytul Czerwonego Dyzmy zaslugiwal najbardziej przedwojenny agent, prymus kursow NKWD – kapitan Lucjan Szenwald, czy moze przedwojenny cenzor Lewin czy tez kurduplowaty Ważyk. W miare umacniania sie wladz na targowickim dworze pojawialo sie coraz wiecej coraz to lepszych poetow. Nie braklo wzród nich ani awangardzisty Przybosia, ani Skamandrytów Tuwima i Slonimskiego, ani przyszłych noblistów, Milosza i Szymborskiej, ani... Doprawdy, latwiej byloby wyliczyc poetow, którzy do tej Targowicy nie wstapili! Te zabawe zostawiam jednak Czytelnikom. Sobie zostawiam prawo do pointy. Niech beda nia slowa Norwida z niedokonczonej rozprawki z 1871 roku: „Znicestwic zadnego narodu nikt nie podola, bez wspoldzialania obywateli tegoz narodu”.

BOHDAN URBANKOWSKI ■



Wanda Wasilewska i gen. Zygmunt Berling na terenie obozu w Sielcach nad Oką, 1943. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

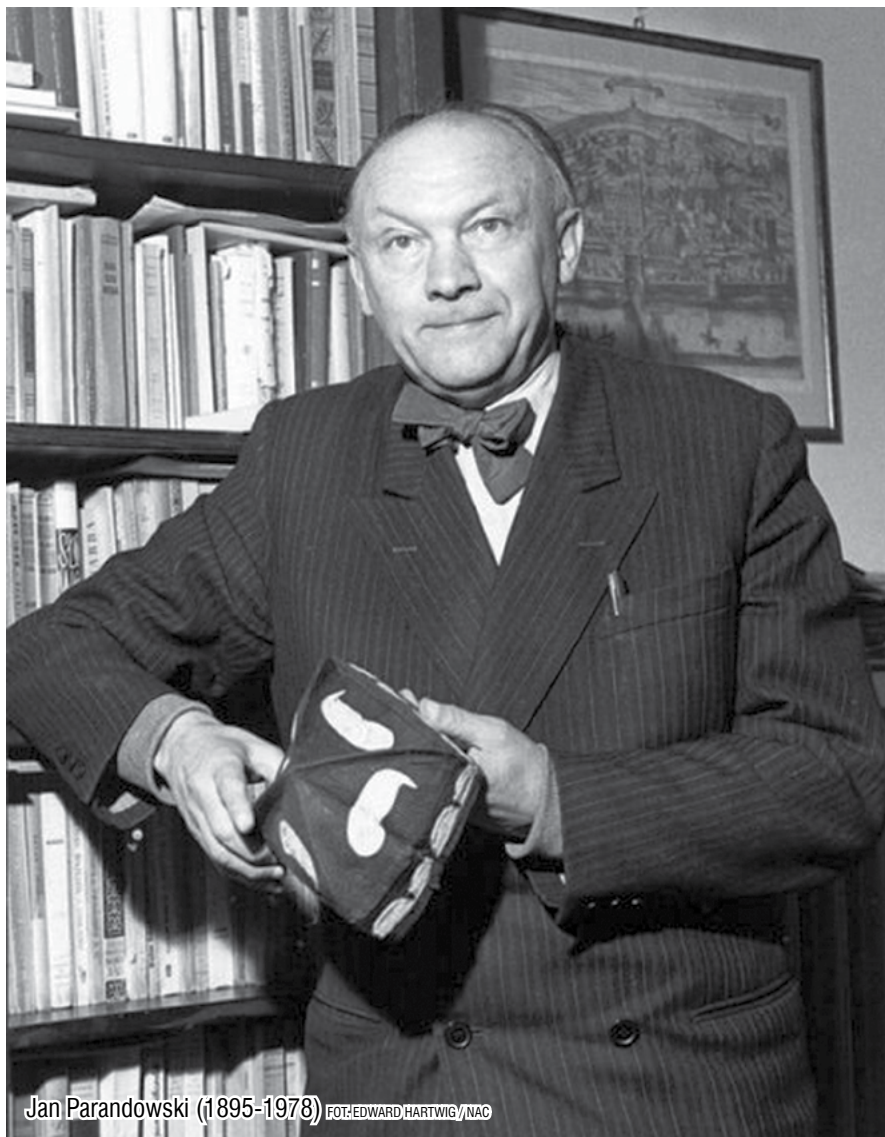
Kapłan klasycznego piękna cz.2

■ KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI



Druga wojna światowa była wielkim cywilizacyjnym aktem barbarzyńskiej negacji dotychczasowego dziedzictwa kultury śródziemnomorskiej, w której zbawcze moce i niezastępowalne niczym wzorce i wartości Parandowski wierzył najgłębiej. Szczególnie wierzył w niepodważalność klasycznego piękna, które śladem Platona stawiał na szczycie aksjologicznej tablicy obok prawdy i dobra. I wierzył, że literatura i sztuka po to istnieją, aby je ludziom dawać. Teraz w obliczu totalnej negacji wszelkich podstawowych humanistycznych wartości, czyż piękno, zwłaszcza klasyczne, a więc to, któremu na imię ład, proporcja, harmonia, nie ujawniło się jako najbardziej anachroniczny relikwitu dawnych epok zabłąkany jedynie siłą inercji dziejów i tradycji w nasze rozdzierane dysharmonią czasy?

W istocie w naszych czasach nie mówi się wiele o pięknie. Zepchnięto je do lamusa bezużytecznych pojęć, włączono w krąg słów niemodnych, a nawet wstydliwych. Ale ta powszechna niewiara w niezwykłą i niezastępowalną niczym wartość piękna nie udzieliła się bynajmniej Parandowskiemu. On pozostał nadal jego apologetą, choć może nie tak już pewnym siły swojego głosu i postawy, jak w młodości, gdy pisał apologię Oskara Wilde'a – koryfeusza estetyzmu oraz idei życia naśladowującego sztukę. Znamienne są jego słowa wypowiedziane tuż po wojnie o zadaniach literatury: „Literaturze przypadnie jedno z pierwszych miejsc w odbudowie naszego świata. To ona musi zwrócić słowom ich treść, rzeczom ich właściwe nazwy” (J. Parandowski, *Literatura a współczesność*, Lublin 1946. Przemówienie wygłoszone 24 czerwca 1945 r. na uroczystej akademii zorganizowanej przez Towarzystwo Naukowe KUL z okazji dorocznych Dni Uniwersyteckich). Zatem musi spełnić doniosłe funkcje moralne. Ale nie wolno jej rezygnować z tego, co jest jej zasadniczym powołaniem, czyli z piękna, bo jeśli ma ona jakąś moc działania moralnego, to jedynie dzięki niemu właśnie. Dlatego też żywił Parandowski nadzieję, że oczyściwszy język z narzuconego mu kłamstwa przyjmie ona w siebie piękno i podobnie jak cała sztuka „odzyska swoje czyste prawa i znów, jak tyle razy w dziejach, kształtować będzie dusze ludzkie” (Tamże).

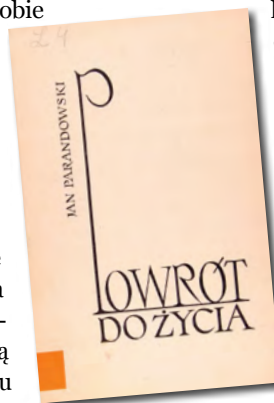


Jan Parandowski (1895-1978) FOT: EDWARD HARTWIG / NAC

I tak, gdy ogromna większość współczesnych twórców kultury zdecydowanie odeszła od klasycznych ideałów harmonii, lub przynajmniej w nie zwątpiła, on stał się ich strażnikiem. I jest w swojej postawie tak odosobniony jak kapłan wygasającej religii. Ale żaden kapłan, ani żaden wierzący człowiek, nie uzależnia nigdy wartości i słuszności swojej religii od liczby jej wyznawców, wyobraża ją sobie bowiem jako osadzoną na podstawach absolutnych. Absolut zaś istnieje – ex definitione – nawet wówczas, gdy nikt o nim nic nie wie. Parandowski, jak się wydaje, bliski był takiej wiary w piękno i w autonomiczne prawa sztuki. Wierzył, że ma ono samo w sobie rację istnienia. Ci, którzy je odrzucają czy omijają, tracą je po prostu

nie ujmując mu niczego z jego wspaniałości i bytu. Oto współczesny platończyk!

Ta niezłomna postawa estetyczna implikująca siłą rzeczy wiarę w zbawczą moc stylu artystycznego (jako że sztuka ma swoje „czyste prawa”) kosztowała, jak się zdaje, tego pisarza jeden mniej udany utwór. Jest nim *Powrót do życia* – powieść z czasów okupacji pisana przez kilka lat z przerwami i wydana ostatecznie w 1961 roku. Tutaj mimo wszystko nie na wiele się zdał wspaniały i tylekroć wypróbowany styl autora. Rzeczywistość okupacyjna zbyt daleko przekroczyła granice wrażliwości moralnej tego pisarza oraz jego wyobraźni tak troskliwie ukształtowanej na wizjach słonecznej Hellady, a także granice możliwości jego stylu. Ten styl nawykły



do opisywania i wyrażania rzeczy pięknych lub takich, które dają się na piękno przemienić w czarodziejskim tyglu słowa poetyckiego, okazał się bezsilny w przedstawieniu szerszego wycinka rzeczywistości okupacyjnej. Stworzył on rzecz zupełnie wyjątkową i jedyną w naszym piśmiennictwie o tematyce wojennej – sielankę. Gwoli ścisłości należy dodać: sielankę dramatyczną.

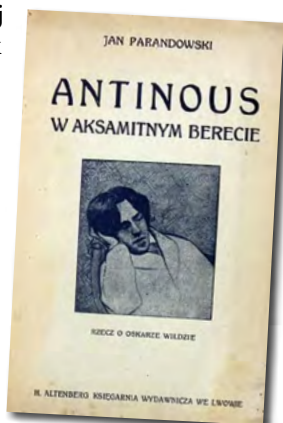
Cenniejszy jest inny jego utwór zrodzony z wojennych doświadczeń: zbiór czter-

nastu niewielkich opowiadań, a raczej szkiców *Wrześniowa noc* (1962). Nie w prozie fikcjonalnej, lecz eseistycznej pióro Parandowskiego odzyskało swoje możliwości. Na kartkach tej niewielkiej objętościowo książeczki rzeczywistość wojenna i okupacyjna występuje w formie

obrazów przeprowadzonych przez filtr refleksji historiozoficznej i antropologicznej.

Sceny i obrazy z życia okupacyjnego pojawiają się w swojej surowości, aby zazwyczaj rozwinąć się od razu w tok uogólniających rozważań. Jedno z opowiadań pt. *Popioły* mówi o spalonym w czasie Powstania Warszawskiego domu pisarza. Rzeczowy i jakby reporterski zrazu opis przechodzi niepostrzeżenie w rytm trenu, przybiera ton requiemu. Jest to *requiem* dla tego miejsca, z którym człowiek może zrosnąć się tak głęboko, że jego utratę i zagładę odczuwa jak naruszenie własnej osobowości. Ów dom staje się symbolem wszystkich przedmiotów zrodzonych z mozolnej pracy rąk i umysłu człowieka, symbolem dorobku cywilizacyjnego, które w chwilach szaleństwa może z tak wielką łatwością obrócić się w popiół. Cała zresztą książka przeniknięta jest jakimś żalobnym tonem. Są w niej nuty skargi na los tak dla naszego narodu niełaskawy. Ale nie ma w niej pesymizmu. Jarosław Iwaszkiewicz pisał, że styl Parandowskiego

stał się tu „jeszcze bardziej przejrzysty i klarowny, język zaś nabral krystalicznej czystości, a zdanie przebiega i układa się jak w klasycznej prozie Cezara” (*Rozmowy o książkach*, Warszawa 1968, s. 79). Nic dziwnego! Parandowski podczas okupacji tłumaczył Cezara (Historię tłumaczenia *Wojny domowej* Juliusza Cezara opowiada Parandowski w szkicu pt. *Nad*



Nagrody miasta stołecznego Warszawy na 1933 rok; Jury nagrody literackiej. Widoczni m.in. prof. Józef Ujejski (1. z lewej), prezydent Warszawy Zygmunt Słomiński (2. z lewej), wiceprezes Rady Miejskiej w Warszawie Stanisław Wilczyński (3. z lewej), sekretarka Janina Żochowska (4. z lewej), pisarz Jan Parandowski (5. z lewej), publicystka Izabela Moszczeńska-Rzepecka (1. z prawej), literat Ignacy Baliński (2. z prawej), dramaturg Adolf Hertz (3. z prawej), krytyk literacki Emil Breiter (4. z prawej). FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Cezarem, w: *Dzieła wybrane*, jw. t. III, s. 194-205; zob. Juliusz Cezar, *O wojnie domowej*, tłum. i wstęp Jan Parandowski, Warszawa 1951).

Wróćmy teraz do czasów młodości pisarza. Pośród jego juveniliów znajdujemy obszerny esej o Oskarze Wilde *Antinous w aksamitnym berecie* (Lwów, 1921). Postać Wilde’a zafascynowała Parandowskiego bardzo wcześnie. Już w 1913 roku przełożył jego dramat *Salome*, a w dziewięć lat później opublikował o jego autorze powyższy esej. Ukoronowaniem zainteresowań i poważnych studiów nad tą postacią stał się *Król życia* wydany we Lwowie w 1930 roku. Dzieło to

krytyka natychmiast zestawiała z najlepszymi osiągnięciami europejskimi w dziedzinie wie romancée. George Harjan określa je w swojej monografii jako poemat prozą i odnosi się doń z entuzjazmem (G. Harjan, *Jan Parandowski*, New York 1971, s. 32-37).

Utwór ten na ogół zalicza się do gatunku powieści biograficznej, która tak bujnie rozkrzewiła się w latach 20. i 30. wieku XX, ale on nie całkiem mieści się w tym ty-

pie. Autora bowiem interesują nie tyle fakty biograficzne, co wartości reprezentowane przez bohatera. Mamy więc tutaj w pewnym stopniu do czynienia z esejem, a nie tylko z klasyczną wie romancée. Parandowskiego

zainteresowała filozofia życia i sztuki wyznawana przez Oskara Wilde’a, ów estetyzm, którego twórcą właściwym był inny pisarz angielski – Walter H. Pater. Wspierał się on na dwóch przesłankach. Pierwsza głosiła beznadziejność życia ludzkiego, druga natomiast wskazywała sztukę jako najwyższą formę terapii egzy-

stencjalnej. Wniosek z nich płynął między innymi taki, że sztuka i piękno powinny stać się celem życia, aby miało ono jakąkolwiek wartość. Sztuka zatem w tym ujęciu sytuuje się, jak gdyby ponad życiem i staje się jego normą, wzorem. Nie ona ma naśladować życie, lecz życie powinno naśladować ją. Oskar Wilde wyrażał te zasadnicze idee nie tylko w swoich utworach, lecz przede wszystkim w sposobie życia. Z niebywałą konsekwencją kreował swoje życie na wzór dzieła sztuki.



Ciąg dalszy na s. 62 ►



Otwarcie nowego lokalu PEN Clubu i Związku Zawodowego Literatów Polskich w Warszawie przy ulicy Pierackiego 16a; uczestnicy uroczystości, widoczni m.in.: minister Wojciech Świątosławski, prezes Jan Parandowski, wiceminister Władysław Korsak, dyrektor Władysław Zawistowski, Ferdynand Goetel, Maria Kunciewiczowa, 1936 FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWÉ

► Ciąg dalszy ze s. 61

I to, zdaje się, najbardziej zafascynowało Parandowskiego. Spróbował on zatem wnikliwie prześledzić dzieje tego osobliwego eksperymentu. Sam żywił zawsze przekonanie, że piękno jest wartością autonomiczną i sztuka stanowi odrębny świat o własnych prawach. To go niewątpliwie zbliżało do poglądów Wilde'a. Jednak nie przypuszczał, jak zasadnicze różnice mimo tych podobieństw zachodzą między jego a stanowiskiem pisarza brytyjskiego. Parandowski bowiem nawet w okresie wczesnej młodości, która upłynęła mu przeciw w atmosferze hasła: „Sztuka dla sztuki” – nie wynosił sztuki ani piękna na szczyt hierarchii wartości, a jedynie śladem Greków stawiał je obok dobra i prawdy. Tymczasem Wilde uczynił z hasła estetyzmu W. Patera nową religię, w której bogiem było piękno, a źródłem i kryterium tego, co dobre, wyrafinowany smak artystyczny.

Ta wyszukana ideologia podporządkowująca etykę estetyce nie mogła liczyć na inne niż efemeryczne trwanie, a i to tylko w wyrafinowanych salonach arystokratycznych. W zetknięciu z surową rzeczywistością wiktoriańskiej Anglii jej kapłan musiał złożyć ofiarę z własnego kapłaństwa. Stracił to, co było najbardziej podstawowym warunkiem praktykowania tej ideologii – wolność osobistą i majątek. Życie w ciężkim więzieniu przez dwa lata dostarczyło mu doświadczeń, które pozwoliły – przynajmniej do pewnego stopnia

– zrewidować słuszność dotychczasowego sposobu życia i światopoglądu. Ale tylko do pewnego stopnia. Oskar Wilde bowiem nigdy nie wyrzekł się całkowicie cech intelektualnego dandysa. Nigdy naprawdę nie ukorzył się przed rzeczywistością, która do praw estetycznych stosuje się tylko sporadycznie i raczej niechętnie.

Książka Parandowskiego jasno oświeśla dzieje życia Oskara Wilde'a i tło społeczne, na którym się poruszał. Barwnie opowiada o jego ekscentrycznej młodości, następnie o czasach największego powodzenia, gdy



był absolutnym dyktatorem i kapłanem mody w arystokratycznych salonach, a jego komedie świeciły niebawale triumfy. Wreszcie mówi o początku klęski wytwornego dandysa – o poznaniu przezeń lorda Alfreda Douglasa i wysublimowanej, lecz postrzeganej wówczas jako grzeszna do niego miłości. Na koniec proces i więzienie. Wnikliwy badacz twórczości J. Parandowskiego – wspomniany już

kanadyjski badacz Georg Harjan – zauważa analizując formę książki, jak zmienia się styl i tempo jego prozy w zależności od fazy przedstawionego życia bohatera (Tamże, s. 35-36).

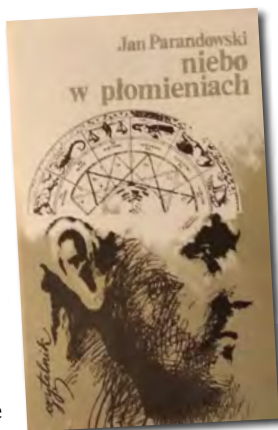
Dzieło to niewątpliwie zawiera i pochwałę sztuki, i piękna, i krytykę bezdusznej zmieszczającej społeczności oddanej w służbę trywialnego pragmatyzmu. Ale można je także potraktować jako dyskusję z programem skrajnego estetyzmu oraz rozprawę z taką moralną postawą, którą reprezentował Wilde. W co najmniej takim samym stopniu można widzieć w nim literacki dokument biografii intelektualnej samego Parandowskiego. Wszystko, co przed tą książką napisał na temat Wilde'a, było jego apologią, bezkrytycznym zachwytem. Ta młodzieńcza fascynacja nie opuściła go także i teraz. Ale nie była już tak silna, aby mu nie pozwolić ujrzeć drugą – ciemną – stronę zjawiska. Parandowski pokazuje na przykładzie Wilde'a granice eksperymentu ze sztuką i pięknem. I zdaje się taką wysuwać myśl: granicą wolności sztuki i granicą wszelkich z nią eksperymentów jest moralność. Tę ideę można też uznać za rdzeń samowiedzy pisarskiej i programu artystycznego Jana Parandowskiego.

Petrarka powstał w latach 50., w trzydzieści bez mała lat po *Królu życia*. Jest to książka o życiu i epoce wielkiego poety włoskiego *quattrocenta*. Włochy i ich kultura, zwłaszcza renesansowa, stanowiły główny obok antyku przedmiot zainteresowania i kultu Jana Parandowskiego.

Książka ta stanowi niewątpliwie tego świadectwo. Wprawdzie nie dorównuje Królowi życia blaskiem znakomitej narracji, misternością kompozycji, zróżnicowaniem nastrojów i tempa akcji – tu proza toczy się w jednostajnym przeważnie tempie adagio – jednakże jej walory artystyczne mimo to są wysokie. Autor osiąga w niej szczyt szlachetnej prostoty i może dlatego, że, jak sam mówi w *Alchemii słowa*: „prostota niełatwo daje rozpoznać swój wdzięk, ponieważ go ukrywa” (Warszawa 1976, s. 225), dzieło to na pozór, ale tylko na pozór może wydać się mniej efektowne od najlepszych utworów Parandowskiego.

Pisząc je unikał – jak we wszystkich podobnych przypadkach – gotowych opracowań i szukał tylko bezpośrednich świadectw o Petrarce, jego własnych pism i dokumentów z jego epoki. Napisane z większym niż w Królu życia dystansem wobec swego bohatera pozbawione zostało tego żaru i narracyjnej pasji, które esej o pisarzu brytyjskim przemieniły w porywającą powieść. Petrarka nie może uchodzić za powieść. Jest przede wszystkim pięknym esejem, choć jak na ten gatunek obszernym.

Niebo w płomieniach wydane po raz pierwszy w 1936 roku w Warszawie spełnia zasadnicze warunki powieści obyczajowo-psychologicznej. Należy zaś do tych dzieł pisarza, z którymi na stałe zrosło się jego nazwisko.



Była to nawet jedna z najgłośniejszych polskich powieści w okresie międzywojennym. Opowiada o dziejach przygody intelektualnej młodego chłopca – ucznia przedostatniej klasy gimnazjum. Miejscem akcji jest Lwów, a jej czas rozciąga się na ostatnie dwa lata przed wybuchem I wojny światowej. Taka lokalizacja akcji spowodowała lawinę przesadnych recenzenckich domysłów, iż mamy tu do czynienia z ukrywaną autobiografią. Owa przygoda zaś to załamanie się wiary religijnej pod wpływem przyswojenia sobie elementów tzw. światopoglądu naukowego.

Z niezwyklej maestrią narracyjną i świetną erudycją w zakresie zarówno znajomości treści światopoglądowych XIX-wiecznych nauk przyrodniczych jak i ówczesnego religioznawstwa – zwłaszcza w jego filologicznych wersjach – prowadzi

Parandowski swojego bohatera od początkowego zwątpienia spowodowanego przypadkową lekturą *Życia Jezusa* Ernesta Renana poprzez etapy innych lektur i dalszych zwątpień w słuszność religii objawionej, aż do ukształtowania się w nim światopoglądu laickiego. Dla dzisiejszych czytelników, którzy mieli możliwość poznać egzystencjalistyczną, psychoanalityczną i marksistowską krytykę religii z jednej strony, z drugiej zaś współczesne kon-

książce spór między racjami religijnymi a racjami naukowymi może się słusznie wydać sporem anachronicznym. Jego rangę intelektualną i autentyczne napięcie zmniejsza fakt, iż przedstawiona tu religijność, którą traci bohater, podobnie jak religijność jego środowiska, jest nader płytką formą tej specyficznej świadomości ludzkiej – przejętą biernie siłą tradycji, nigdy na nowo nie przemyślanej, ani głęboko przeżytej, zaś ateizm – to znów owoc miałości, ale bardzo zarozumiałej filozofii ukształtowanej na podstawach XIX-wiecznego modelu nauk przyrodniczych, którą nazywa się scjentyzmem.

Zachodzi jednak pytanie, czy Parandowskiemu w ogóle szło o rozstrzygnięcie tych ściśle religijnych kwestii. Zdaje się, że nie to było zamierzonym celem książki. Ten był o wiele skromniejszy intelektualnie. Autorowi szło raczej, jak się wydaje, o oddanie umysłowej atmosfery ostatnich dni epoki XIX-wiecznej, która jako określona formacja kulturowa, jak wiadomo kończyła się dopiero wraz z pierwszymi wystrzałami wojny w 1914 roku. Chodziło mu o odtworzenie z pamięci obrazu Lwowa i Galicji tamtych lat, w których upłynęło jego dzieciństwo i młodość. Celem więc była tu rekonstrukcja tego kawałka świata, który minął przybrawszy uprzednio skończone kształty zagwarantowane potęgą polityczną Świętego Przymierza, potęgą pewnej siebie i jakby nieznającej własnych granic nauki oraz siłą tradycyjnej skonwencjonalizowanej religijności. Czas akcji jest tu bardzo znaczący: 1913-1914. Czytelnik książki śledząc w niej niepokoje intelektualne młodzieńca, oglądając obrazy Lwowa i galerię świetnie scharakteryzowanych typów galicyjskich widzi to, czego nie mógł widzieć nikt z tamtego świata tak pewny jego bytu i trwałości – widzi jak świat ten przesuwa się gwałtownie w przepaść czasu, jak historia toczy się prawami ironii.

Niebo w płomieniach, choć mówi niemalże o czasach współczesnych, zrodziła ta sama w istocie postawa dokumentalisty, historyka i archeologa, która powołała do istnienia tyle innych dzieł opowiadających o dalekiej przeszłości tak jak o czymś najbardziej bliskim i drogim. Jest ono także książką o kraju lat dziecinnych, o utraconym czasie. Jest próbą przezwyciężenia w sobie poczucia tej straty, próbą przywrócenia czasu minionego, minionych zdarzeń i ludzi. I może dlatego tę rzeczywistość, o której opowiada, traktuje z tak dużą dozą ciepła, wyrozumiałości i humoru, że przypomina w tym *Pana Tadeusza*.



Jo Ammers-Kueller (1884-1966), powieściopisarka holenderska podczas pobytu w Polsce w towarzystwie prezesa PEN Clubu Jana Parandowskiego na Dworcu Głównym w Warszawie, 1937. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Ciąg dalszy na s. 64 ►

► Ciąg dalszy ze s. 63

Tak więc wątek religijny i psychologiczny, choć na pewno ważny, a dla konstrukcji akcji nawet najważniejszy, w świetle całościowej wymowy dzieła traci swój bezwzględny prymat (zagwarantowany choćby tytułem książki). Powieść zresztą ujawnia strukturę wyraźnie polifoniczną zachowując zasadniczą równowagę przynajmniej trzech wątków: osnutych na tle intelektualnej przygody Teofila, na tle życia jego urzędniczej rodziny oraz na tle życia szkolnego. Łącznie tworzą one organiczną wzajemnie przenikającą się całość.

Pełnym światła i ciepła dla opisywanego świata jest także *Zegar słoneczny* (wydany w Warszawie w 1953 roku) – zbiór autobiograficznych opowiadań z dzieciństwa. Stanowić on może poniekąd komentarz do wspomnieniowej części *Nieba w płomieniach*. Widzimy tu znowu ten sam Lwów oglądany oczami dziecka i ucznia gimnazjum. Widzimy świat, który odszedł do przeszłości, a jednak jakoś istnieje podtrzymywany w swym bycie pamięcią. I wydaje się, że ontologiczno-psychologiczne pytanie o to, czym jest czas i co znaczy, że istniejemy w czasie, rozpina się nad kartami tej urzekającej książki jak cień tajemniczego ptaka nad słoneczną leśnią ziemią.

Oto fragment refleksji, która nasunęła się autorowi, gdy patrząc na małego synka bawiącego się w „szalas Robinsona” pamięcią przywołał swoje minione dzieciństwo i w myśli zespolił je z dziejącym się teraz, ale odchodzącym przecież z każdą chwilą do przeszłości dzieciństwem syna: „Cóż wiemy o czasie? Czy w istocie w jego strumieniu jest wczoraj i jutro? Czy też jedna chwila bieżąca, nad którą pochyleni widzimy swoje odbicie, zbratane w płowym blasku czerwcowego słońca – ojciec i syn, dwaj chłopcy owiani tą samą baśnią?” (*Zegar słoneczny*, w: *Dzieła wybrane*, jw., t. II, s. 663).

Istnienie człowieka jest jak rzeka – choć wiecznie mija, przecież zachowuje swą tożsamość. Jedynie prawo jakiegoś wyższego paradoksu chce, aby naturalnym mieszkaniem człowieka był czas, czyli coś, czego on nigdy w istocie nie zrozumie. Ale może go przynajmniej ośwoić i zatrzymać. A w tym, zdawałoby się, nadludzkim wysiłku jakże pomocna staje się sztuka. Ona bywa namiastką wieczności. Najpierw sztuki plastyczne opanowały czas i w malowidłach skalnych rozpoczęło się „misterium trwania”. Największym



Jan Parandowski z żoną Ireną (1. z lewej) i Barbarą Koszutką, Berno 1960

FOT. ARCHIWUM MUZEUM LITERATURY

jednak wynalazkiem człowieka okazało się pismo. Ono bowiem mogło zatrzymać słowo – „dźwięk przelotny; bezkształtny i niewidzialny”. Słowo zaś umożliwia człowiekowi opanowanie przestrzeni i czasu.

Ono wyodrębniło przedmioty z chaosu zjawisk, dało im kształt i barwę [...]. W nim ocknęły się zdarzenia, chwile, godziny, lata, czas terazniejszy, przeszły i przyszły (zob. *Alchemia...*, s. 139).

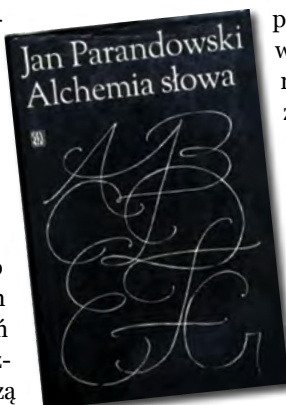
Literatura, która jest sztuką słowa, istnieje po to, aby zatrzymać czas w jego niszczącym biegu. Można powiedzieć ogólniej: nie tylko literatura i pozostałe rodzaje sztuki, lecz cała kultura jest swoistą pamięcią gatunku ludzkiego, w której zachowuje się w specyficznej formie to, co minęło ze świata realnego. W niej uśpiony czas przestaje być żywiołem śmierci i zniszczenia, a więc przestaje być czasem po prostu. Kultura to wielki dar bogów, albo lepiej: największy to dar, jaki człowiek sobie samemu ofiarowuje – wieczna cząstka wieczności.

Takie myśli nasuwają się przy lekturze wielu utworów Parandowskiego. Ale najdobitniej wypowiedziane zostały w *Alchemii słowa*. Dzieło to można z powodzeniem nazwać sumą doświadczeń intelektualnych i artystycznych pisarza. Nie jest rzeczą

łatwą powiedzieć już dziś z całą pewnością, czy najlepszą część twórczości Parandowskiego stanowi eseistyka sensu stricto, czy też utwory na poły eseistyczne, na poły zaś powieściowe lub nowelistyczne. Osobiście skłaniałbym się wyraźnie do uznania tych drugich za cenniejsze, gdyby nie... *Alchemia słowa*. Książka ta o objętości 15 arkuszy wydawniczych składa się z 13 rozdziałów stanowiących zupełnie samodzielne eseje, które jednak w połączeniu dają wielki organicznie scalony esej, stanowią bowiem całość tematyczną.

Wcale zresztą nie jest łatwo określić ściśle ten temat. Tytuły poszczególnych rozdziałów niezupełnie stosują się do mieszczącej się pod nimi treści. Z grubsza więc tylko biorąc mówi się w tej książce: o różnych rodzajach motywów, które skłaniają do pisarskiej działalności; o życiu pisarzy – jak bywa różnorodne; o ich pracowniach i dziwactwach; o słynnym i osławionym natchnieniu i roli pracy, uporu i cierpliwości w dochodzeniu do wybitnych rezultatów; o tajemnicach rzemiosła literackiego, o sławie i nieśmiertelności, o roli kobiet w życiu i twórczości

pisarzy itd. Są też tematy jakby wzięte z rozpraw naukowych, jak np. o stylu i o sławie, z którego zaczerpnęliśmy ostatnie cytaty i myśli o sztuce i literaturze. Żadne wyliczenie nie odda tu istotnej zawartości treści tej książki. To, co rozważa, wkracza w różne dziedziny nauki – w psychologię (a nawet fizjologię!) twórczości, biografistykę, teorię i socjologię literatury, historię kultury,



estetykę, językoznawstwo. Zżywał się na nią pewien uczony literaturoznawca (chodzi o prof. Konrada Górskiego, zob. jego recenzję *Alchemii słowa*, „Znak”, 1952, nr 59), że zawierając tyle uczoności, napisana jest wysoce nienaukową metodą. Żałował, że tyle wiedzy i mądrości i tyle pięknego słowa rozprasza się niepotrzebnie w nieuporządkowanym wedle reguł tekstu naukowego toku narracji. I ów profesor miał rację.

W istocie książka ta nie jest dobrym traktatem naukowym. Wprawdzie autor, jak zwykle, z kartezyjską jasnością wyklada tu swoje myśli, ale nigdy nie nadaje im konsekwentnego rygoru *Medytacji* francuskiego filozofa. Bliższa w formie byłaby już *Myślom* Pascala, gdyby te nie były tak luźno rozsypane i pozbawione toku jednolitej narracji. Na pewno formą najbardziej zbliża się do *Prób* Montaigne’a. Rzeczy trudne, skomplikowane podaje w formie gawędy i dlatego ludzi pozbawionych smaku literackiego, odpowiedniego dystansu do spraw naukowych, ludzi przeceniających wartość akademickiego stylu i naukowych ustaleń w humanistyce, może oburzać jej pozorna niefrasobliwość.

Jej osobliwością jest to, że mówiąc cały czas o literaturze, o dziełach i pisarzach, ani na moment nie przestaje sama być autentycznym dziełem sztuki literackiej. Myślę nawet, że można ją nazwać arcydziełem w swoim rodzaju. A stworzył ją Parandowski korzystając z listów, pamiętników, własnych wspomnień, z biografii pisarzy, relacji ich przyjaciół i bliskich znajomych. Zamieszczony na końcu indeks obejmuje bez mała pół tysiąca nazwisk pisarzy (w szerokim tego słowa znaczeniu) europejskich, a także pozaeuropejskich od początku istnienia znanych nam literatur. Przy czytaniu tego dzieła utrwalić można w sobie myśl, że literatura nie zna granic w doborze tematów.

Cały wszechświat jest niewyczerpanym tworzywem literackim. „W zjawiskach, wrażeniach, wyobrażeniach, pojęciach, uczuciach znajduje literatura swój materiał, czerpie go również z filozofii i nauki, a nawet z samej siebie” (zob. *Alchemia...*, jw., s. 170).

Właśnie *Alchemia słowa*, z której ta myśl pochodzi, jest żywym i wspaniałym przykładem takiego autotematycznego wcielenia. Jest ukoronowaniem eseistyki Parandowskiego i eseistyki polskiej. Ale można ją czytać traktując jak powieść, której bohaterem jest literatura, a narratorem pisarz – powieść o bogatej polifonicznej strukturze, która wchłonęła w siebie esencję doświadczeń sztuki pisarskiej, erudycji i mądrości autora (Jakub Z. Lichański

pisze o *Alchemii słowa*, że „ma dla nas taką wartość, jaką dla Rzymian miał Cy-ceroński dialog *O mówcy*”, zob. *Wtajemniczenia i refleksje. Szkic monograficzny o Janie Parandowskim*, Łódź 1986, s. 117. I dalej: „to zrealizowane – przynajmniej w części marzenie Parandowskiego a także Irzykowskiego o przedstawianiu historii literatury jako historii problemów ukazane w specyficzny sposób – od strony warsztatu”, tamże, s. 118).

Na zakończenie zastanówmy się raz jeszcze nad estetyką Parandowskiego. Przypatrzmy się cytowanemu już fragmentowi *Alchemii*, w którym autor mówi o potędze słowa. Na czym ona polega? Słowo „wyodrębniło przedmioty z chaosu zjawisk, dawało im kształt i barwę [...]”. W nim ocknęły się zdarzenia [...], czas teraźniejszy, przeszły i przyszły”. Czy moce kreacyjne słowa, a i całej sztuki, są tak wielkie, że mogą powoływać do istnienia to, co nigdy nie istniało w jakikolwiek sposób? Nie! Słowo aż takich kompetencji nie ma. Jemu wolno jedynie „wyodrębnić przedmioty z chaosu zjawisk”, dawać im na nowo kształt. Zatem funkcja jego wyczerpuje się i ogranicza do ocalania tego, co jest lub było realne. Obowiązuje je pokora wobec rzeczywistości i zakaz sztucznego poszerzania dotychczasowego inwentarza bytów. To ważne zastrzeżenia. Wspierają się one na przekonaniu, iż byt jest doskonały, a więc nie wymaga poprawek. Cokolwiek doń wprowadzilibyśmy nowego, zepsulibyśmy go, bowiem to, co doskonałe, nie znosi żadnych zmian. – To są milczące założenia ontologiczne wszelkiego realizmu.

W nich także znajduje swoje uzasadnienie program estetyki klasycystycznej głoszący idee ładu, porządku, harmonii w sztuce. Władysław Tatarkiewicz rozważając zagadnienie piękna w historii estetyki formułuje tezę tzw. Wielkiej Teorii, która harmonię i symetrię czyni istotą piękna. Jej źródło i uzasadnienie widzi w odpowiednich poglądach ontologicznych Greków: „Wielka Teoria od swych pitagorejskich początków była daleka od zewnętrznego formalizmu: jej zwolennicy w liczbach widzieli głębokie prawo natury, zasadę bytu” (zob. W. Tatarkiewicz, *Dzieje sześciu pojęć*, Warszawa 1975, s. 148). Parandowski realizuje oba te programy jednocześnie.

Ich pełna zasadność ontologiczna jednakże możliwa byłaby tylko wówczas, gdyby słuszne były dwie główne przesłanki jednocześnie: pierwsza, że byt jest istotnie harmonijny, druga, że sztuka

powinna stosować się do praw bytu, rzeczywistości. Ponieważ jednak przesłanka pierwsza nosi charakter twierdzenia ontologicznego, a nie empirycznego, zaś druga jest po prostu postulatem, wobec tego ostateczne i gruntowne uzasadnienie owego programu estetycznego wydaje się raczej trudem beznadziejnym.

Ale słuszności klasycyzmu realistycznego nie trzeba wcale dowodzić ontologicznymi metodami. Wystarczą dowody psychologiczne i socjologiczne. O ile Parandowski w czasach swojej młodości aż do II wojny światowej gotów był wierzyć w ontologiczną zasadność swojego klasycystycznego programu, to później wystarczały mu argumenty prostsze. Można by je wyrazić tak: niezależnie od tego, jaka w swojej istocie jest rzeczywistość, czy rządzi ją prawa harmonii, czy rozdziera ją wewnętrzna sprzeczność, sztuka

winna zawsze stosować się do praw ładu, umiaru, porządku, jasności, bowiem istnieje ona na to, aby ludziom dawać szczęście w postaci pięknych przedmiotów i związanych z nimi przeżyć. Te zaś trudno wyobrazić sobie inaczej, niż w tych właśnie kategoriach. I powinna jeszcze wychowywać człowieka, usposabiać go

do tego, co dobre. Dobre zaś nie może wynikać z chaosu i ciemności, bowiem w istocie swojej jest ich zaprzeczeniem.

Każda estetyka wyraża doświadczenia lub dążenia epoki, prądu, grupy, szkoły artystycznej, wreszcie poszczególnego artysty. Trudno jednak o taką, którą mogliby wszyscy przyjąć jako własną. Być może nigdy takiej w historii nie było. Ale przez całe wieki trwania kultury i sztuki europejskiej klasycyzm rozumiany przynajmniej jako szacunek dla tradycji i wzorów przewijał się stale. Dopiero w naszych czasach nastąpił jego upadek. Czy ostatecznie? – nie nam o tym wyrokować.

Kiedyś do wielkiej odwagi należały akty sprzeciwu wobec niego, wobec tradycji. Dziś jest odwrotnie. Na odwagę zasługuje ten, kto głosi jego aktualność i nieśmiertelność, a zwłaszcza ten, kto w praktyce artystycznej go stosuje. Takim twórcom należy się szacunek choćby ze względu na ich odwagę – tym większą, że z reguły połączoną z samotnością. Kto wie, czy w naszych czasach trawionych pożeraniem nowości, przewrotnie rozumianej oryginalności, nie ci właśnie twórcy są najbardziej oryginalni? Do nich należy zaliczyć Jana Parandowskiego.

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI ■





FOT. © JOANNA MIKLASZEWSKA / TWŁ



Muzyką i obrazem

IRENEUSZ ST. BRUSKI



Opera *Chopin*, której premiera odbyła się w Teatrze Wielkim w Łodzi, powstała z wielkiej sympatii i uznania dla muzyki wielkiego polskiego kompozytora. Jej twórca – Włoch Giacomo Orefice swoją partyturę oparł w całości na muzyce Fryderyka Chopina, jego postać stała się też inspiracją dla libretta autorstwa Angiola Orvieto, a samo nazwisko Polaka – tytułem opery.

Światowa prapremiera *Chopina* miała miejsce w mediolańskim Teatro Lirico, prawie 120 lat temu – 25 listopada 1901 roku – i była wyraźnym sukcesem tego ciekawego, lirycznego dzieła scenicznego. Polska premiera odbyła się trzy lata później, w 1904 roku, w Warszawie.

Opera stwarza okazję wielbicielom muzyki F. Chopina do skonfrontowania się z całkowicie nową i odmienną jej interpretacją. Zatem na łódzkiej scenie możemy doświadczyć swoistego operowego eksperymentu, w którym muzyka fortepianowa zostaje przełożona i przetranskrybowana na język opery, na brzmienie siedemdziesięcioosobowej orkiestry. To bezprecedensowa próba w muzyce „transkrypcji chopinowskiego *rubato* na operowe *bel canto*” – podkreśla kierownik muzyczny spektaklu Adam Banaszak.

Opera *Chopin* stanowi luźny, poetycki życiorys naszego największego kompozytora zaprezentowany na scenie. Wszystkie postaci oprócz Chopina, w którą podczas łódzkiej premiery wcielił się Paweł Skałuba, są całkowicie fikcyjne, a sam przebieg operowych zdarzeń jedynie sugeruje pewne obrazy z życia wielkiego Polaka. Akcja, ujęta w czterech aktach, toczy się kolejno



Od lewej: Dariusz Stachura, Emilia Sadowska i Wojciech Siudmak FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

w mroźny wieczór wigilii Bożego Narodzenia na wsi w pobliżu Warszawy, następnie w kwietniowy dzień w willi ukochanej Flory pod Paryżem, aby następnie przenieść się na Majorce, do opuszczonego klasztoru Kartuzów i wreszcie zakończyć się jesienią w paryskim domu, gdzie Chopin umiera.

Łódzki spektakl oparto na swoistych kontrastach. Oprócz scen, kiedy pojawiają się wszyscy artyści, chór, tancerze i soliści, są również sceny kameralne, w pewien sposób intymne, o których reżyser opery Hanna Marosz powie, że dzięki nim „niejako wjeżdżamy Chopinowi kamerą w twarz, w oczy, gdzie możemy przyjrzeć się jego emocjom”.

Ta przepiękna, pełna czułości opowieść oparta na życiu i niepowtarzalnej muzyce Fryderyka Chopina, została urozmaicona popisami wokально-aktorskimi. Partie w języku włoskim wykonali: Iwona Socha (miłość Chopina Flora), Patrycja Krzeszowska (siostra Chopina Stella), Mariusz Godlewski (przyjaciół Elia) i Grzegorz Szostak (Mnich). Pięknie na scenie zaistniało dwoje dzieci oraz jeszcze jedna postać – która nie wyśpiewała ani jednego słowa ale gestem i mimiką wypowiedziała

wszystko – Babcia Gracji, w którą wcieliła się Ewa Karaśkiewicz, przed laty pierwsza solistka Opery Bytomskiej (1970-1982), później Teatru Wielkiego w Łodzi.

Premierę poprzedzono recitalem pianisty Łukasza Krupińskiego, zwycięzcy VII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego w San Marino, finalisty Międzynarodowego Konkursu im. Ferruccio Busoniego w Bolzano, jednego z najlepszych pianistów XVII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina. Recitalowi, na którym wybrzmiały utwory Chopina, towarzyszyły obrazy wybitnego polskiego artysty Wojciecha Siudmaka w wizualizacjach Emilii Sadowskiej. Ponadto wernisaż grafik tego artysty tworzących w Paryżu, specjalnie stworzonych do *Nokturnów* wielkiego kompozytora, odbył się w foyer podczas tego premierowego wieczoru.

W kolejnych obsadach spektaklu mogliśmy zobaczyć: Annę Wierzbicką (Flora), Aleksandrę Borkiewicz (Stella), Łukasza Motkowicza (Elio) i Roberta Ulatowskiego (Mnich), natomiast w roli Chopina - pianisty oprócz Łukasza Krupińskiego, wcieliło się także dwóch laureatów XVIII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina – zdobywca drugiego miejsca Alexander Gadjiev oraz finalista Hyuk Lee. Nie sposób nie wspomnieć także, wprawdzie oszczędnej w swoim wyrazie ale niezwykle podkreślającej akcję, scenografię Zuzanny Markiewicz oraz choreografii i ruchu scenicznego dopracowanego przez Jacka Przybyłowicza.

Opera Giacomo Orefice, jak i wszystkie wydarzenia skoncentrowane na muzyce i obrazie, które towarzyszyły jej wystawieniu 1 października na deskach łódzkiej sceny operowej, stanowiły o wyjątkowości pierwszej premiery jubileuszowego – 55. sezonu artystycznego Teatru Wielkiego w Łodzi.



Wernisaż rysunków Wojciecha Siudmaka w foyer Teatru Wielkiego w Łodzi FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Wszystko zaczęło się w Warszawie

CZ. 4

■ BOŻENA KOCIOŁKOWSKA



Miłość zawsze jest ryzykiem. Często, angażując się w nią, nie dostajemy w zamian tyle, ile byśmy oczekiwali... Miłość umiera zaś z powodu braku podstawowej lojalności między ludźmi. Sztuką jest nie robić tego, czego nie chcielibyśmy doświadczyć od swojego partnera.

Miłość jest fundamentem związku, to znaczy taka, która opiera się na trosce, wzajemnej odpowiedzialności i dbaniu o siebie. Tu jest miejsce na pożądanie, bliskość – dają one możliwość przekra-

czania wszelkich granic. Seks to bardzo ważna życiowa siła.

Poczuciem własnej wartości jest wolność, ale wolność nie w sensie nihilizmu, mówiąca fałszywie, że wszystko nam wolno, że możemy postępować z partnerem, jak tylko chcemy, a on z nami może czynić to samo. Wolność powinna się wiązać z odpowiedzialnością za tę drugą osobę, głównie zaś za jej uczucia. Szanując swojego partnera, chcemy dać mu wolność wyboru. Doceniamy jego indywidualność, jego wkład w nasze życie. Nie modelujemy go jednak na swój obraz i podobieństwo, nie podporządkowujemy sobie. Bo jeśli wszystko ma być takie samo, to po co mielibyśmy być ze sobą?... Nie powinno się

wyrządzać sobie nawzajem najmniejszych przykrości. Dobrze, kiedy towarzyszy nam poczucie humoru, które czasem rozładowuje codzienne napięcia. Użycie tej broni przeciwko stresowi, zniechęceniu i zdenerwowaniu bywa często ozdowieńcem.

Każdy ma swój bogaty świat, pasje oraz talenty, które wnoszą do związku. Ważne jest imponowanie sobie nawzajem. Partnerstwo polega na tym, aby wspierać się w trudnych chwilach, a nie tylko świętować wzajemne sukcesy.

Miłość to nasz własny świat intymności, tylko nam znany, który codziennie pielęgnujemy. Uczymy się każdego dnia przystosowywać do siebie. Bardzo ważne jest spotkanie drugiego człowieka, z którym można patrzeć w jednym kierunku.

Moja Muza powiedziała, że są to tylko marzenia. No cóż, pomarzyć można, marzenia bowiem nic nie kosztują.

Zawód tancerza obraca się wokół wyrzeczeń, jakie trzeba ponieść, uprawiając tę dziedzinę sztuki. To ciężka praca, odpowiedzialność i poświęcenie. Jeśli kogoś nie stać, by płacić taką cenę, to z pewnością nie ma on czego szukać w naszym baletowym zawodzie.

Moje życie osobiste, choć tak bardzo urozmaicone, naprawdę nigdy nie chciało się ułożyć. Potrzeba miłości tkwi w kobiecie przez całe życie. Trudno się z nią uporać. Muza mówiła mi: „Tyś chyba oszalała, chciałaś mieć wszystko! Pan Bóg jest sprawiedliwy. Pragnęłaś tylko adoracji i podziwu. Zobaczysz, że w przyszłości, kiedy staniesz już poza sceną, będzie ci trudno uwolnić się od swojego ja”. Niestety – miała rację. Bo żeby funkcjonować poza sceną, trzeba

Bożena Kociółkowska jako Aegina w *Spartakusie*, 1968

FOT. © ARCHIWUM TW-ON



się bezwzględnie pozbyć własnego ego. Ślub to deklaracja odpowiedzialności za problemy. Kobiety niezależne tłumią w sobie konieczność ślubu. Do czasu, kiedy pojawi się potrzeba potomstwa. Jeśli oczywiście taka łaska może kobietę spotkać.

Wiem to taniec stał się celem mojego życia. Moje zmysły zaczęły budzić się około trzydziestki. Nie umiem jednak ujarzmić słów, zmusić do posłuszeństwa, by wyraziły myśli i uczucia, tak szybko galopujące przez moją świadomość. Wszystko, co piszę, wydaje mi się wciąż podszyte banałem. Słowa tłoczą się w głowie, jak ludzie na dworcu, lecz w chwili, gdy chcą je utrwalić – umykają.

Moje życie uczuciowe nie należało do najprostszych. Może moje oczekiwania były zbyt wygórowane? Dzielilo się na tę część osobistą i tę, która płynęła do mnie ze strony miłośników mojej sztuki. Kiedyś wielbiciel napisał: „Chylę się do Pani nóg i całuję pył pod Jej stopami” – piękne i romantycznie, ale w życiu nie można być ciągle pochylonym i nie widzieć drogi przed sobą. Był też Romeo, który przyszedł do mnie przez balkon, a potem bał się wrócić do domu, bo tam, o czym nie wiedziałam, czekała na niego żona. Poznałam też rycerza, po którym po latach pozostała tylko zbroja. Byłam w długim związku ze wspaniałym człowiekiem, prawym, oddanym mi i uczuciowym. Nazywał mnie: Bożku, Bożulku, Boża, Bożeniątko. Niestety, tzw. choroba filipińska (nazywano ją też pomrocznością jasną) zatruli nasz związek, odbierała mi radość życia przez prawie osiemnaście lat. Nie było szans na rozkwit tego związku. To psychiczne maltretowanie mnie zakończyło się rozstaniem, potem zaś on przeniósł się niebawem do wieczności.

Czy nie próbowałam ułożyć sobie życia dalej? Tak, oczywiście próbowałam, ale nie spotkałam już tej wymarzonej miłości. Zdobyłam za to wspaniałą przyjaźń! Przyjaźń, której życzyłabym każdemu człowiekowi. Ta przyjaźń trwała trzydzieści osiem lat i była niezawodna. Poznałam Przyjaciela, na którego zawsze, ale to zawsze mogłam liczyć. To było więcej niż miłość. Niestety, kilka lat temu i on odszedł. Znalazłam się w punkcie wyjścia. Jestem sama, choć nie samotna. Mam sztukę, lecz, rzecz jasna, to już nie to samo.

Wszystko zależy od tego, co uznamy za priorytet w życiu. To właśnie determinuje nasze postępowanie. Dom, rodzina, miłość, czułość w związku, chęć bycia pożądanym. Jeśli tego brakuje – pojawia się inna alternatywa. Miłość opajająca rozum, nie zawsze zaspokaja zmysły. Ale nie ma nic od niej piękniejszego. Móc kochać i być kochanym to najpiękniejszy dar, jaki może otrzymać człowiek. To piękne uniesienie, które powinien przeżyć każdy.



Praca na scenie była jednym z najpiękniejszych okresów mojego życia. Dziewięć lat nauki zawodu i dwadzieścia sześć lat pracy na scenie pozostawiły niezatarte wspomnienia. Dzisiaj, przeglądając ślad mej pracy pozostawiony w recenzjach, staje jak żywy obraz tamtych dni.

Czas spędzony w teatrze to lata, w których artysta może spotkać fantastycznych ludzi, twórców baletu, kolegów, ciekawych partnerów, z którymi przyjdzie mu pracować, zatańczyć tak różnorodne role prezentowane widzom w kraju i za granicą. To czas radości, ale też czas porażek. To świat, który jest odbierany przez artystę, widza i krytykę baletową. Jest też częścią obrazu rozwoju całego naszego baletu w określonym czasie. I wreszcie stanowi częstkę historii, wpisującą się w cały ciąg wydarzeń, związanych z rozwojem sztuki tańca w Polsce i kultury w ogóle.

Na obraz sceniczny składa się wiele czynników. Wyszukanie artysty, jego talent, choreografia, scenografia, muzyka, rola,

jaka się otrzymuje, partnerzy, z którymi się tańczy, teatr, w jakim się tańczy, krytyka wreszcie, która to wszystko opisuje. I myśli, pytania – czy artyście uda się stworzyć kreację, która przejdzie do historii?... Jak trudne to zadanie dla krytyków oraz recenzentów, dzięki którym zdarzenie artystyczne czy rola artysty ma szansę zostać zauważona i opisana dla przyszłych pokoleń? Od recenzenta wymaga się wielkiej fachowości w wielu dziedzinach sztuki, rzetelności i prawdy historycznej oraz obiektywnej. Właśnie ten fakt jest bardzo podważany przez twórców i wykonawców każdej sztuki. Stoimy w tych zmaganiach na dwóch brzegach rzeki, która wciąż płynie.

Krytyka baletowa nie zastanawia się nad zjawiskiem kultury tanecznej. Szczególnie w naszym kraju nie ma prawdziwych profesjonalistów, potrafiących zdiagnozować czy przepowiedzieć tendencje rozwijającego się bardzo dynamicznie tańca. W polskiej prasie nie ma miejsca na takie myśli, nie ma też ludzi, którzy mogliby je formułować. Kiedyś zapytałam uznaną znajomą dziennikarkę, dlaczego nie opisuje zjawisk baletowych, jakie przynosi współczesny rozwój tańca? Odpowiedziała mi: „O, na tym trzeba się znać, a do życia potrzebny jest tylko fakt prasowy”. Nic dodać, nic ująć...

Ten stan (i fakt) powoduje, że wiele zjawisk artystycznych znaczących dla kultury zostało pominiętych bądź niesłusznie zapomnianych. A gdzie opis zachodzących przemian w sztuce tańca w kraju i na świecie, dorobku ich liderów, gdzie prognozy i opisywanie nowych trendów?... Na świecie jakoś sobie z tym problemem radzą. U nas można często przeczytać – oprócz kilku informacji na temat faktów historycznych – wzmiankę, że artysta „udźwignął rolę” lub też dla odmiany, że jej nie udźwignął.

Spróbujmy razem trochę pomarzyć, zamknąć oczy i pomyśleć o pięknie chwili, kiedy na widowni gasną światła, odsłania się kurtyna, zaczyna grać orkiestra i nagle wchodzimy w magiczny świat sztuki tańca.

BOŻENA KOCIOŁKOWSKA ■

Teatr Wielki w Warszawie, około 1965

FOT. © TADEUSZ HERMAŃCZYK / FOTOPOLSKA.EU



Najważniejsza jest dobra PUENTA



FOT. © MICHELLE HASWELL

■ ANNA MENDAKIEWICZ



Według słownika języka polskiego puenta, oznacza: „krótkie, często dowcipne, podsumowanie jakiejś wypowiedzi lub utworu literackiego” (*Słownik języka polskiego PWN*). W języku francuskim puentę określa się słowem *pointe*, które oznacza nie tylko podsumowanie wypowiedzi, ale również m.in. punkt, koniuszek, czubek oraz usztywnione baletki (*pointes*). W kolejnym odcinku cyklu *Z notatnika tancerki* zajmę się tematem związanym z pointami, które pomagają artystkom wspinać się na czubki palców.

Pointy

Pointy to profilowane, najczęściej ręcznie wykonywane obuwie, którego usztywnione czubki ułatwiają tancerkom stanie na palcach. Ideą przyświecającą powstaniu tych filigranowych pantofelków była chęć stworzenia iluzji, iż tancerki – imitując istoty nieziemskie – unoszą się w powietrzu. Dzieło pt. *Sylfida* stworzone w 1832 roku przez Filippo Taglioniego rozpoczęło nie tylko nowy rozdział w dziejach baletu – tj. przepełniony zjawami – romantyzm, ale również „erę pointową”.

Wówczas na scenie jako Sylfida – nieziemska zjawia – ukazała się Maria Taglioni, która dzięki niezupełnie jeszcze twardym pointom latała niczym duch. Od tamtej pory tancerki ciężko pracują nad wzmocnieniem i uelastycznieniem swoich stóp w taki sposób, aby móc stabilnie stawiać kroki taneczne na czubkach palców, prezentując wypracowane latami podbicia stóp. Aktualnie istnieje szeroki wybór rodzajów point z możliwością dopasowania

ich: twardości, szerokości, czy np. koloru do indywidualnych potrzeb tancerki.

Krzywa linia

...to rozpaczliwa próba ominięcia przeszkód. Znamy winowajców... Chodzą słuchy, iż w niektórych teatrach może się zdarzyć, że pointa tancerki na zawsze ugrzęźnie w szparach bezlitosnej (obnażającej wszystkie niedoskonałości) sceny. Pod plastikiem znajdują się deski, które pod wpływem wielu czynników, np. ciężaru dekoracji, rzadkiej konserwacji oraz obrotowej funkcji sceny, ulegają deformacji.

Znalazłam wytłumaczenie dlaczego bywa, iż „rysunek linii” utworzony przez tancerki na niektórych scenach nie zawsze jest idealny. Winne są dziury, które muszą być przez tancerki sprytnie omijane. To

jest często wielka sztuka, gdyż nie wszystkie szpary są nam znane. Te nowe pojawiają się jakby „zniechacka” np. po premierze opery z kilkunetonową scenografią. Czy ktoś może załatać te dziury? Po co? Przecież trzeba jakoś zatrzymać tancerzy na scenie do tej późnej emerytury, w związku z opóźnieniem wieku emerytalnego tancerzy...

Zatem wybaczymy „krzywość tej linii”, to tylko rozpaczliwa próba (w razie ugrzęźnięcia pointy wraz z nogą tancerki) uniknięcia pozostania do sześćdziesiątki w szparze na tej „bezlitosnej” scenie.

Tu pojawia się pytanie: czy teatry nadal będą tak często odwiedzane, jeśli faktycznie nad sceną będą „unosić się w powietrzu” sześćdziesięcioletnie Sylfidy w filigranowych, usztywnionych pantofelkach? Wygląda na to, że żadna puenta czy pointa tutaj nie pomoże. ■

■ Z archiwum polskiego baletu

Sylfidy – *Les Sylphides*

Balet *Sylfidy* miał swoją premierę 23 listopada 1975 roku na małej scenie Teatru Wielkiego w ramach wieczoru choreografii Michaiła Fokina (razem z *Le spectre de la rose* i *Karnawalem*). Inscenizacja została następnie wznowiona na dużej scenie 25 marca 1981 oraz 8 kwietnia 2000 roku z okazji 50. rocznicy śmierci Wacława Niżyńskiego. W ramach „Gali Niżyńskiego” została zestawiona z choreografiami *Gry* i *Święto wiosny*. Muzyka: Fryderyk Chopin
Choreografia: Michaił Fokin
Scenografia: Andrzej Kreütz Majewski



FOT. © JANUSZ MILCZAKOWSKI / TW-ON

Realizacja baletu: Jarosław Piasecki
Premiera: Teatr Wielki - Opera Narodowa w Warszawie, Sala Moniuszki, 8 kwietnia 2000
Na zdjęciu: Beata Więch – Pierwsza solistka, Sławomir Woźniak – Poeta, Anita Kuskowska – Solistka ■

Perły Tańca 2021

Tancerz, pedagog, choreograf, ambasador kultury polskiej w Japonii – Wiesław Dudek – został tegorocznym laureatem „Perły Tańca”, nagrody przyznawanej przez Fundację na rzecz Sztuki Tańca. Nagrodę otrzymują twórcy za całokształt pracy artystycznej, w tym za szczególne zasługi na polu sztuki tańca, wybitne kreacje artystyczne, pracę choreograficzną i pedagogiczną oraz skuteczną działalność na rzecz popularyzacji baletu w Polsce i na świecie.

Wiesław Dudek ukończył Państwową Szkołę Baletową im. Feliksa Parnella w Łodzi w 1996 roku; był laureatem Fundacji Balet w Szczecinie na „Najlepszego absolwenta szkół baletowych w Polsce 1996”. Jest tancerzem o niezwykle bogatym dorobku artystycznym. Występował w wielu miejscach świata (Dominikana, Meksyk, Kanada, USA, Brazylia, Japonia, Hiszpania, Rosja, Italia, Słowenia, Austria, Grecja). Współpracował z wybitnymi choreografami międzynarodowego formatu, m.in. M. Bejartem, J. Neumeierem, U. Scholzem, K. Mac-Millanem, J. Cranko, a także z największymi światowymi zespołami baletowymi (m.in. Teatr Bolszoi w Moskwie, K-Ballet w Tokio, Królewska Opera w Sztokholmie). Tańczył główne role w Teatrze Wielkim - Operze Narodowej w Warszawie; jako pierwszy solista w Teatrze Wielkim w Łodzi, w Stuttgart Ballet w Stuttgarcie i Staatsballet w Berlinie. Ponadto jest jurorem międzynarodowych konkursów i warsztatów tanecznych dla młodzieży; pedagogiem Węgierskiej Akademii Tańca i Opery w Budapeszcie. Od 2015 roku mieszka i pracuje w Tokio, gdzie założył rodzinę z wybitną baleriną japońską Shoko Nakamurą.

Od 2016 roku lat tworzy projekt „Młody Duch Tańca”, który już dwukrotnie zrealizował na japońskich scenach, a w Polsce już po raz czwarty. Wykonawcami projektu są młodzi artyści ze szkół baletowych Polski i Japonii. Podczas tegorocznej edycji zaprezentowano spektakl nawiązujący do obchodów 100. rocznicy przybycia do Japonii polskich dzieci syberyjskich, faktu mało znanemu w Polsce. Inspiracją spektaklu *Dzieci syberyjskie* – w re-



żyserii Wiesława Dudka z choreografią Zofii Czechlewskiej i Krystyny Frąckowiak – była prawdziwa historia o 900. polskich dzieciach repatriowanych z Syberii i Mandżurii do Japonii w latach 1919-1923. Spektaklem tym organizatorzy, chcieli wyrazić podziękowanie za ten wspaniały gest ze strony Japonii.

Nagrodę w postaci statuetki rzeźby „Tancerka. W hołdzie polskiemu artyście baletu” oraz symboliczny czek wręczono laureatowi 3 września br. w Teatrze Wielkim - Operze Narodowej, podczas warszawskiej premiery projektu „Młody Duch Tańca 2021”.

BK, AS ■



Szanowni Państwo, wielbiciele sztuki tańca, drodzy Dyrektorzy: Teatru Wielkiego - Opery Narodowej, Teatru Muzycznego w Łodzi oraz Chorzowskiego Centrum Kultury, drodzy widzowie IV edycji MDT, moi wspaniali uczestnicy IV edycji, cały best TEAM MDT, Stowarzyszenie Pro-Arte, oraz wszyscy którzy pomagali nam przy projekcie.

Chciałbym Wam wszystkim bardzo podziękować, iż mimo wielu trudności jakie nas napotykały, udało nam się wspólnymi siłami w niespełna dwa tygodnie stworzyć niezapomnianą IV edycję MDT oraz

stworzyć unikalny w skali światowej, wyjątkowy spektakl o Dzieciach Syberyjskich!

Bez naszej determinacji oraz zaangażowania każdego z nas w 100 proc. wiem, że byłoby to niemożliwe. Razem możemy więcej!

Chciałbym również podziękować Fundacji na rzecz Sztuki Tańca oraz jej Prezes Pani Bożenie Kociołkowskiej i Wiceprezesowi Panu Wiesławowi Dąbrowskiemu za uhonorowanie mnie nagrodą-statuetką „Perły Tańca”, „za całokształt pracy artystycznej, w tym za szczególne zasługi dla sztuki tańca, wybitne kreacje sceniczne, pracę pedagogiczną oraz skuteczną działalność na rzecz popularyzacji baletu w Polsce i na świecie”. Przeogromnie dziękuję (tak się składa, że w tym roku obchodzę 25-lecie pracy artystycznej, tym bardziej chylę czoła).

Osobiście czuję potrzebę dzielenia się zdobytą wiedzą i doświadczeniem z młodym pokoleniem, to w nich drzemie duch tańca, którego trzeba obudzić, rozwijać i pielęgnować, a przede wszystkim w nich wierzyć i dać im szansę.

Dziękuję za wsparcie finansowe naszego projektu Ministerstwu Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu oraz Narodowemu Instytutowi Muzyki i Tańca bez którego nie byłoby możliwe kontynuowanie tego wspaniałego projektu.

Dziękuję mojej Uczelni, Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi, za gościnność i udostępnienie sali baletowej.

W przyszłym roku planowana jest jubileuszowa V edycja MDT, na którą już dzisiaj Państwa zapraszam tradycyjnie na przełomie sierpnia i września 2022 roku.

WIESŁAW DUDEK ■

Historia Dzieci Syberyjskich



FOT. © PAWEŁ AUGUSTYNIAK / AUGUSTYNIAK FOTOGRAFIA

■ ELŻBIETA MENDAKIEWICZ



Spektakl w reżyserii Wiesława Dudka *Dzieci syberyjskie* jest wzruszającą impresją baletową w choreografii Zofii Czechlewskiej, Krystyny Frąckowiak i Wiesława Dudka zainspirowaną prawdziwą historią blisko 900. polskich dziewcząt i chłopców repatriowanych z Syberii i Mandżurii w latach 1919-1923.

Dzieci były potomstwem Polaków zesłanych na Syberię wskutek skomplikowanych losów naszego narodu: zesłańców politycznych, uchodźców wojennych, emigrantów zarobkowych pracujących przy budowie Kolei Transsyberyjskiej.

Po wybuchu rewolucji październikowej sytuacja polskich rodzin uległa pogorszeniu. Dzieci utraciły najbliższych, stabilizację,

poczucie bezpieczeństwa, domy. Musiały stać czoła nędzy i chorobom. Zostały odarte z nadziei na poprawę losu, wizji dobra. Biedne, wyniszczone i bezbronne dzieci potrzebowały natychmiastowej pomocy. Uratowali je Anna Bielkiewicz i doktor Józef Jakóbkiewicz, który powołał Polski Komitet Ratunkowy Dzieci Dalekiego Wschodu i zajął się ich ewakuacją z Rosji do Japonii, gdzie otrzymał wsparcie od rządu Japonii i Japońskiego Czerwonego Krzyża.

W 1921 roku dzieci zostały umieszczone w sierocińcu dobroczynnego towarzystwa buddyjskiego Fukudenkai w Tokio, gdzie otoczono je troskliwą opieką. Chore dzieci były leczone w szpitalu Japońskiego Czerwonego Krzyża. Sytuacja Dzieci Syberyjskich w Japonii budziła szerokie zainteresowanie ówczesnych środków przekazu. W kwietniu 1921 roku polskie dzieci odwiedziła cesarzowa Teimei.

Po pobycie w ośrodku Fukudenkai dzieci zostały przewiezione do Stanów Zjednoczonych, gdzie znalazły się pod opieką tamtejszej Polonii. Podróż została sfinansowana przez stronę japońską. Była to pierwsza w historii pomoc Japońskiego Czerwonego Krzyża dla obcego państwa.

Józef Jakóbkiewicz założył również Zakład Wychowawczy dla Dzieci Syberyjskich w Wejherowie. W 1922 roku Japoński Czerwony Krzyż przeprowadził kolejną akcję ratowania dzieci polskich. Tym razem mali Polacy trafili do Osaki. Po kilkutygodniowym pobycie, podczas którego zostali wyleczeni, odżywnieni oraz wyposażeni w odzież i obuwie, powrócili do Polski.

Polacy pozostali wdzięczni Japończykom za ich serce i konkretną pomoc dla „Syberyjskich Dzieci”. Wielokrotnie pomagali poszkodowanym Japończykom w różnych kataklizmach. Kiedy w 1995 roku miasto



Polskie dzieci w ośrodku Fukudenkai

FOT. © SIBERIANCHILDREN.PL

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI



Kobe dotknęło tragiczne w skutkach trzęsienie ziemi oraz kiedy w 2011 roku region Tohoku we wschodniej Japonii spustoszyło wielkie trzęsienie i tsunami, okazali swoją wdzięczność i solidarność, organizując akcje pomocowe i charytatywne dla poszkodowanych.

Wiesław Dudek – pomysłodawca i główny realizator *Dzieci syberyjskich*, a co najważniejsze ambasador kultury polskiej, prywatnie mąż sławnej na świecie japońskiej tancerki Shoko Nakamury w swo-

jej edukacyjnej międzynarodowej pracy projektowej „Młody Duch Tańca” łączy kulturę polską i japońską w wyjątkowych spektaklach baletowych.

Dzieci syberyjskie to fragment historii, ukazującej połączonych w działaniu dla dobra dzieci, Polaków i Japończyków. To opowieść o bezinteresownej przyjaźni, pomocy, miłości ponad jakimikolwiek podziałami.

Muzyka wybitnych polskich i japońskich kompozytorów (Chopin, Paderewski, Karłowicz, Szymanowski, Wieniawski,

Zukeran, Hirai, Hisaishi, Yamada) w wykonaniu japońskiej pianistki Miho Kurihary i polskiego pianisty Marka Ciepierskiego jest dopełnieniem tego przejmującego obrazu dziecięcej tragedii, marzeń i powrotu do Ojczyzny.

Wiesław Dudek jako realizator spektaklu oraz ojciec kilkunastoletniego syna zrodzonego z polsko-japońskiego związku chciałby, aby cały świat usłyszał, że przyjaźń polsko-japońska ma również mocne historyczne korzenie. ■

MŁODY DUCH TAŃCA

YOUTH SPIRIT OF DANCE • ユース・スピリット・オブ・ダンス



100 rocznica
przybycia
polskich dzieci syberyjskich
do Japonii



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, w ramach programu „Taniec”, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.



FOT. JAROSŁAW KALBA

Szanowni Państwo,
Ogromnie się cieszę, że spektakl Młody Duch Tańca doczekał się już czwartej edycji. Oprócz własnego rozwoju w roli reżysera i menadżera jestem zafascynowany współpracą z młodymi artystami. Sama idea, która narodziła się kilka lat temu dziś daje wspaniałe efekty. Połączenie kultury polskiej i japońskiej w tym projekcie, przynosi nieoczekiwane rezultaty zarówno w sferze artystycznej jak i kulturowej. Pomimo bariery językowej owocuje nawiązaniem przyjacielskiej więzi.

Obserwując rozwój wszystkich uczestników podczas trwania projektu, zauważyłem, że zdobyte doświadczenie zawodowe, które przekazują młodym adeptom daje wspaniałe rezultaty i cieszę się ogromnie, że mogę przyczynić się do rozwoju polskiego i japońskiego szkolnictwa baletowego.

Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi w zrealizowaniu tej edycji. Dziękuję choreografom, pedagogom, współpracownikom, organizatorom i współorganizatorom, a także sponsorom. Dziękuję również uczestnikom za wspaniałą twórczą pracę i niezapomnianą atmosferę. Życzę wszystkim młodym artystom satysfakcji i radości z tego co robią.

Wiesław Dudek

człemuś "Ostoj" Wiesław Dudek

中村 Shoko

Dzieci z Syberii

Na początku lat. 20 XX wieku z Syberii i Mandżurii, przez Japonię, repatriowano polskie dzieci. Osiemdziesiąt ich procent stanowiły sieroty i półsieroty, pozostałe zaś pochodziły z rodzin pozbawionych środków do życia. Repatriacją zajął się Polski Komitet Ratunkowy, założony w 1919 roku we Władywostoku. Pomysł zainicjowali Anna Bielkiewicz i lekarz Józef Jakóbkiewicz. Wkrótce dołączył do nich Karol Zalewski, który później został profesorem fitopatologii.

5 lipca 1920 roku polskie dzieci uzyskały zgodę na wjazd do Japonii. Pierwsza grupa repatriantów odpłynęła z Władywostoku 20 lipca transportowcem Armii Japońskiej *Chikuzen Maru*. Po dotarciu do portu Tsuruga, rankiem 22 lipca, kolejny etap do Tokio pokonali pociągiem. Zamieszkali w sierocińcu buddyjskiego towarzystwa dobroczynności Fukudenkai i w pobliskim szpitalu Japońskiego Czerwonego Krzyża. Tak rozpoczęła się pomoc Japonii dla polskich dzieci...

Kalendarium

1919

16 września powołano Polski Komitet Ratunkowy Dzieci Dalekiego Wschodu (PKRDDW) z siedzibą we Władywostoku. Jego celem było znalezienie polskich sierot na Syberii, które znalazły się w dramatycznej sytuacji po wybuchu rewolucji bolszewickiej.

1920-1921

I transport: Władywostok – Tokio – USA – Seattle

375 dzieci zostało przetransportowanych z Władywostoku do miasta Tsuruga w Japonii. Później zostały umieszczone w Fukudenkai, sierocińcu w Tokio.

1921

6 kwietnia, cesarzowa Japonii Sadako Kujō odwiedziła Szpital Główny Japońskiego Czerwonego Krzyża. W czasie spotkania z dziećmi złamała obowiązujące reguły ceremoniału, dając znak dzieciom, by te zbliżyły się do niej. Spędziła z nimi dużo czasu wypytując jak im się podoba Japonia i życząc im zdrowia. Była to niezwykła wizyta, gdyż w owym czasie małżonki cesarzy bardzo rzadko opuszczały pałac.

IX 1920 - VII 1921

369 dzieci i 27 dorosłych wyjechało do Seattle, a później do Chicago. Za ich pobyt odpowiedzialny był Józef Jakóbkiewicz. Dzieci wspierane były także przez Helenę i Jana Ignacego Paderewskich.



1922

W styczniu dzieci przybyły do portu Brema w Niemczech i zostały przetransportowane pociągiem do Poznania.

1922

II transport: Harbin – Osaka – Gdańsk

Grupa 379 dzieci pokonała tę samą trasę z Rosji, przybывая do Japonii w sierpniu. Tym razem zostali jednak przydzieleni do centrum repatriacji w Osace. Opuścili Japonię w dwóch grupach, szlakiem z Osaki przez Hongkong, Lizbonę i Londyn do Gdańska, 25 sierpnia i 6 września.

1923

III transport: Czyta – Irkuck – Moskwa – Stołpce

Tym razem uratowano 117 dzieci i 14 dorosłych. Podróż rozpoczęła się w Czycie 21 stycznia. Po dziewięciu dniach bezpiecznie dotarli do Moskwy.

1923

Z powodu złych warunków w poznańskich obiektach dzieci syberyjskie zostały przeniesione do Wejherowa. 30 kwietnia

oficjalnie utworzono Zakład Wychowawczy Dzieci Syberyjskich (ZWDS) w Wejherowie.

1929

Niektóre dzieci syberyjskie postanowiły stworzyć organizację – Związek Młodzieży z Dalekiego Wschodu (ZMzDW). Ich celem była wzajemna pomoc, zachowanie tradycji syberyjskich i poznanie Japonii. Szefem ZMzDW był Jerzy Strzałkowski.

Organizacja liczyła ponad 600 członków, powstały pierwsze biura w Warszawie i Wilnie, a także wiele klubów w Białymstoku, Bydgoszczy, Chełmie, Gdyni, Poznaniu i Wejherowie. Większość dzieci syberyjskich po opuszczeniu Wejherowa mieszkała w Warszawie. Rozpoczęli także publikację własnego magazynu „Sybiriak”, którego nazwę zmieniono dwukrotnie w 1938 roku. Ostatni tytuł, „Echo Dalekiego Wschodu”, nawiązywał do magazynu wydawanego przez Annę Bielkiewicz w Tokio. ZMzDW był również bardzo zaangażowany w organizację wydarzeń kulturalnych wraz z Ambasadą Japonii.

Z powodu II wojny światowej Związek Młodzieży z Dalekiego Wschodu został rozwiązany.

Opr. ISB ■

Przodkowie w Japonii...

Poszukujemy osób, których rodzice, dziadkowie lub inni krewni przebywali w Japonii jako Dzieci Syberyjskie.

Znajomi...

Poszukujemy zarówno rodzin dzieci syberyjskich, jak i znajomych tychże rodzin.

Z opowieści...

Czy słyszeliście kiedykolwiek opowieści od Polaków, których korzenie sięgają Japonii? W przypadku posiadania jakichkolwiek informacji prosimy o kontakt. Szczegóły i portal kontaktowy: siberianchildren.pl

Midrasz o Izaaku i Seili

MARZENA

■ BURCZYCKA-WOŹNIAK



Tora (bierzmy z niej przykład) nie wątpi w to, o czym przez swoich autorów, narratorów, redaktorów, kompilatorów – nie lekceważąc przy tym pracy tłumaczy, komentatorów, a także kopistów – od tysięcy lat opowiada. Jeśli nie liczyć (przez grzeczność) pewnych zapożyczeń treściowych i stylistycznych, całą tę literacką krzątanicę rzeszy utalentowanych wrażliwców uznać należy za zjawisko swoiście hebrajskie, niepodobne do krzątanic Egipcjan, Babilończyków, Persów czy Greków.

Utкана ze słów szata Tory mieni się kolorami jak tęcza, mająca tu i tam winkrutowany diament poezji najwyższej próby.

Izaak

Jeśli masz ojca, bój się bogów... Bać się musieli niegdyś młodzi Filistyni i Fenicjanie, nastoletni Egipcjanie, Babilończycy i Asyryjczycy, a też synowie i córki zapóźnionych cywilizacyjnie ludów semickich, które ze zmiennym szczęściem, okresowo zasiedlały starożytny Kanaan i okolice. Wybranych młodocianych (najchętniej pierworodnych) kochający ojcowie wiązali i związanym podcinałi gardła, po czym spalali ich czołobitnie na ołtarzach ofiarnych ku pożytkowi i szczerej radości bogów.

Niejaki Abraham z zapóźnionego cywilizacyjnie aramejskiego szczepu, mający za sobą meandry drogi z Ur w Mezopotamii przez Charan do Kanaanu, symbolicznie zaś – drogi wiodącej z jednej tradycji do drugiej: ze starej, ojcowskiej, chaldeo-terachickiej do nowej, swojskiej, abrahamowej – zatem tenże Abraham syna swojego Izaaka, już związanego i leżącego opodal ofiarnego stosu, nie zabił.

Opowieść o tym, by nie zabijać (nie pierwszą taką i nie ostatnią) Tora cyzelowała kilkaset lat, nadając jej ostatecznie kształt skończonego arcydzieła literackiego.

Seila

Inaczej zgola anizeli z Izaakiem miała się sprawa z Seilą – prześliczną, czarnowłosą, dziewiczą jedynaczką, ukochanym dzieckiem plemennego wodza Izraelitów Jeftego. Tak córkę jak i ojca dotknęła

niewyobrażalna tragedia. Czy ktoś nad nimi zapłakał? Na przykład jeden z tych bliżej nieznanych redaktorów Tory, zbierający dla niej klechdy o przedkrólewskich dziejach wodzów izraelskich (?). Miał też prawo (nadal je ma) zapłakać nad Seilą każdy, kto w obliczu tragedii lubi pytać retorycznie: „A gdzie wtedy był Bóg?”...

Otóż więc, kiedy ziemia kananejsko-palestyńska wraz z życiodajną rzeką Jordan, z Jerozolimą, Jerychem, Hebronem, Sydonem (wszystkie widziane z góry Nebo) przechodziła z rąk jednego ludu w ręce drugiego, spod jednej jurysdykcji wpadała pod drugą, a pogrom gonił na niej pogrom, wtedy to o prawa do wzmiankowanej ziemi i jej dóbr ubiegali się również bogowie: coraz to bardziej popularny Bóg Izraela Jahwe, plasujący się tuż za Nim Kemosz (bóg Moabu), następnie Milkom zwany też Molochem (bóg Ammonitów) i wreszcie – *last but not least* – Kausa (bóg Edomu).

Walki o ziemię rozstrzygają – przecież nie topory i miecze – ale wyroki boskie. Tak było i wtedy, kiedy Jefte jako wódz Izraela wyruszał na wojnę z Ammonitami. Coś jednak przy tym (warunkowo) poprzysiągł. Nieroztropny ów mąż, ambitny acz niskiego urodzenia, poprzysiągł Jahwe, iż jeśli Ten rękami Izraela zwycięży Ammonitów, wówczas on – Jefte nie poskąpi Mu ofiary całopalnej. Żertwą zaś będzie ta żyjąca istota, która jako pierwsza wyjdzie naprzeciw wodza zwycięsko wracającego z wojny...



O losie! O losu tragiczna ironio! Musiała to być ona? Córka ukochana wybiegająca z progów rodzinnego domu? Dziewicza jedynaczka tańcząca z radości na widok ojca?...

Związany przysięgą Jefte zabił Seilę własnymi rękami.

JHWH

Wartkie, wciągające, dopracowane formalnie, trzymające w napięciu fabuły Tory (niektóre krew w żyłach mrozące) niosą z sobą Izraelitom poznanie w czystej postaci: tylko Jahwe jest waszym Bogiem, a nie któreś z dookolnych bóstw. Nie jest nim bowiem ani dysk słoneczny na niebie, ani podwieszony tamże sierp księżycy; ani też jeden, drugi czy setny z całej masy artefaktów uczynionych z mosiądzu, brązu, złota, lubo jako obrazy wykute w kamieniu. Żadna z tych rzeczy nie jest – wedle świadectwa Tory – izraelskim Bogiem, jak też i żadnej nie przysługuje izraelska czy judzka żertwa ofiarna.

Contradictio

Bywa jednak, że tradycje – te, które wspólnym wysiłkiem wygenerowały Torę – wzajemnie sobie przeczą. Powszechnie znany casus Izaaka i (znoszący go?) casus Seili są jakby z dwóch teologii: tej humanitarnej i postępowej, powstrzymującej cios z ojcowskiej ręki, oraz zgola innej – śmierć niewinnego dziecka po barbarzyńsku dopuszczającej.

Człowiek bardzo dawnych kultur śródziemnomorskich, ażeby nie zatracić się pośród życiowych sprzeczności, szukać będzie na nie sposobu. Przykładowo, będąc helleńczykiem odwoła się on do czegoś, co nazwie logosem: nie bogiem, nie Bogiem, lecz logosem – uporządkowanym, algorytmicznie policzalnym, bezosobowym i beznamietnym; tym samym ulgę skolatanym myślom przynoszącym.

Judejczyk zaś popadłszy (dodatkowo) w owym historycznym przedziale dziejów w paradoks niewoli babilońskiej, ulgi logosu nie zazna. Będzie natomiast tym pierwszym, który bezlikiem spisanych w *Torze* tradycji opowie o sprzecznościach bytu rozdzierających na pół umysły i serca ludziom wszystkich kultur. ■

Massimiliano Soldani Benzi,
Ofiara córki Jeftego, 1725

FOT. METROPOLITAN MUSEUM OF ART

Czy w niebie tańczą?

■ BOŻENA KOCIOŁKOWSKA



Nekropolie to miejsca pamięci o ludziach, którzy swe ziemskie życie zapisali różnymi życiorysami, o których wielu żyjących pamięta. To ogrody zmarłych do których przychodzi się z modlitwą na ustach i wspomnieniem w sercu. Na cmentarzach spoczywają również ludzie zasłużeni swojemu krajowi oraz polskiej kulturze.

W listopadowym czasie chcemy przypomnieć zasłużonych artystów sztuki tańca XX i XXI wieku. Dni poświęcone pamięci zmarłych obchodzony jest w Polsce ze szczególnym pietyzmem. Szczególnym dniem jest 2 listopada – Dzień Zaduszny; co roku przychodzimy na cmentarze do swoich najbliższych przyjaciół, znajomych, a także do ludzi, których kochaliśmy, znaliśmy i podziwialiśmy ich za życia. Do ludzi, którzy zostali w naszej pamięci. Niektórzy z nich, za swój wkład w dziedzictwo kultury polskiej zostali pochowani w alejach zasłużonych.

Z szacunkiem dla wszystkich ludzi, którzy już od nas odeszli, pozwolę sobie wspomnieć tylko o tych, zapisanych w historii Polski – artystach sztuki tańca. Ludziach, którzy poświęcili swoje życie dla tańca, dla tej pięknej sztuki towarzyszącej człowiekowi od czasów pojawienia się jego na ziemi. Ich groby są rozrzucone po całej Polsce i poza granicami. Wierzę, że są w niebie i tworzą nowe kreacje i swoje choreografie, prezentując je w tej niezemskiej scenografii...



Bronisława Niżyńska (1891-1972) – tancerka, pochodzenia polskiego choreografka, pedagog. Tworzyła legendarne choreografie na przełomie epok. *Wesele, Legenda krakowska, Pieśń o ziemi, Koncert e-moll Chopina*.

Występowała na scenach carskiej Rosji, Paryża, Monte Carlo. Związana z Ballets Russes Sergieja Diagilewa, baletmistrzyni i pedagog Polskiego Baletu Reprezentacyjnego. Jedna z największych choreografek XX wieku. Nazwisko jej można znaleźć w wielu encyklopediach baletowych.



Feliks Parnell (1898-1980) – tancerz, pedagog, choreograf. Jeden z największych indywidualności polskiego baletu lat 1910-1915. Pierwszy Solista Opery w Odessie i Teatru Wielkiego w Warszawie. Za-

łożyciel słynnego na świecie Polskiego Baletu Parnella. Dyrektor polskich zespołów baletowych. Znaczącym kierunkiem jego twórczości był nurt narodowy. Patron Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej w Łodzi.



Leon Wójcikowski (1899-1975) – tancerz, choreograf, pedagog, solista baletu Teatru Wielkiego w Warszawie, Ballets Russes Sergieja Diagilewa, Zespołu Anny Pawłowej, Ballets Russes de

Monte Carlo, Ballets Russes de Basila; dyrektor Polskiego Baletu Reprezentacyjnego, kierownik baletu Opery Warszawskiej i Opery Poznańskiej, kierownik Artystyczny Szkoły Baletowej w Warszawie, baletmistrz London's Festival Ballet. Jego nazwisko cytowane jest w wielu międzynarodowych leksykonach o tańcu.



Irena Turska (1912-2012) – wybitna choreolog i krytyk baletowy. W 1943 roku ukończyła Szkołę Rytmiki i Tańca Artystycznego J. Mieczysławskiej w Warszawie, wiedzę teoretyczną o tańcu i balecie uzupełniała następ-

nie pod kierunkiem S. Głowackiego, a w latach 1964-1966 w École Supérieure d'Etudes Chorégraphiques w Paryżu (jako stypendystka rządu francuskiego). W latach 1972-1989 wykładała historię i estetykę tańca w Zaocznym Wyższym Studium Nauczycieli

Tańca na Wydziale Wychowania Muzycznego Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie. Jest autorką wielu artykułów i książek o tańcu, a także recenzji z przedstawień baletowych.



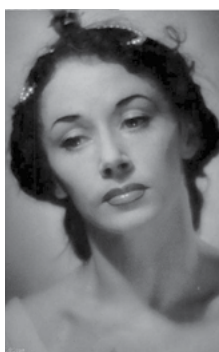
Olga Sławska-Lipczyńska (1915-1991) – tancerka, pedagog, urodzona w Wilnie, primabalerina Teatru Wielkiego w Warszawie. Zdobywczyni I nagrody na Międzynarodowym Konkursie Tańca w Warsza-

wie, brązowego medalu na Międzynarodowym Konkursie Tańca w Wiedniu, I nagrody na Olimpiadzie Tańca w Berlinie, solistka Reprezentacyjnego Baletu Polskiego. W 1951 roku organizatorka Szkoły Baletowej w Poznaniu. Jej wychowankowie byli znaczącymi postaciami współczesnego baletu polskiego. Patronka Szkoły Baletowej w Poznaniu.



Janina Jarzynówna-Sobczak (1915-2004) – tancerka, pedagog, baletmistrzyni, choreografka. Twórczyni nowych trendów w tańcu współczesnym w Gdańsku. Zajmuje szczególne miejsce w historii

polskiego tańca. Legenda trójmiejskich scen, autorka ponad 40 choreografii baletowych w Operze Bałtyckiej. Inicjatorka i pierwszy dyrektor artystyczny Państwowej Szkoły Baletowej w Gdańsku. Tworzyła rewolucyjne wersje rodzącego się teatru tańca, o którym mówiła cała Polska. Najsłynniejsze balety: *Cudowny Mandaryn*, *Niobe*, *Tytania i osioł*, *Dafnis* i *Chloe*.



Barbara Bittnerówna (1924-2018) – tancerka, choreograf, pedagog. Jedna z najważniejszych postaci w historii naszej sztuki baletowej. Laureatka Primo Premio Assoluto Międzynarodowego Konkursu

Baletowego w Vercelli (1956). Niekwestionowana gwiazda polskiego baletu XX

wieku. Niezapomniana odtwórczyni partii tytułowej w pierwszej polskiej realizacji *Romea i Julii*. Primabalerina Teatru Wielkiego w Poznaniu, Opery Śląskiej, Opery Warszawskiej, Opery Krakowskiej i Operetki Warszawskiej. Zasłynęła także ze swej twórczości estradowej w kraju i za granicą.



Conrad Drzewiecki (1926-2007) – tancerz, choreograf, pedagog, solista Opery Poznańskiej, twórca i wieloletni dyrektor pierwszego Polskiego Teatru Tańca w Poznaniu. Popularyzator polskiej sztuki tańca za

granicą. Jego choreografie to: *Ognisty ptak*, *Pawana na śmierć Infantki*, *Cudowny Mandaryn*, *Stabat Mater*, *Krzyszany*. Otrzymał nagrodę Primo Premio Assoluto na Międzynarodowym Konkursie Baletowym w Vercelli (1956). Wiele jego prac choreograficznych zostało utrwalone w polskim filmie i telewizji.



Teresa Kujawa (1927-2020) – tancerka, pedagog, choreograf, reżyserka baletowa. Tańczyła w Operze Wrocławskiej, Poznńskiej, Paryżu. Baletmistrzyni Opery Wrocławskiej, choreograf Polskiego Teatru Tańca

w Poznaniu. Kierownik baletu w Teatrze Wielkim w Łodzi i Operze Wrocławskiej. Była pedagogiem warszawskiej i poznańskiej szkoły baletowej oraz Moskiewskiej Akademii Tańca. Specjalizowała się w tańcu hiszpańskim. Znana była przede wszystkim ze swej twórczości choreograficznej. Propagatorka tańca modern w Polsce.



Witold Gruca (1927-2009) – tancerz i choreograf, solista i kierownik baletu Teatru Wielkiego w Warszawie. W latach 1956-1961 występował w kraju i za granicą w duecie z Barbarą Bittnerówną. Tworzył widowiska

baletowe, współpracował przy realizacji przedstawień operowych, dramatycz-

nych, operetkowych, estradowych, filmów i programów telewizyjnych. Autor około pięćdziesięciu choreografii, głównie do muzyki kompozytorów polskich. Laureat I nagrody na Międzynarodowym Konkursie Tańca w Vercelli we Włoszech (1956).



Olga Sawicka (1932-2015) – tancerka, choreografka, pedagog, pierwsza solistka Opery Warszawskiej, primabalerina Opery Poznańskiej, Opery Śląskiej. Jedyna polska tancerka, która dostąpiła wy-

różnienia zatańczenia roli Giselle w ZSRR. Niezapomniane jej role to: Julia, Giselle, Odetta-Odylia. Goszczący w Warszawie francuski aktor Geerard Philipe zapytany co najbardziej podobało mu się w Warszawie odpowiedział: „Stare Miasto i Olga Sawicka jako Julia”. Jej taniec został utrwalony w polskim filmie.



Wojciech Wiesiołowski (1939-1995) – tancerz, baletmistrz, pedagog, był pierwszym polskim tancerzem po wojnie, który zrobił międzynarodową karierę. Solista Opery Warszawskiej, Teatru Wielkiego

w Warszawie, Baletu XX wieku M. Bejarta w Brukseli, Baletu w Marsylii i Bostonie. Jako pedagog pracował w Operze Paryskiej, Operze Rzymskiej, Berlinie, Rio de Janerio, Nancy, Hamburgu, Veronie, Royal Ballet, Opera w Oslo, Teatr Wielki – Opera Narodowa w Warszawie. Jego nazwisko znajduje się w wielu encyklopediach świata.

Cześć ich pamięci!

BOŻENA KOCIOŁKOWSKA ■



Dwakroć wyklęty

■ STEFAN TRUSZCZYŃSKI



„...a jak poszedł Stach na boje,
Zaszumiły jasne zdroje...

Maria Konopnicka

Poszedł i zginął. Był chłopskim synem spod lubelskiego Chodla. Najpierw żołnierzem września '39. Potem partyzantem. Tutejsi nazywali go „Mściwym”. Bo taki przybrał pseudonim. Pojmany przez Niemców rozstrzelany został 13 października 1943 roku. Rodzina pochowała go na cmentarzu parafialnym w Chodlu. Była okupacja. Żołnierza pochowano w drewnianej trumnie, w cywilnym ubraniu. Nie było salwy pożegnalnej. Na pogrzebie była tylko rodzina.

Historyk Ewa Kurek w książce *Zaporyczy 1943-1949* odnotowuje: „Chlebicki Karol pseudonim «Mściwy», z rodziny chłopskiej z okolic Chodla, żołnierz oddziału Kedywu AK «Zapory»”.

„Zapora” zorganizował swój oddział w składzie I op. 8 pp. Legionów, liczący łącznie 190. ludzi. Kapelanem był ksiądz Stanisław Kielboń, wikary z Chodla. Oddział wykonał 147 akcji bojowych.

Chodel był silnym ośrodkiem oporu w tej części Lubelszczyzny. Wchodził w skład rejonu V (Bychawa-Chodel-Belżyce-Piotrowice-Niedrzewica) obwodu AK Lublin Powiat. Placówkę ZWZ utworzył Kłębukowski ps. „Szela”. A potem dowódcą był „Mściwy”.

W piśmie lubelskiego urzędu wojewódzkiego z dnia 2 stycznia 2019 roku czytamy: „należy stwierdzić, że w grobie na cmentarzu w Chodlu pochowany jest żołnierz, który zginął tragiczną, bohaterską śmiercią w trakcie wojny, a obok niego nikt w grobie nie spoczął i obecnie nie spoczywa. [...] Żołnierz został pochowany przez rodzinę w grobie przez nią przygotowanym i następnie przez dziesiątki lat otoczony jej opieką”.

Ale to tylko półprawda. Wtedy w styczniu 2019 roku, grób żołnierza był już zbezczeszczony, wyklęty.

29 kwietnia 2018 roku do administratora parafii rzymskokatolickiej w Chodlu krewni Karola Chlebickiego – Tadeusz Grelewski i Marek Świżek napisali:

„Informujemy ks. Proboszcza, iż w dniach 16-21 bm. na cmentarzu pa-

rafialnym w Chodlu dokonano nielegalnego rozbioru pomnika (obelisk) zmarłego tragicznie od kuli niemieckiej żołnierza AK – Karola Chlebickiego.

Nikczemnego czynu dokonał pan Jerzy Zawadzki miejscowy kościelny i grabarz cmentarny. Przy udziale pani Pietroń Teresy oraz pana Stępnia Romana – sekretarza biura urzędu gminy w Chodlu. Poległy żołnierz był bratem rodzonym mamy pani Pietroń, mamy Świeżaka Marka i mamy Tadeusza Grelewskiego oraz bratem rodzonym taty Jana Chlebickiego z Jeżowa.

W/w pomarli kilkanaście lat temu, ale żadne z nich nie czuło się godne leżeć w grobie na miejscu brata. Traktowali ten grób jako symbol wolności i pamięci narodowej. W latach 70-tych ubiegłego stulecia przedstawiciele AK, ZBOWiD i IPN, Związku Walki i Męczeństwa postawili obelisk z tablicą informacyjną oraz fotografią poległego Karola. O pomniku tym pamiętała także co roku szkoła podstawowa w Chodlu. Palono znicze. Składane były kwiaty i wieńce przez przedstawicieli instytucji państwowych.

Grobem tym nie zajmowała się pani Pietroń, tak jak zapewniała księdza, grabarza oraz przedstawicieli urzędu gminy, którzy dopuścili się zbezczeszczenia grobu” (zachowano oryginalną pisownię).

Pani Teresa Pietroń przejęła opłaty cmentarne. Płaciła i zarządzała. Nie zwróciła się do rodziny o zgodę. Uzyskała zgodę proboszcza. Egzekucji dokonał grabarz. Jego łopata rozwalila trumnę. Kości zostały wrzucone do wora. Pogłębiono jamę i sprofanowane szczątki zalano betonem.

Chodzę po Chodlu i słucham ludzi. Przebogata historia 500-letniego miasteczka. Pomniki czcigodnych obywateli, których nazwiska znane są Polakom. Wspaniała wielka świątynia z monumentalną wieżą. Pomnik ku czci żołnierzy. Ocalało jeszcze trochę pożydowskich domków, których ponad tysięczną gminę wymordowali Niemcy. Nie wszystko jeszcze odkryte, opisane. Oto dom przy ulicy Kościelnej 25 – naprzeciwko kościoła. Katownia UB. Dziś taka sobie jak inne mieszkalna willa. Nie ma śladu po zbrodniarzach – informacji, tablicy. A przecież tu torturowano, gwałcono i zabito młodą dziewczynę, z partyzantki, z lasu. „Chodelska Inka” czeka na opisanie jej męczeństwa. Tak jak czekają na uszanowanie i upamiętnienie szczątki partyzanta Karola Chlebickiego.

Jego ciotka, która nakażała wyrzucenie z trumny to dziś starsza kobieta. Wpuszcza mnie do domu. Siadamy w kuchni, widać, że jest z tych silnych, zdecydowanych osób. Rozmawiamy. Również o jej synach kierowcach TIR-ów, którzy pracują w Anglii. Rzadko ich widuje. Pracowała całe życie ciężko, żeby się dorobić. Ponościła cmentarne opłaty. To jest teraz „jej grób”. Może o nim decydować. Ma to wszystko na piśmie. Idzie do sąsiedniego pokoju. Przynosi owalne, porcelanowe nagrobne zdjęcie. I tabliczkę z nazwiskiem. Mówi, że chce to oddać... „jakoś sprawę załatwić”. Ale w tej rodzinie wyrósł mur. Nie rozmawiają ze sobą.

Mąż pani Teresy, starszy pan, nadal pracuje. Na swoim. Ma rowerowy sklep – warsztat. Reperuje, sprzedaje używane rowery. Od wielu lat, więc wszyscy



FOT. © CHODEL/FOTONEWS

w Chodlu go znają. I tak klienci to także po prostu znajomi, używający na co dzień wysłużonych pojazdów. Pomalowane z wypastowanymi siodełkami i naoliwionymi trybikami wiszą pod sufitem. Kilkadzie-
siąt. Może i sto.

Rozmawiamy w sklepiku.

Klienci wchodzą, kupują dętki, pompki, nakrętki. Jakoś nie mogę się zdecydować czy zada pytanie o sprofanowanie grobu Karola Chlebickiego. Czy wie-
d z i a ł ?

Czy się zgodził albo tylko milczał? Czy w ogóle go zapytano? Czy nie znalazł się we władzach świeckich, duchowych, nikt kto by zaproponował?

Starszy pan robi swoje, jest pomocny ludziom.

Wrona. Siedzi sobie na murze cmentarnym, gdy podchodzę do grobu kobiety zabitej kilkanaście lat temu przez męża. Podobno była bardzo piękna. Zabił, gdy się dowiedział, że zdradzała go z grabarzem. Tym samym – od łopaty, która sprofanowała zwłoki Chlebickiego. Zabójca żony niedługo wyjdzie z więzienia. To podobno już za rok.

Dom grabarza stoi przy szosie. To już Jezów, wieś poza Chodlem. Okazały, z szeroko otwartym na oścież wjazdem i klombem. Drzwi otwiera mała dziewczynka. Mówi, że tata jest na cmentarzu. Pogrzeb. Zawodowe czynności. Mam numer komórkowy. Rozmawiamy. Pan Zawadzki odpowiada na moje pytania, ale słychać, że jest coraz bardziej podenerwowany.

– Nie wyrzuciłem kości na śmietnik. Włożyłem do brezentowego worka. Potem położyłem warstwę cementu. Tak robimy.

– A czaszka?

Rozmowa zostaje przerwana, więc już nie telefonuję.

Cmentarz w Chodlu jest duży. A nawet niedawno został powiększony o teren przyległej łąki. To darowizna jednego z mieszkańców. Dla administratora, czyli dla parafii. Jest miejsce na dalsze groby. Jeszcze nie wiadomo, ale może zmieni się zarządzanie, na cywilne. Czy będzie to miało wpływ na stare, rozdrapane sprawy?

Idę z kilkoma mężczyznami, którzy chcą by „wyklęty” został przywrócony pamięci – z tablicą i zdjęciem.

– Tak musi być – słyszę.

To ci, którzy pamiętają, jak było. Chłopi, emeryci, ludzie stąd. Nie ustają w dochodzeniu, domaganiu, by żołnierz – partyzant leżał godnie w swoim grobie. Bo to jednak jego grób. Przy głównej alei cmentarza, w pobliżu kaplicy.

Są bardzo rozgoryczeni. Na tych, którzy rządzą na miejscu, w Lublinie, w Warszawie. Dopuszczono się profanacji zwłok. Mijają kolejne lata. Piszą do ważnych ludzi w urzędach, prokuraturze, piszą do ministrów. Segregatory pęcznią. Złość narasta. Grelowski, Świżek i inni szukali pomocy w prasie, ale redaktorka okazała się przyjaciółką winnych zbezczeszczenia. Tematu nie podjęła.

– To niełatwo dobić się sprawiedliwości, gdy walczy się z władzą – słyszę.

8 lutego 2019, Tadeuszowi Grelowskiemu i Markowi Świżkowi odpowiada pismem ówczesny wojewoda lubelski – Przemysław Czarnek: „Obowiązująca ustawa z dnia 28 marca 1933 roku o grobach i cmentarzach wojennych stanowi, że grobami wojennymi są groby i miejsca spoczynku żołnierzy poległych lub zmarłych z powodu działań wojennych, przy czym groby rodzinne, chociażby były w nich umieszczone zwłoki żołnierzy poległych, nie stają się grobami wojennymi. Wyrażona tu zasada nieingerencji państwa w grobownictwo prywatne jest kontynuacją przyjętego w art. 2 ust. 1 ustawy z dnia 17 marca 1932 roku o chowaniu zmarłych i stwierdzeniu przyczyny zgonu [...]. Podstawę praw do gro-

bu stanowi umowa o pochowaniu zwłok zawarta z zarządem cmentarza i z niej wynika szereg uprawnień przysługujących osobom, dla których kult pamięci osoby zmarłej, pochowanej w grobie, jest ich własnym dobrem osobistym. [...] Pochówek poległego żołnierza śp. Karola Chlebickiego miał charakter prywatny (potwierdza to zarząd cmentarza, a wnioskodawcy nie kwestionują), bowiem został zorganizowany przez członków jego rodziny na cmentarzu parafialnym, w przygotowanym na ten cel grobie rodzinnym. Członkowie rodziny poległego żołnierza opiekują się jego grobem do dnia dzisiejszego i nic nie wskazuje na to, aby swoje prawa i obowiązki w tym zakresie mieli zamiar przenieść na państwo – wnioskodawcy stanowią tu wyjątek”.

Ileż nieprawdziwych stwierdzeń, ileż urzędniczej obojętności.

Ci wnioskodawcy – „wyjątkowi” – wcześniej, 28 października 2018 roku w liście do wojewody lubelskiego napisali: „Panie Wojewodo, my tj. 9 rodzin po zamordowanym Karolu Chlebickim, prosimy pana o ponowne zbadanie powyższej sprawy przez osoby postronne, nie mające nic wspólnego z sympatiami czy też nie do żołnierzy AK”.

„Śpij kolego w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni tobie”. Byle by nie bezduszna, urzędnicza. Sloganów i prawniczych tyrad. Pisali nie tylko do dzisiejszego ważnego Ministra Edukacji. Pisali do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, do Ministra Sprawiedliwości, do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, do Komisji Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu – Biura Upamiętnienia Walk i Męczeństwa, do Instytutu Pamięci Narodowej. Do prokuratury, hierarchicznie, aż do najwyższej. Nawet „na ręce” ministra Zbigniewa Ziobry.

Pisali. Nikt się sprawą nie przejął.

Proboszczowie w Chodlu teraz często się zmieniają. Różnie o nich ludzie mówią. Ale żaden z trzech ostatnich profanacją grobu „Mściwego” się nie zainteresował.

Rozmawiam z młodym żołnierzem, ochotnikiem, z terytorialsów, z Chodla. O Chlebickim nic nie wiedział, ale teraz opowie dowódcy swojego oddziału. Na pewno, gdy będzie powtórny pogrzeb staną w szeregu wszyscy. I będzie spóźniona żołnierska salwa.

„Gazeta Polska” codzienna, z dnia 1 marca ubiegłego roku. Wielkie zdjęcie z pochodni Narodowego Dnia Pamięci „żołnierzy wyklętych”. Tłumy. Pierwszy szereg niesie ogromny transparent: „Podziemna armia powraca!”.

Do Chodla jeszcze nie.

STEFAN TRUSZCZYŃSKI ■

Chłopiec do bicia

Czy nie odnosicie wrażenia, że Polska stała się dla Unii Europejskiej takim przysłowiowym chłopcem do bicia? Czego by rząd w Warszawie nie zrobił, to zawsze jest według nich źle albo za mało. Najpierw bronimy się przywołując prawo i zdrowy rozsądek, jak na przykład w sprawie Izby Dyscyplinarnej dla sędziów czy wspieranie rodzin przez samorządy. Później cichcem ustępujemy z niewiadomego powodu, udając, że nic się nie stało.

Lista ustępstw jest długa i z każdym dniem staje się coraz dłuższa. Niezależnie od tego jak kuriozalne są żądania unijnych biurokratów, to w końcu i tak je spełniamy. Turowa nie da się zamknąć z dnia na dzień, ale przegraną o tę perłę

w przemysłowej koronie mamy jak w chińskim banku.

Przypomina to coraz bardziej uległość, jaką byliśmy zmuszani okazywać Związkowi Sowieckiemu. Wówczas, za żelazną kurtyną byli Amerykanie, których Rosjanie oskarżali o bicie murzynów. Tylko patrzeć, jak Polacy zostaną o to samo oskarżeni. Gdy zaczniemy tłumaczyć, że u nas nie ma murzynów, to usłyszymy, iż właśnie dlatego ich nie ma, bo ich (wy)biliśmy.

Przy założeniu dożgonnej, wasalskiej miłości do Unii Europejskiej, stajemy się nie tylko pośmiewiskiem, ale i przykładem dla pozostałych wasali do czego prowadzi pokora i posłuszeństwo, zamiast konsekwentnego sprzeciwu wobec idiotycznych biurokratów, za którymi stoją lobbyści na rzecz brudnych interesów. Im więcej bezsensownych ustępstw, tym więcej kuriozalnych żądań. Ta spirala nie ma końca.

Idzie ku lepszemu

Marsz Niepodległości pokazał nam (i im), jaką wartością jest naród. Bezpańskie psy, pod postacią Europejczyków polskiego pochodzenia, ujadają tu i ówdzie, ale biało-czerwona karawana szła dalej. Podobnie sprawy mają się na wschodniej granicy.

Białoruskie KGB wyposaża sprowadzonych muzułmanów w obcegi do cięcia drutu, kije, łopaty i kamienie. Przechwyceni przez polską straż graniczną nielegalni „biedni uchodźcy”, okazują się często przeszkolonymi w Rosji terrorystami, nad

którymi opozycja totalna roni krokodyły łzy, nie ze szczerego żalu, tylko żeby utrudnić normalne rządzenie naszym krajem.

Maski (nie maseczki, oczywiście) opadły. Kto jest kim wiadomo od dawna i czas najwyższy wyciągnąć z tego wnioski. Przestańmy udawać, że sprzedawczyki to partnerzy do rozmów. Przestańmy się cackać z bezmózgowymi celebrytami, którzy rozsiewają podłe kłamstwa o nas po całym świecie. Prawda sama z siebie nie ma takiej siły, żeby pokonać kłamstwa głoszone przez wrogów Polski, zwłaszcza wszędzie tam, gdzie ludzie o Polsce mało wiedzą. Próbuje docierać z prawdą do tych, którzy jej rzeczywiście nie znają a poznać ją chcą i powinni.

Bez powtórki

13 grudnia przypada okrągła 40. rocznica wprowadzenia stanu wojennego. Jaruzelskiemu nie udało się wyprosić u Breżniewa „bratniej pomocy” i musiał sprawę załatwić rękami samych Polaków, co mu się niestety udało.

Wówczas Moskwa zajęta była Afganistanem i pod tym względem zmieniło się niewiele. Na Talibach połamały sobie zęby nie tylko ZSRR, ale i USA. Niewtajemniczonym trudno zrozumieć jak garstce obdartusów w turbanach, uzbrojonych w „kałasznikowy” udaje się upokarzać mocarstwa. Według niepotwierdzonych przecieków teraz Łukaszenka ma ich sprowadzać na

granice z Polską. Czy okażą się równie waleczni jak na własnym podwórku – zobaczmy.

Powtórkę z rozrywki szykują nam nie tylko na Wschodzie, ale i na Zachodzie. Niemcy nie ukrywają swych ambicji utworzenia IV Rzeszy, na razie metodami pokojowymi. Wystarczy, że zgodzimy się zostać czymś w rodzaju województwa Państwa Europejskiego, do czego żarliwie przekonują nas rodzimi folksdojcz. Dr Brzeski twierdzi, że Unia Europejska (czytaj Niemcy) nie dała się ograć Łukaszenko – ona z własnej woli wsadziła głowę w jarzmo Putina, ze strachu przed Polską. Od nas samych dużo zależy. Kto wie, jak sobie poradzimy z tym bardzo poważnym niebezpieczeństwem? Nasz rząd zdaje się dostrzegać zagrożenia i rusko-pruskie knowania, miejmy więc nadzieję, że do powtórki z historii nie dojdzie.

Teatr a zdrowie

Już prawie trzy tysiące lat temu starożytni Grecy budowali teatry. Wierzyli, że widzowie biorący udział w spektaklu, doznają siły ozdrowieńczej. Przy dzisiejszym postępie medycyny i sztuk wszelakich, takiej zależności nie zauważamy, co jednak nie znaczy, że ona nie istnieje. Z okazji Świąt Bożego Narodzenia otrzymaliśmy mnóstwo życzeń, nie tylko dotyczących zdrowia. Tusk życzył Polakom oswobodzenia od zła i kłamstwa. Odbiorcy postulatów uznali je za zapowiedź rychłego i definitywnego odejścia tego polityka z życia publicznego. Kłopot tylko w tym, że Tusk nigdy nie dotrzymuje danego słowa.

Obdarowani zostaliśmy też prezentami bardziej lub mniej udanymi. Te niefortunne podarunki lepiej, żeby były niewielkich gabarytów, wówczas można by je łatwo przechować, a później, przy nadarzącej się okazji, podać dalej. Co jednak zrobić z miśkiem maskotką olbrzymem? Trzeba przeznaczyć jakąś kozetkę albo co najmniej fotel dla tego niechcianego gościa i namawiać dziecko do polubienia monstrualnej zabawki.

Wynika z tego jasno, że składanie życzeń jest mniej kłopotliwe niż składanie darów. Uszczęśliwienie kogoś wymarzoną przez niego upominką jest zadaniem niełatwym. Ja, na przykład, chciałabym dostać na własność prawdziwy teatr. Janda ma aż dwa. Podatnicy robią jej na głowę milionowymi dotacjami, a ona sama biduła nie ma nawet na chleb. Trwa właśnie spontaniczna zbiórka mrożonego chleba dla „wielkiej artystki”. Chętnie przejmę jeden z tych jej teatrów, najchętniej ten przy Marszałkowskiej 56, wraz z państwowymi dotacjami. Że co? Że nie znam się na prowadzeniu teatru? A Minister Zdrowia zna się na medycynie?

Życzę Wszystkim moim Rodakom pomyślności, spełnienia mądrych życzeń i udanego 2022 roku.

MAŁGORZATA TODD ■





THE POLISH - BRITISH

BELVEDERE FORUM

WARSAW - 15-16 SEPTEMBER 2021

POLSKIE INSTYTUT SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH
INSTITUTE OF INTERNATIONAL AFFAIRS

Polsko-Brytyjskie Forum Belvedere

FOT. © PISM

ELŻBIETA

KRÓLIKOWSKA-AVIS



To była już piąta edycja. Na przekór wielu przeciwnościom losu. Wbrew ciągnącemu się jak guma do żucia procesowi Brexitu, wbrew pandemii, nieco spóźnione, w formule hybrydowej, ale się odbyło. Polsko-Brytyjskie Forum Belvedere, największy od 1945 roku projekt bilateralny z hasłem: „to bring the two societies together”, na poziomie ministerstw spraw zagranicznych, ośrodków naukowych, organizacji pozarządowych, biznesu i mediów, nad Tamizą i nad Wisłą.

Po raz drugi organizowany przez dwa think tanki, Polski Instytut Spraw Międzynarodowych i Chatham House. Po każdej stronie kilku ministrów, posłów i europosłów. Po naszej minister Zbigniew Rau, Zdzisław Krasnodębski, były ambasador w Londynie Arkady Rzegocki, po brytyjskiej – sir Malcolm Rifkind, szef dyplomacji w rządzie Johna Majora, dziś Komitetu Sterującego Forum, brytyjska ambasador w Warszawie Anna Clunes i prezes British Council Colm McGivern. Organizatorzy – dyrektor PISM Sławomir Dębski i Chatham House Robin Niblett. No i masa naukowców z całego świata, bo był także reprezentowany amerykański Harvard – o czym potem.

Piąta edycja pokazała, że po pierwsze, projekt jest dobrze rozpedzony i, mimo trudności z pandemią, ciągle żywy i atrakcyjny. Pod

względem informacyjnym – wymiana myśli, projektów, ale i prestiżowym – w świat idą wieści o polskich ekspertach, przepraszam za określenie, „ze stajni PISM-u”, wcale nie gorszych od brytyjskich, no i w mniejszym stopniu zainfekowanych wirusem politycznej poprawności, w bliższym kontakcie z życiem. Ale największym walorem Forum było to, że pokazywało nam, zanurzonym w krajowej bieżącej, że dookoła istnieje świat, że jesteśmy systemem naczyń połączonych, i że to, co dzieje się w Waszyngtonie, Pekinie czy Berlinie ma ogromny wpływ na losy Polski i Polaków.

Pośród kilku paneli przewijały się tematy polityczno-biznesowe – *Polsko-brytyjskie relacje w epoce post-Brexitu i post-Covidu*, poświęcony młodzieży *Generacja „Z” w świecie po pandemii*, dotyczący zmian klimatu *Wpływ Katowice Rulebook na COP 26 Glasgow* i *Relacje transatlantyckie, a bezpieczeństwo Europy*. Nie zabrakło polskiego akcentu, oczywiście Józef Konrad Korzeniowski, w horrendalnym wykładzie naukowca z Harvardu prof. Mayi Jasanoff pt. *Joseph Conrad and the dawn of a global world*. A oto wnioski z dwóch sesji, moim zdaniem, najciekawszych, tej o relacjach polsko-brytyjskich oraz stosunkach transatlantyckich i bezpieczeństwie Europy.

W pierwszym jedną z gwiazd okazał się poseł Koalicji Polskiej, Władysław Teofil Bartoszewski. Nie tylko władający najlepszą angielszczyzną w PSL, ale znakomicie

zorientowany w historii konfliktów Polska/Wielka Brytania a Unia Europejska, w dodatku w bliskim kontakcie z „prawdą faktów”, w przeciwieństwie do „prawdy ekranu”, zresztą telewizyjnego. Ciekawa myśl o reaktywacji Trójkąta Weimarskiego, aby skrócić dystans do Brukseli, komentarz nt. tendencji w dziedzinie obronności w Wielkiej Brytanii („nie można być mocarstwem i bronić granic, zmniejszając liczbę wojska”). Wspominał o już istniejącym konflikcie politycznym (aneksja wysp Morza Południowo-Chińskiego i infrastrukturalizowanie ich) i handlowym Chin z resztą świata, i o koronawirusie, który zostanie z nami na dłużej („Wielka Brytania ma imponujący 81 proc. zaszczepionych, ale notuje 35 tys. zainfekowanych dziennie”).

Interesująca była wypowiedź Ewy Grosman z Centre for Democracy and Peace Building z Belfastu. O ambiwalencji uczuć Północnej Irlandii do Wielkiej Brytanii, o wykorzystaniu Demokratycznej Partii Unionistów do koalicji z konserwatystami z Londynu, dzięki której przegłosowali wiele swoich ustaw, a potem porzuceniu DUP i całej Irlandii Północnej, która wciąż podlega unijnym zasadom handlowym, na pastwę UE.

Można wspomnieć o posłance Rupie Huq rodem z Bangladeszu, członku ponadpartyjnej grupy parlamentarnej, zajmującej się problematyką Polski.

Ciąg dalszy na s. 82 ►

► Ciąg dalszy ze s. 81

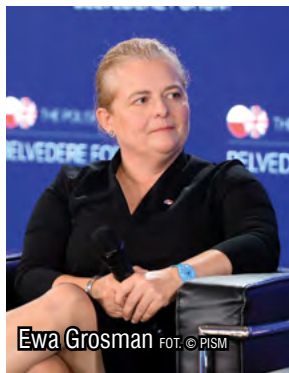
W jej okręgu wyborczym, zamieszkuje wielu Polaków, podobno „ma pośród nich przyjaciół i stara się być otwarta na ich sprawy”, i być może jest to prawda. Kiedy jednak powiedziała, że brała udział w akcji zatrzymania na granicy red. Rafała Ziemkiewicza, który przybył na Wyspy Brytyjskie, żeby spotkać się z czytelnikami jego książek, mój entuzjazm bardzo ostygł. W sumie panel pokazywał niejakić pomieszenie, w jakim znajduje się dziś Wielka Brytania – jeszcze kończy porządkowanie swoich spraw w Europie, a już sięga po kontakty światowe, patrz: AUKUS, czyli nowy format bezpieczeństwa USA, Wielka Brytania, Australia na Pacyfiku, wymierzony w Chiny. Lecz z drugiej strony Chińczycy należą do grupy największych inwestorów na Wyspach, o czym rząd Borisa Johnsona dobrze pamięta.

Panel pokazywał stabilność polityki zagranicznej Polski i ambiwalencję brytyjskiej – rodzaj a transition time – szukającej nowych dróg. Powracającej, ale już na innych niż imperialne zasadach, do kontaktów handlowych z byłymi koloniami, z których niektóre, jak Indie, wyrosły na prawdziwe potęgi gospodarcze. A jeśli idzie o nasze relacje bilateralne – o ile podczas trwania procedury Brexitu widać było otwarcie osamotnionej Wielkiej Brytanii na kontakty z jednym z nielicznych sojuszników, Polską – w tej chwili chyba mniej. Najwyższy czas, żeby – opierając się na rewelacyjnym raporcie posła konserwatystów Daniela Kawczyńskiego nt. Inicjatywa Trójmorza i możliwości dla globalnej Wielkiej Brytanii – zacząć działać.

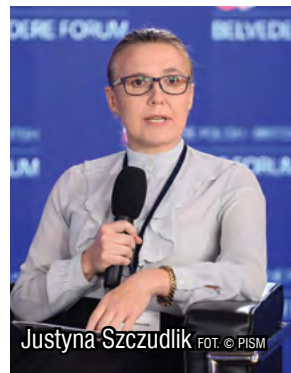
Innym otwierającym oczy panelem był: *Relacje transatlantyckie i bezpieczeństwo w Europie*, gdzie wspominało się o integru-



Max Fras, Kasia Makowska i Paweł Musiałek FOT. © PISM



Ewa Grosman FOT. © PISM



Justyna Szczudlik FOT. © PISM



Alice Billon-Golland FOT. © PISM



Zdzisław Krasnodębski FOT. © PISM



Władysław Teofil Bartoszewski i Rupa Huq FOT. © PISM

jących oba kraje, Wielką Brytanię i Polskę, ich specjalnych stosunkach z USA. Mówiło się o tym, że jeśli idzie o świadomość zagrożenia Europy przez Putina, możemy liczyć jedynie na Albion, ale także o pewnym handicapie, który nie pozwala rządowi w Londynie pójść na całość. Po prostu pieniądze rosyjskich oligarchów, czyste czy brudne, mają wpływ na rozwój brytyjskiej gospodarki, na giełdach City jest to 19 proc. kapitału, a „nowi Rosjanie”, to obok petrodolarów, czerwonych chińskich aparatczyków i indyjskich *software millioners*, najlepsi klienci nieruchomości i towarów luksusowych.

Pośród pytań o „nową strategię NATO”, o „szczyt G7 w Kornwalii i przyszłej globalnej Wielkiej Brytanii”, znalazło się „jak Europa powinna odpowiadać na oczekiwania Stanów Zjednoczonych utworzenia wspólnego frontu przeciw Chinom?”. I tu gwiazdą okazała się dr Justyna Szczudlik z PISM. Temat Chin stał się ostatnio modny i wypowiadają się na ten temat wszyscy, którzy mają dostęp do mikrofonu, ale tu zobaczyliśmy czym różni się ekspert ds. międzynarodowych od eksperta ds. Chin. Pani doktor zna Chiny, bo tam mieszkała, włada językiem chińskim (chyba mandarynem), i słuchało jej się z fascynacją. Opowiadała o chińskich dylematach, innych niż na Zachodzie – nie wolność czy bezpieczeństwo, lecz – jak np. w Singapurze – wolność czy zamożność;

o chińskich multi – zagrożeniach na różnych polach, od polityki, poprzez gospodarkę do bezpieczeństwa, także cybernetycznego; że był czas, kiedy Chiny były tylko „agenda setterem”, ale potem przeszły do działań, dziś działań agresywnych; że zarówno Niemcy, jak i Wielka Brytania przesyłają dwa równoległe *message’*e: oficjalny, stop ekspansji Chin, i nieoficjalny, że mogłyby jeszcze intensywniej uczestniczyć w przyszłej wymianie handlowej. I jeszcze jedna ciekawa sprawa: nie tylko USA i Europa, ale kraje azjatyckie także protestują przeciw inwazyjności Chin. Japonia powiada, że zagrożenie Tajwanu, to zagrożenie Japonii, Wietnam twierdzi, iż jego największym sojusznikiem jest USA a nie Chiny Ludowe, z kolei Indie graniczą z Chinami, które już zagarnęły Tybet. Słowem, kraje azjatyckie protestują przeciw ofensywie Chin, ale w myśleniu strategicznym muszą uwzględnić swoje położenie geopolityczne i próbują utrzymywać w swojej polityce zagranicznej pewną równowagę.

Generacja „Z” w świecie po pandemii, rodzaj Forum Młodych miało zupełnie inną ekspresję. Ton nadawała 21-letnia Szkotka, młodzieżowa aktywistka z University of Glasgow, Robyn Stewart. Jej wypowiedź była sygnałem pewnego fenomenu, który obserwujemy w Polsce i na świecie, obecność coraz młodszych ludzi w polityce. W organizacjach pozarządowych, w mediach, a zwłaszcza podczas manifestacji ulicznych. Stewart skarżyła się, że młodzi nie mają pojęcia jak działa parlament, państwo, widać było i słyszało, że chce egzekwować swoje racje teraz i zaraz. A kiedy z sali padła sugestia, może jednak najpierw skończysz studia, zrozumiesz, co się dzieje dookoła, a potem zajmiesz się polityką, wspomogła ją dorosła aktywistka, MP Rupa Huq, która zakomunikowała „dzisiejsza 14-latką, to wczorajsza 21-latką”. I chyba coś jest na rzeczy. Z kolei

młody przedstawiciel Klubu Jagiellońskiego Paweł Musiałek zwracał uwagę na „*news bubbles*”, w jakich żyjemy – choć powinien wiedzieć, że nie jest to w demokracji żadna patologia. W warunkach pluralizmu medialnego, np. w Wielkiej Brytanii, każdy obywatel ma „swoją gazetę” czy telewizję, którą czyta i ogląda, i jest to raczej zdobycz demokracji, a nie patologia, bo w systemie dyktatury nie ma żadnego wyboru.

A potem obowiązkowa sesja nt. *Skutki Katowice Rulebook na COP 26 w Glasgow*, gdzie była mowa o tym jak Polska i Wielka Brytania ustosunkowują się do ograniczenia emisji gazów cieplarnianych, jak uzyskać równowagę między „zieloną rewolucją” a jej skutkami społecznymi i ekonomicznymi oraz wpływie zmian klimatu na post-Covidową rekonwalescencję świata. Wypowiadali się zarówno przedstawiciele Warsaw School of Economics jak i słynnej The Prince of Wales’s Corporate Leaders Group, zresztą jednym głosem.

Za to zaskoczeniem był wykład plus promocja książki przedstawicielki amerykańskiego Harvarda, prof. Mayi Jasanoff. Mam nadzieję, że ten przykład będzie dla nas dzwonkiem alarmowym, że prestiżowa i świetna kiedyś uczelnia nie musi mieć znakomych rezultatów naukowych dziś. Bo zarówno książka *Józef Conrad i narodziny globalnego świata*, jak i wypowiedzi pani profesor, był to typowy post-modernistyczny *vollapuk* tzw. nowych naukowców, którym się wydaje, że można połączyć wszystko ze wszystkim. Józefa Conrada z misją cywilizacyjną Imperium Brytyjskiego, z antyfeminizmem i rasizmem, jego patriotyzm nazwać nacjonalizmem, a jego samego kolonialistą i snobem. Jej książka, to w istocie biografia czasów *Black Lives Matters*. To dla nas sygnał, iż należy uważniej wybierać panelistów, aby usłyszeć wypowiedź z sensem, opartą

w miarę możliwości na nieznanymi źródłach, no i nie obrażać gospodarzy.

Generalnie Polsko-Brytyjskie Forum Belvedere, to inicjatywa niezwykle cenna. Wielka Brytania i Polska, to partnerzy strategiczni, sojusznicy w NATO, z podobnym stosunkiem do agresywnej imperialnej Rosji. Niemal milion Polaków na Wyspach, pracujących, płacących podatki, w nowej rzeczywistości post-brexitojowej. Coraz więcej naszych rodaków na brytyjskich uczelniach, studenci, kadra, w mediach, w organizacjach pozarządowych oraz interesująca droga państwa znowu wypływającego na morza i oceany. Wielką zasługą PISM-u i Chatham House jest nie tylko to, że Forum w tym roku się odbyło, ale także, że było udane.

PISM sięgnął do swojej kadry młodych naukowców i okazało się, że nie tylko znają języki, potrafią opowiedzieć o swojej specjalizacji w sposób nietuzinkowy i wzbogacać społeczną wiedzę, ale są konkurencją na rynku europejskim. W dodatku zadbał, mówię zwłaszcza w polskim Komitecie Sterującym, aby panele były pluralistyczne, a myśl lewicowo-liberalna kontrapunktowana przez konserwatywną – co jest na dzisiejszych forach wymiany myśli dość unikalne. Następnym razem prosimy jednak o konsultacje ws. panelistów, aby nie wyszło jak z prof. Jasanoff. I od razu propozycja: zaprosić naszego przyjaciela, MP Daniela Kawczyńskiego, który przedstawiłby swój raport Inicjatywa Trójmorza: możliwości dla globalnej Wielkiej Brytanii. A także znanego politologa i myśliciela prof. Aleksa Szczerbiaka z University of Sussex. No i na koniec: jestem pewna, że think tank PISM wyprodukuje jeszcze niejednego eksperta, który zadziwi upolityczniony i przeideologizowany grajdołek europejskich akademików.

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS ■

FOT. © PISM



Ku odbudowie Pałacu Saskiego

1 grudnia 2021 roku powołana została spółka celowa odpowiedzialna za odbudowę Pałacu Saskiego, Pałacu Brühla oraz kamienic przy ul. Królewskiej w Warszawie. Spółka celowa została powołana zgodnie z zapisami Ustawy z 11 sierpnia 2021 roku. Powierzenie zadania wyspecjalizowanemu podmiotowi ma usprawnić proces odbudowy, a także zapewnić efektywność zarządzania.

Ustawa i powołanie spółki Pałac Saski to kontynuacja deklaracji Prezydenta RP Andrzeja Dudy z 11 listopada 2018 roku, która zakończyła wieloletnią debatę publiczną nad potrzebą odbudowy historycznych gmachów przy pl. Piłsudskiego. Zgodnie z zapisami w preambule Ustawy, przedsięwzięcie będzie realizowane w celu uczczenia jubileuszu 100-lecia odrodzenia

się niepodległej Rzeczypospolitej, a także przywrócenia historycznego kształtu przestrzeni Placu Marszałka Józefa Piłsudskiego. Budowle mają stać się dopełnieniem odbudowy zniszczonej w czasie II wojny światowej stolicy, a w konsekwencji być symbolem umocnienia jedności wspólnoty obywatelskiej.

Obiekty, powstałe w wyniku realizacji inwestycji, zostaną przeznaczone na potrzeby Kancelarii Senatu i Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego oraz innych podmiotów, prowadzących działalność kulturalną, edukacyjną lub społeczną. Odbudowa zachodniej pierzei pl. Piłsudskiego przywróci blask jednego z centralnych miejsc Warszawy. Pałac Saski, Pałac Brühla oraz trzy kamienice przy ul. Królewskiej: o dawnych adresach nr 6, 8 i 10/12 będą dopełnieniem

koncepcji urbanistyczno-architektonicznej stolicy – Osi Saskiej.

Akt założycielski, na mocy którego spółka Pałac Saski została oficjalnie zawiązana, został podpisany przez wicepremiera prof. Piotra Glińskiego 30 listopada 2021 roku. Powołaną Spółką kierować będzie zarząd składający się z trzech członków: prezesa Jana E. Kowalskiego, wiceprezesa ds. finansowych Roberta Cícirko i członka zarządu Roberta Bernisza. Ponadto w składzie sześciuosobowej Rady Nadzorczej Spółki znalazły się osoby, wskazane przez Prezydenta RP, Prezesa Rady Ministrów, ministra właściwego ds. finansów publicznych, Prezydenta m. st. Warszawy oraz wybrane przez ministra właściwego ds. kultury i ochrony dziedzictwa narodowego.

ISB, MKIDN ■

Zerowy VAT na książki?

Dzięki konsekwentnym staraniom polskiego rządu – Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Ministerstwa Finansów – pojawiła się realna szansa na wprowadzenie stawki VAT 0% na książki i czasopisma oraz utrzymania obniżonej stawki VAT na dzieła sztuki.

7 grudnia Rada ds. Gospodarczych i Finansowych UE (ECOFIN) jednomyślnie przyjęła podeście ogólne wobec wniosku Komisji Europejskiej dotyczącego zmiany dyrektywy 2006/112/WE w zakresie stawek VAT. Uzgodniony projekt dyrektywy przewiduje możliwość, po zakończeniu procedury legislacyjnej na forum UE i formalnym wejściu w życie dyrektywy, wprowadzenia stawki VAT 0% na książki i czasopisma (zarówno w formie druko-

wanej, jak i cyfrowej) objęte punktem 6 załącznika III do dyrektywy VAT oraz utrzymuje możliwość stosowania obniżonych stawek VAT do dzieł sztuki.

Zgodnie z unijną procedurą legislacyjną, projekt dyrektywy jest kierowany do Parlamentu Europejskiego (PE), który został poproszony o jego zaopiniowanie w terminie do 15 marca 2022 roku. Po wydaniu opinii przez PE, projekt dyrektywy zostanie przedłożony do formalnego przyjęcia Radzie UE, a następnie opublikowany w dzienniku urzędowym UE. Przewiduje się, że dyrektywa wejdzie w życie nie później niż w czerwcu albo lipcu 2022 roku.

Obecnie w stosunku do sprzedaży książek drukowanych zastosowanie znajduje obniżona 5% stawka VAT. Jest to najniż-

sza możliwa do zastosowania stawka na podstawie obecnych przepisów Dyrektywy VAT. Postulat wprowadzenia zerowej stawki VAT na książki drukowane był wielokrotnie formułowany, także w ostatnim czasie, przez środowiska wydawców, księgarzy, bibliotekarzy, pisarzy, ludzi kultury. W kwietniu 2020 roku z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy oraz na wniosek wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego, w działania na rzecz obniżenia stawek VAT na książki na forum Unii Europejskiej zaangażowało się Ministerstwo Finansów, które złożyło do Komisji Europejskiej wniosek o zgodę na obniżenie VAT na książki.

AS, MKIDN ■

Konkurs na pracę doktorską

Narodowe Centrum Kultury ogłosiło XV konkurs na najlepszą pracę doktorską z dziedziny nauk o kulturze.

Do konkursu zaproszeni są autorzy prac doktorskich obronionych w roku akademickim 2019/2020 i 2020/2021 z następujących dziedzin: kulturoznawstwa, etnologii, etnografii, antropologii kultury, socjologii kultury, psychologii międzykulturowej oraz etnomuzykologii.

Jury złożone z przedstawicieli środowiska naukowego i NCK oceni prace i przyzna

KONKURS NA DOKTORAT

TERMIN ZGŁASZANIA
PRAC – 6 MARCA 2022



trzy nagrody pieniężne w wysokości: 5 tys. (I nagroda), 3 tys. (II) i 2 tys. złotych (III). Laureat pierwszej nagrody uzyska dodatkowo możliwość wydania pracy nakładem Narodowego Centrum Kultury.

Aby zgłosić pracę do konkursu, należy wypełnić formularz na stronie internetowej: www.nck.pl. Zgłoszenia przyjmowane są do 16 marca 2022 roku. Wyniki konkursu ogłoszone zostaną do końca sierpnia 2022 roku.

NCK ■



27-29
STYCZNIA
2022

XII MIĘDZYNARODOWY
KONKURS CHOREOGRAFICZNY
UCZNIÓW SZKÓŁ BALETOWYCH
IM. BOŻENY KOCIOŁKOWSKIEJ

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW CENTRUM EDUKACJI ARTYSTYCZNEJ

ORGANIZATORZY:



OGÓLNOKSZTAŁCĄCA SZKOŁA BALETOWA
IM. LUDOMIRA RÓŻYCKIEGO W BYTOMIU

STOWARZYSZENIE PRO-ARTE



PARTNERZY:



Narodowy
Instytut
Muzyki
i Tańca

PATRONAT HONOROWY:



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



Województwo
Śląskie

Honorowy patronat
Marszałka Województwa Śląskiego
Jakuba Chelstowskiego



WOJEWODA ŚLĄSKI



Fundacja na rzecz Sztuki Tańca
The Art of Dance Foundation



ZYGMUNT
ZALESKI
STICHTING



Patronat Honorowy
Prezydenta Miasta Chorzów
Andrzeja Kotali



PATRONAT HONOROWY
PREZYDENTA MIASTA BYTOMIA
MARIUSZA WOŁOSZA



OPERA ŚLĄSKA
W BYTOMIU



MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL TAŃCA
im. Ogi Świrskiego

PATRONAT MEDIALNY:



